

Agatha Christie

Pani McGinty nie żyje

Przełożyła Ewa Życieńska

Tytuł oryginału: Mrs McGinty's Dead

Peterowi Saundersowi

z wyrazami wdzięczności

za jego uprzejmość dla autorów

Rozdział pierwszy

Herkules Poirot wyszedł z restauracji La Vieille Grand-mère na Soho. Postawił kołnierz płaszcza raczej z przezorności niż potrzeby, gdyż wieczór nie był zimny.

— Ale — zwykł twierdzić — w moim wieku się nie ryzykuje. Jego oczy wyrażały pełne zadumy, senne zadowolenie.

Escargots de la Vieille Grand-mère były znakomite. Ta knajpka to prawdziwe odkrycie. Z zadumą, jak dobrze nakarmiony pies, Herkules Poirot oblizał wargi. Wydobywszy z kieszeni chusteczkę, obsuszył bujne wąsy.

Tak, podjadł sobie smacznie... I co teraz?

Przejeżdżająca taksówka kusząco zwolniła. Poirot zawahał się chwilę, ale jej nie przywołał. Po co brać taksówkę? I tak będzie w domu za wcześnie, by się położyć.

— Szkoda — mruknął pod wąsem — że człowiek może jadać tylko trzy razy dziennie...

Podwieczorek bowiem był posiłkiem, do którego nigdy się nie przyzwyczaił. „Jeżeli się jada o piątą — tłumaczył — człowiek siada do kolacji bez gotowego zapasu soków trawiennych. A pamiętajmy, że kolacja to najważniejszy posiłek dnia!”

Nie dla niego była również przedpołudniowa kawa. Nie, na śniadanie czekolada i *croissants déjeuner* o dwunastej trzydzieści, jeśli to możliwe, ale na pewno nie później niż o pierwszej, i wreszcie ukoronowanie wszystkiego: *le diner!*

Były to szczytowe momenty dnia dla Herkulesa Poirota. Zawsze traktując poważnie swój żołądek, na starość zbierał tego zasługi. Jedzenie było teraz nie tylko fizyczną przyjemnością, ale także dziedziną intelektualnych badań. Między posiłkami bowiem sporo czasu spędzał na wyszukiwaniu źródeł nowego i znakomitego jedzenia. Rezultatem jednej z takich odkrywczych wypraw była La Vieille Grand-mère

I ona to właśnie otrzymała pieczęć gastronomicznej aprobaty Herkulesa Poirota.

Teraz jednak, niestety, musiał coś zrobić z wieczorem. Herkules Poirot westchnął.

„Gdybym tylko — pomyślał — miał przy sobie *ce cher* Hastings...”

Z przyjemnością zatrzymał się na wspomnieniu starego przyjaciela.

„Mój pierwszy przyjaciel w tym kraju — i wciąż najbliższy, jakiego miałem. To prawda, bardzo często doprowadzał mnie do szału. Ale czy pamiętam o tym teraz? Nie. Pamiętam tylko jego niewiarygodny podziw, zachwyt, który’ mu kazał z otwartymi ustami podziwiać mój talent, łatwość, z

jaką go zwodziłem, nie wypowiadając jednego słowa nieprawdy, osłupienie, gdy na koniec pojmował prawdę widoczną dla mnie od początku. *Ce cher, cher ami!* Mam tę słabość i zawsze miałem tę słabość, że pragnąłem się popisać. Tej słabości Hastings nigdy nie potrafił zrozumieć. Ale doprawdy, człowiek z moimi zdolnościami musi sam siebie podziwiać, a do tego niezbędny jest jakiś bodziec z zewnątrz. Nie mogę, naprawdę nie mogę przesiadywać sam całymi dniami w fotelu i rozmyślać o tym, jaki jestem cudowny. Potrzebny jest pierwiastek ludzki, potrzebny jest cudzy podziw”.

Herkules Poirot westchnął. Skręcił w Shaftesbury Avenue.

Przejsć na drugą stronę, iść na Leicester Square i spędzić ten wieczór w kinie? Krzywiąc się lekko, pokręcił głową. Kino najczyściej go złościło rozlązającym się wątkiem, brakiem logicznego rozumowania. Nawet zdjęcia, dla niektórych przedmiot zachwyków, Herkulesowi Poirotowi często się wydawały niczym więcej jak tylko próbą ukazania scen i przedmiotów jako zupełnie innych, niż były w rzeczywistości.

Wszystko, stwierdzał Herkules Poirot, jest dzisiaj nazbyt bezładne. W niczym nie widać tego zamiłowania do porządku i metody, które on sam ceni sobie tak wysoko. Modne są sceny przemocy i prymitywnej brutalności, a Poirot jako byłego pracownika policji brutalność nużyła. Dość się na to napatrzył w młodszym wieku. Była ona częściej regułą niż wyjątkiem. Przekonał się, że jest męcząca i nieinteligentna.

Chodzi o to — doszedł do wniosku, kierując kroki w stronę domu — że nie pasuję do dzisiejszego świata. W pewnym wyższym sensie też jestem niewolnikiem, tak jak inni. Kiedy przychodzi czas odpoczynku, nie mają go czym wypełnić. Finansista na emeryturze bierze się do golfa, drobny kupiec sadi w ogródku cebulki, a ja jem. Ale niestety, i znów do tego wracam, człowiek może jeść tylko trzy razy dziennie. I czas między posiłkami zostaje niewypełniony.

Mijał stoisko z gazetami i rzucił okiem na ty rufy.

Wyniki postępowania sądowego w sprawie McGinty. Wyrok. Nie wzbudziło to jego zainteresowania. Mgliście sobie przypominał jakąś niewielką wzmiankę w prasie. Nie było to interesujące morderstwo. Jakaś nędzna staruszka zabita dla paru funtów. Przykład tej dzisiejszej, bezsensownej, tępej brutalności.

Poirot skręcił w podwórze swojego bloku mieszkalnego. Jak zawsze serce wezbrało mu uznaniem. Był dumny ze swego domu. Wspaniałe symetryczny budynek. Winda uniosła go na pierwsze piętro, gdzie miał duże luksusowe mieszkanie z nieskazitelną chromowaną instalacją, kwadratowymi fotelami i ozdobnymi przedmiotami o surowych, kanciastych kształtach. Zgodnie z prawdą można by powiedzieć, że nie było tam jednej linii krzywej.

Kiedy otworzył drzwi i wszedł do kwadratowego białego przedpokoju, po cichu wysunął się na jego powitanie służący George.

— Dobry wieczór panu. Czeka na pana... jakiś pan. Zręcznie uwolnił Poirota od płaszcza.

— Doprawdy? — Poirot był świadom tej króciutkiej pauzy przed słowem „pan”. Jako snob George był ekspertem.

— Jak się nazywa?

— Niejaki pan Spence, proszę pana.

— Spence. — Nazwisko to w tej chwili nic nie powiedziało Poirotowi. Ale wiedział, że powinno.

Zatrzymawszy się na moment przed lustrem, żeby przywrócić idealny wygląd wąsom, Poirot otworzył drzwi bawialni i wszedł. Mężczyzna siedzący w jednym z wielkich kwadratowych foteli wstał.

— Witam, *monsieur* Poirot, mam nadzieję, że pan mnie pamięta. To już tyle czasu... Nadinspektor Spence.

— Ależ oczywiście. — Poirot serdecznie potrząsnął jego dłonią.

Nadinspektor Spence z policji w Kilchester. Bardzo to była ciekawa sprawa... Jak powiedział Spence, tak już dawno temu...

Poirot jął usilnie namawiać gościa na coś do picia. „*Grenadine? Crème de menthe? Benedictine? Crème de cacao?...*”

W tym momencie wszedł George z tacą, na której stała butelka whisky i syfon. — Albo piwo, jeśli pan woli — szepnął gościowi.

Wielka czerwona twarz nadinspektora Spence’a rozjaśniła się.

— Dla mnie piwo — powiedział.

Poirotowi znowu pozostało tylko podziwiać osiągnięcia George’a. On sam nie miał pojęcia, że w domu jest piwo, i wydawało mu się niepojęte, że ktoś może je woleć od słodkiego likieru.

Kiedy Spence dostał już swój spieniony kufel, Poirot nalał sobie maleńki kieliszek zielono połyskującego *crème de menthe*.

— Ależ to urocze z pana strony, że mnie pan odnalazł

— powiedział. — Urocze. Przyjechał pan z...?

— Z Kilchester. Za jakieś pół roku odchodzę na emeryturę. Właściwie powinienem był odejść osiemnaście miesięcy temu. Poproszono mnie, bym został, i zostałem.

— Mądrze pan zrobił — powiedział z uczuciem Poirot.

— Bardzo mądrze...

— Naprawdę? Zastanawiam się. Nie jestem taki pewien.

— Tak, tak, mądrze — twierdził stanowczo Poirot. — Te długie godziny *ennui*, nie ma pan o tym pojęcia.

— Och, będę miał mnóstwo roboty, jak przejdę na emeryturę. W zeszłym roku wprowadziliśmy się do nowego domu. Całkiem spory ogród i haniebnie zaniedbany. Jeszcze się do niego nie zdążyłem zabrać jak należy.

— Ach tak, jest pan z tych, co uprawiają ogródek. I ja kiedyś postanowiłem zamieszkać na wsi i uprawiać dynie. Nie powiodło mi się. Nie mam odpowiedniego usposobienia.

— Szkoda, że pan nie widział którejs z moich zeszłorocznych dyń — powiedział Spence z entuzjazmem. — Olbrzymy. I moje róże, róże to moje hobby. Będę miał... — Urwał.

— Nie o tym przyszedłem porozmawiać.

— Nie, nie. Przyszedł pan odwiedzić starego znajomego... to uprzejme. Dziękuję.

— Obawiam się, że chodzi o coś więcej, *monsieur* Poirot. Będę uczciwy. Mam interes.

Poirot mruknął dyskretnie:

— Może kredyt hipoteczny zaciągnięty na dom? Chciałby pan pożyczki?

Spence przerwał mu oburzonym tonem:

— Boże święty, nie chodzi o pieniądze! Nic podobnego! Poirot zamachał rękami gestem stosownych przeprosin.

— Proszę mi wybaczyć.

— Powiem panu prosto z mostu... to bardzo bezczelne, z czym do pana przychodzę. Nie zdziwię się, jak mnie pan odeśle do wszystkich diabłów.

— Nigdzie pana nie odeślę — powiedział Poirot. — Ale proszę mówić dalej.

— To sprawa McGinty. Może czytał pan o niej? Poirot pokręcił głową.

— Nieuważnie. Pani McGinty, ta staruszka z jakiegoś zakładu czy domu. Nie żyje, tak? Jak zmarła?

Spence wytrzeszczył na niego oczy.

— Boże święty! — zawołał. — Coś mi to przypomina. Niezwykłe. A do tej pory nawet o tym nie pomyślałem.

— Tak, co takiego?

— Nic, nic. Taką zabawę. Bawiliśmy się w nią kiedyś, jak byliśmy dziećmi. Kupa dzieciaków staje rzędem. Zadaje się pytania i odpowiada. „Pani McGinty nie żyje. Umarła, ale jak? Na kolanach jak ja, o tak!” A potem następne pytanie: „Pani McGinty nie żyje. Umarła, ale jak?” „O tak!” Ciach, koniec rzędu padał i wszyscy przewracaliśmy się jak kręgle! — Spence roześmiał się hałaśliwie na to wspomnienie. — Pamiętam, jakbym bawił się w to wczoraj!

Poirot odczekał grzecznie. Był to jeden z momentów, kiedy po spędzeniu niemal połowy życia w tym kraju przekonywał się, że Anglicy są niepojęci. On sam w dzieciństwie bawił się w cache-cache, ale bynajmniej nie pragnął o tym mówić, a nawet myśleć.

Kiedy Spence opanował rozbawienie, Poirot powtórzył z pewną dozą lekkiego znużenia:

— Jakże więc umarła?

Jakby ktoś zmiotł śmiech z twarzy Spence’a. Nagle z powrotem był sobą.

— Dostała w tył głowy jakimś ostrym, ciężkim narzędziem. Jej oszczędności, około trzydzieści funtów gotówką, zabrano po splądrowaniu pokoju. Mieszkała w małym domku sama, nie licząc lokatora. Człowieka nazwiskiem Bentley. James Bentley.

— Ach, tak. Bentley.

— Nie było włamania. Żadnych śladów, żeby ktoś majstrował przy oknach czy zamkach. Bentley był w kłopotach, stracił pracę, zalegał z czynszem od dwóch miesięcy. Pieniądze znaleziono pod luźną płytą za domem. Na rękawie Bentleya była krew i włos, ta sama grupa krwi i odpowiedni włos. Według jego pierwszych zeznań nie zbliżał się do ciała... ale nie mogły się tam znaleźć przypadkiem.

— Kto ją znalazł?

— Piekarz. Był to dzień, kiedy mu płaciła. Drzwi otworzył James Bentley i powiedział, że pukał do sypialni pani McGinty, ale nie odpowiada. Piekarz wysunął przypuszczenie, że może zachorowała. Sprowadzili sąsiadkę, żeby weszła na górę i sprawdziła. Pani McGinty nie było w sypialni i nic nie wskazywało, że w nocy spała w swoim łóżku, a pokój był splądrowany i deski z podłogi powyrywane. Wtedy pomyśleli, żeby zajrzeć do bawialni. Tam ją znaleźli, leżała na podłodze i sąsiadka podniosła taki krzyk, jakby oszalała. Oczywiście zaraz sprowadzili policję.

— A następnie aresztowano i osądzono Bentleya?

— Tak. Sprawa odbyła się przed sądem na sesji wyjazdowej. Wczoraj. Rzec rozstrzygnięto na jednym posiedzeniu. Dziś rano. Przysięgli wyszli zaledwie na dwadzieścia minut. Orzekli, że jest winien. Kara śmierci.

Poirot skinął głową.

— A następnie, po wysłuchaniu wyroku wsiadł pan do pociągu, przyjechał do Londynu i przyszedł do mnie. Dlaczego?

Nadinspektor Spence zaglądał w swój kufel. Kolistym ruchem ocierał i ocierał jego brzeg palcem.

— Dlatego — powiedział — że nie sądzę, aby on to zrobił...

Rozdział drugi

Zapadła chwila milczenia. — Przyszedł pan do mnie...

Poirot nie dokończył zdania.

Nadinspektor Spence podniósł wzrok. Jego rumiana twarz pociemniała. Była to typowa twarz wieśniaka, bez wyrazu, zamknięta w sobie, z przenikliwymi, ale uczciwymi oczami. Była to twarz człowieka z ustalonymi zasadami, nieznanego udręku zwątpienia w siebie ani wątpliwości, co jest słuszne, a co niesłuszne.

— Służę w policji od dawna, przeżyłem i widziałem to i owo. Nie gorzej od innych potrafię ocenić człowieka. W czasie służby miewałem już do czynienia z morderstwem... bywały proste i nie tak proste. Jedną z tych spraw pan zna, *monsieur* Poirot...

Poirot skinął głową.

— Była zawiła. Gdyby nie pan, moglibyśmy jej nie rozszyfrować. Ale rozszyfrowaliśmy... i nie zostało cienia wątpliwości. Tak samo było z innymi, o których pan nie słyszał. Był ten Whistler, dostał za swoje... i zasłużył na to. Byli ci dranie, co zastrzelili starego Gutermana. Verall z arszenikiem. Tranter się wymigał... ale był w porządku. Pani Courtland... ta miała szczęście... jej mąż to był wredny zbrodniarz i przysięgli ją uniewinnili. To nie była sprawiedliwość, tylko współczucie. Trzeba się liczyć z tym, że i tak się zdarza. Czasem za mało dowodów, czasem wchodzi w grę współczucie, zdarza się, że mordercy uda się je wzbudzić u przysięgłych, choć nieczęsto, ale zdarzyć się może. Czasem to robota sprytniej obrony albo oskarżyciel obierze mylną drogę. O, tak, napatrzyłem się różnych rzeczy. Ale... ale...

Spence pokiwał grubym paluchem.

— Ale nie widziałem jeszcze, przynajmniej w mojej praktyce, człowieka niewinnego powieszzonego za coś, czego nie zrobił. Tego, *monsieur* Poirot, nie chciałbym oglądać.

— W każdym razie — dodał Spence — nie w tym kraju! Poirot spojrzał mu w oczy.

— I sądzi pan, że teraz na to się zanosi. Ale dlaczego... Spence mu przerwał.

— Po części wiem, co pana interesuje. Sam panu powiem, żeby nie musiał pan pytać. Dostałem tę sprawę. Miałem zebrać dowody na to, co się stało. Zabrałem się do pracy bardzo starannie. Zgromadziłem tyle faktów, ile mogłem. Wszystkie były jednoznaczne, wskazywały na jedną osobę. Wyniki poszukiwań przekazałem swojemu zwierzchnikowi. Potem nie należało to już do mnie, sprawa przeszła do prokuratora. Postanowił wnieść oskarżenie. Nic innego nie mógł zrobić, w każdym razie mając takie zeznania. Tak więc Jamesa Bentleya aresztowano i postawiono przed sądem, a następnie osądzono i uznano za winnego. Inaczej być nie mogło przy tych dowodach. A

właśnie dowody przysięgli muszą brać pod uwagę. Powiedziałbym, że nie mieli żadnych wątpliwości. Ba, a nawet, że wszyscy byli całkowicie przekonani, że jest winien.

— Ale pan... pan nie jest?

— Nie jestem.

— Dlaczego?

Nadinspektor Spence westchnął. W zamyśleniu potarł podbródek wielką ręką.

— Nie wiem. To znaczy, nie umiem podać powodu... konkretnego powodu. Dla przysięgłych chyba wyglądał na mordercę, dla mnie nie, a ja wiem dużo więcej od nich o mordercach.

— Tak, tak, pan jest ekspertem.

— Wie pan, weźmy jedno, nie był zarozumiałcem. Ale to wcale. A z doświadczenia wiem, że zawsze są zarozumiali. Zawsze tacy diabelnie zadowoleni z siebie. Zawsze im się zdaje, że nabijają człowieka w butelkę. Zawsze pewni, że byli tacy sprytni. I nawet kiedy już się znajdują na ławie oskarżonych i wiedzą, że wpadli, sprawia im to jakąś dziwną frajdę. Stanęli w świetle reflektorów. W centrum uwagi. Grają główną rolę... może po raz pierwszy w życiu. No, wie pan... stroszą piórka!

Spence wypowiedział te słowa tonem rozstrzygającym.

— Pan będzie rozumiał, co chcę przez to powiedzieć, *monsieur* Poirot.

— Rozumiem dobrze. I ten James Bentley... nie był taki?

— Nie. Był... śmiertelnie przestraszony. Śmiertelnie przerażony od samego początku. I dla niektórych mogło to być jednoznaczne z tym, że jest winien. Ale nie dla mnie.

— Tak, zgadzam się z panem. Jaki on jest, ten James Bentley?

— Trzydzieści trzy lata, średniego wzrostu, ziemistoblady, w okularach...

Poirot powstrzymał ten potok informacji.

— Nie, nie miałem na myśli jego cech fizycznych. Co to za osobowość?

— Och, to... — Nadinspektor Spence zastanowił się. —Niesympatyczny facet. Nerwowy. Nie patrzy człowiekowi w oczy. Zerka tak jakoś z boku. Zachowanie jak najgorsze,

jeśli idzie o przysięgłych. To się płaszczy, to wierzga. Wierzga nieskutecznie.

Przerwał i dodał tonem zwykłej rozmowy:

— W gruncie rzeczy nieśmiały chłopak. Miałem trochę podobnego kuzyna. W niezręcznych sytuacjach tacy wykładają się głupio, bez najmniejszej szansy, że im ktoś uwierzy.

— Nie wygląda pociągająco ten pański James Bentley.

— O, na pewno. Nikomu nie mógłby się podobać. Ale mimo to nie chciałbym go oglądać na szubienicy.

— A sądzi pan, że do tego dojdzie?

— Nie widzę, dlaczego nie miałby zawisnąć. Adwokat może apelować... ale miałby do tego bardzo kruche podstawy... coś proceduralnego bez żadnej szansy na powodzenie.

— Dobrego miał adwokata?

— Przydzielili mu młodego Graybrooka na podstawie prawa do obrony przysługującego osobom niezamożnym. Powiedziałbym, że wywiązał się sumiennie i popisał, jak potrafił.

— A więc człowiek miał uczciwą rozprawę i został osądzony przez przysięgłych wybranych spośród współobywateli.

— Tak jest. Ława przysięgłych nie gorsza i nie lepsza od innych. Siedmiu mężczyzn, pięć kobiet, wszystko uczciwi, rozsądni ludzie. Sędzią był stary Stanisdale. Skrupulatnie uczciwy, żadnych uprzedzeń.

— A więc według angielskiego prawa James Bentley nie ma najmniej szych podstaw do narzekań.

— Jak go powieszają za coś, czego nie zrobił, będzie miał podstawy do narzekań!

— Bardzo słuszna uwaga.

— A wytoczona mu sprawa była moją sprawą, to ja zebrałem fakty i złożyłem je do kupy, i na podstawie tych dochodzeń i tych faktów został skazany. I mnie się to nie podoba, *monsieur* Poirot, nie podoba.

Herkules Poirot dłuższą chwilę patrzył na rumianą, wzburzoną twarz nadinspektora Spence'a.

— *Eh bien* — powiedział. — Co pan proponuje? Spence wyglądał na okrutnie zmieszanego.

— Przypuszczam, że świetnie pan sobie zdaje sprawę z tego, co teraz nastąpi. Sprawa Bentleya jest zamknięta. Ja zajmuję się już czymś innym, defraudacją. Muszę być wieczorem w Scotland Yardzie. Nie jestem wolnym człowiekiem,

— Ale ja... jestem?

Spence z zakłopotaniem skinął głową.

— Święta racja. Pomyśli pan, bezczelny facet. Ale nic innego nie przychodzi mi do głowy... żaden inny sposób. Zrobiłem w swoim czasie wszystko, co mogłem, zbadałem wszystkie możliwości. I do niczego nie doszedłem. I nie sędzę, żebym kiedyś doszedł. Ale kto wie, z panem może być inaczej. Pan, proszę mi wybaczyć, że to powiem, pan ma zabawny sposób patrzenia na sprawy. Może w tym wypadku tak trzeba na to spojrzeć. Bo jeżeli James Bentley jej nie zabił, zrobił to ktoś inny. Nie rąbnęła się w głowę sama. Może panu uda się znaleźć coś, co mnie umknęło. Nie ma powodu, dlaczego pan by nie mógł czegoś wskórać w tej sprawie. Z mojej strony to diablo bezczelne nawet coś takiego proponować. Ale trudno. Przychodzę do pana, bo to jedyne, co mi wpadło do głowy. Ale jeżeli nie chce pan sobie robić kłopotu, a i po co miałby pan to robić...

Poirot przerwał mu.

— O, ależ jest powód. Mam wolny czas... za dużo wolnego czasu. I zaintrygował mnie pan, owszem, bardzo mnie pan zaintrygował. To wyzwanie... dla moich szarych komórek. A poza tym chodzi mi o pana. Widzę pana w ogródku za pół roku, sadi pan może te róże i sadi je pan, nie czując się zadowolony jak należy, bo gdzieś tam w duchu ma pan niemiłe uczucie, wspomnienie, które pan chce zagłuszyć, a tego bym panu nie życzył, przyjacielu. I wreszcie... — Poirot wyprostował się w fotelu i energicznie pokiwał głową —chodzi o zasadę. Jeżeli ktoś nie popełnił zbrodni, nie powinien wisieć. — Przerwał i dodał: — Ale przypuśćmy, że w końcu ją zabił?

— Będę bardzo wdzięczny, jak zyskam pewność.

— I co dwie głowy, to nie jedna. *Voilà*, wszystko jasne. Wchodzę do sprawy. Nie ma czasu do stracenia, to też jasne. Już i tak trop zwietrzył. Kiedy... pani McGinty została zabita?

— W zeszłym roku w listopadzie. Dwudziestego drugiego.

— Przejdźmy od razu do rzeczy.

— Mam notatki dotyczące tej sprawy, które panu przekażę.

— Dobrze. Na razie potrzebny nam sam jej zarys. Jeżeli nie James Bentley zabił panią McGinty, to kto?

Spence wzruszył ramionami i z ciężkim sercem wyznał:

— Tak jak ja to widzę, nikt inny.

— Ale tej odpowiedzi nie przyjmujemy. Otóż, skoro każde morderstwo musi mieć motyw, jaki w wypadku pani McGinty mógł być motyw? Zawiść, zemsta, zazdrość, strach, pieniądze? Weźmy ten ostatni i najprostszy'. Kto zyskał na jej śmierci?

— Nikt wiele nie zyskał. Miała dwieście funtów w Banku Oszczędnościowym. Dostaje je siostrzenica.

— Dwieście funtów to niewiele... ale w pewnych okolicznościach może wystarczyć. Weźmy więc pod uwagę siostrzenicę. Wybacz, przyjacielu, że idę twoim śladem. I ty, jak wiem, musiałeś brać to

pod uwagę. Ale muszę przejść z panem drogę już przebytą.

Spence skinął potakująco wielką głowią.

— Braliśmy, oczywiście, pod uwagę siostrzenicę. Ma trzydzieści osiem lat, zamężna. Mąż zatrudniony w przemyśle budowlanym i dekoratorskim... malarz. Ma dobrą opinię, stałe zatrudnienie, bystry facet, nie żaden tam głupek. Siostrzenica jest przyzwoitą młodą kobietą, trochę gadatliwa, zdaje się, że była przywiązana do ciotki, ale bez przesady. Żadne z nich nie potrzebowało pilnie tych dwustu funtów, choć można powiedzieć, że się z nich ucieszyli.

— Co z domem, dostali dom?

— Był wynajęty. Oczywiście na mocy prawa ograniczeń wynajmu właściciel nie mógł starej wyrzucić. Ale teraz, kiedy nie żyje, nie sądzę, żeby siostrzenica mogła go przejąć... w każdym razie ona i mąż nie mają takich zamiarów. Mieszkają w niewielkim, nowoczesnym, wybudowanym przez radę miejską domku, z którego są strasznie dumni. — Spence westchnął. — Siostrzenicy z mężem przyjrzałem się dosyć dokładnie, najlepiej bodaj pasowali, jak się pan przekona. Ale nie było o co się zaczepić.

— *Bien*. Teraz pomówmy o samej pani McGinty. Niech mi ją pan opisz... i to nie tylko fizycznie, jeśli można.

Spence skrzywił się.

— Nie chce pan opinii policyjnej? No, sześćdziesiąt cztery lata. Wdowa. Mąż pracował w dziale tekstylnym u Hodgesa w Kilchester. Zmarł jakieś siedem lat temu. Zapalenie płuc. Od tego czasu pani McGinty co dzień chodziła sprzątać do różnych domów w okolicy. Broadhinny to małe osiedle, które się ostatnio stało dzielnicą rezydencyjną. Paru emerytów, jeden udziałowiec zakładów mechanicznych, lekarz — tego rodzaju ludzie. Całkiem wygodne połączenie autobusowe i kolejowe z Kilchester i Cullenquay, dosyć dużym, sądzę, że pan wie, ośrodkiem lotniskowym, oddalonym tylko o osiem mil, ale samo Broadhinny jest całkiem ładne i wiejskie... jakieś ćwierć mili od głównej szosy Drymouth–Kilchester.

Poirot kiwnął głowią.

— Domek pani McGinty był jednym z czterech stanowiących właściwą wieś. Jest tam poczta i wiejski sklepik, a w innych domach mieszkają pracownicy rolni.

— I przyjęła lokatora?

— Tak. Zanim zmarł jej mąż, byli to letnicy, ale po jego śmierci wzięła stałego lokatora. James Bentley mieszkał u niej od paru miesięcy.

— Więc dochodzimy do... Jamesa Bentleya?

— Bentley pracował ostatnio u agenta mieszkaniowego w Kilchester. Przedtem mieszkał z matką w Cullenquay. Była osobą chorą, opiekował się nią i niewiele wychodził z domu. Potem zmarła, a z jej

śmiercią wygasła dożywotnia renta. Sprzedał domek i znalazł pracę. To człowiek wykształcony, ale bez żadnego zawodu czy fachu i niesympatyczny w obcowaniu, jak mówiłem. Nie było mu łatwo coś znaleźć. Przyjęli go jednak w agencji Breather i Scuttle. Raczej drugorzędna firma. Nie przypuszczam, żeby był szczególnie dobrym pracownikiem i odnosił jakieś sukcesy. Redukowali personel i musiał odejść. Nie mógł znaleźć innej pracy, pieniądze mu się skończyły. Zwykle co miesiąc płacił pani McGinty za pokój. Dawała mu śniadania i kolacje i liczyła trzy funty tygodniowo, umiarkowana cena, zważywszy wszystko. Zalegał jej z zapłatą dwa miesiące i kończyły mu się zasoby. Nie miał innej pracy, a ona domagała się zwrotu długu.

— I wiedział, że pani McGinty ma w domu trzydzieści funtów? Ale, ale, dlaczego trzymała w domu trzydzieści funtów? Miała rachunek w Banku Oszczędności.

— Nie ufała rządowi. Mówiła, że mają już jej dwieście funtów i więcej nie dostaną. Będzie je trzymała tam, skąd w każdej chwili może wyjąć. Powiedziała to paru osobom. Leżały pod luźną deską podłogi w jej sypialni... miejscu jak najbardziej oczywistym. James Bentley przyznał, że wiedział o tym.

— Bardzo uprzejmie z jego strony. A czy ta siostrzenica z mężem też o tym wiedzieli?

— O, tak.

— Więc wracamy do pierwszego pytania. Jak umarła pani McGinty?

— Zginęła w nocy dwudziestego drugiego listopada. Lekarz policyjny określił czas śmierci na między siódmą a dziesiątą wieczorem. Zjadła kolację (śledzia i chleb z margaryną), a jak potwierdzają wszystkie zeznania, robiła to zazwyczaj około pół do siódmej. Na podstawie stopnia zaawansowania procesu trawienia określono, że została zabita około ósmej trzydzieści lub dziewiętej, jeśli oczywiście rzeczonyj nocy spożyła kolację o zwykłej porze. James Bentley, gdyby wierzyć jego własnym zeznaniom, był tego wieczora na spacerze od siódmej piętnaście do mniej więcej dziewiętej. Na ogół co wieczór po zmroku wychodził na przechadzkę. Według tego, co mówi, wrócił do domu koło dziewiętej (miał własny klucz) i poszedł prosto na górę do siebie. Pani McGinty założyła w pokojach umywalki ze względu na letników. Jakies pół godziny czytał, po czym poszedł spać. Nie słyszał i nie zauważył niczego niezwykłego. Nazajutrz rano zszedł na dół i zajrzał do kuchni, ale nie było w niej nikogo i ani śladu przygotowań do śniadania. Mówi, że trochę się zawahał, po czym zapukał do pani McGinty, ale nikt nie odpowiadał.

Pomyślał, że na pewno zasnęła, ale nie chciał dalej pukać. Potem przyszedł piekarz i James Bentley jeszcze raz wszedł na górę i zapukał, a potem, jak już panu mówiłem, piekarz poszedł do sąsiadów i sprowadził jakąś panią Elliot, która w rezultacie znalazła ciało i omal nie zemdląła. Pani McGinty leżała na podłodze w bawialni. Uderzono ją w tył głowy czymś w rodzaju bardzo ostrego tasaka. Zginęła na miejscu. Szuflady były powysuwane i rzeczy porozrzucane, luźna deska w podłodze jej sypialni została wyrwana i schowek był pusty. Wszystkie okna zamknięte i zasłonięte okiennicami od środka. Żadnych śladów majstrowania przy zamkach i włamywania się od zewnątrz.

— A zatem — powiedział Poirot — albo musiał ją zabić James Bentley, albo sama wpuściła zabójcę, kiedy Bentleyja nie było w domu?

— Właśnie. To nie był żaden napad ani włamanie. Ale kogo by mogła wpuścić? Kogoś z sąsiadów albo siostrzenicę, albo męża siostrzenicy. Do tego rzecz się sprowadza. Wyłączyliśmy sąsiadów. Siostrzenica z mężem byli tego wieczora w kinie. Istnieje możliwość, ale tylko możliwość, że któreś z nich wyszło niepostrzeżenie z kina, przebyło te trzy mile na rowerze, zabiło starą, ukryło pieniądze za domem i wróciło nie zauważone do kina. Rozpatrzyliśmy tę możliwość, ale żadnego potwierdzenia nie znaleźliśmy. Nawet jeśli, to po co by mieli ukrywać pieniądze za domem pani McGinty? Trudno by je było potem zabrać z tego miejsca. Dlaczego nie gdzieś na tych trzech milach drogi z powrotem? Nie, jedyny powód, żeby je ukryć tam, gdzie je ukryto...

Poirot dokończył za niego to zdanie:

— ... byłby ten, że się mieszka w tym samym domu i nie chce się ich ukryć ani w swoim pokoju, ani w pozostałych. Czyli: James Bentley.

— Tak jest. Wszystko i zawsze wskazuje na Bentleya. Miał wreszcie krew na mankiecie.

— Jak to tłumaczył?

— Mówił, że przypomina sobie, jak się dzień wcześniej otarł o coś u rzeźnika. Terefere! To nie była zwierzęca krew.

— I upierał się przy tym?

— Właściwie nie. Na rozprawie opowiedział zupełnie inną historyjkę. Widzi pan, miał również włos na mankiecie... splamiony krwią włos identyczny z włosami pani McGinty. Trzeba to było wyjaśnić... Wtedy się przyznał, że poprzedniego wieczora wszedł do jej pokoju, kiedy wrócił ze spaceru. Wszedł, powiedział, po uprzednim zapukaniu i znalazł ją martwą na podłodze. Pochylił się i dotknął jej, jak mówił, żeby się upewnić. A potem stracił głowę. Widok krwi zawsze robił na nim okropne wrażenie. Poszedł do siebie w stanie załamania i chyba zemdłał. Rano nie mógł się z tym pogodzić, że wie, co się stało.

— Podejrzana historia — zauważył Poirot.

— Rzeczywiście. A jednak, wie pan — powiedział \v zamyśleniu Spence — z powodzeniem może być prawdziwa. Nie jest to bynajmniej coś, w co normalny człowiek albo przysięgły uwierzy. Ale zdarzało mi się spotykać takich ludzi. Nie mówię o tej historii z zemdleniem. Mówię o ludziach postawionych w sytuacji wymagającej odpowiedzialnego działania, którzy po prostu nie mogą jej sprostać. O ludziach nieśmiałych. Wchodzi, powiada, i znajduje ją. Wie, że powinien coś zrobić, wezwać policję, zawołać sąsiadów, przedsięwziąć, co należy. I nawala. Myśli: „Nie muszę w ogóle o tym wiedzieć. Nie musiałem tam dziś wieczorem wchodzić. Pójdę spać, jakbym tam wcale nie wchodził...”. Za tym oczywiście kryje się strach... strach, że go mogą podejrzewać o maczanie w tym palców. Myśli, głupi naiwniak, żeby się trzymać z dala od tego tak długo, jak tylko to możliwe, a pakuje się w to... po uszy.

Spence przerwał.

— To się mogło tak zdarzyć.

— Mogło — potwierdził w zamyśleniu Poirot.

— Albo też może to być najlepsza historyjka, jaką zdołał dla niego wymyślić ten adwokat. Ale nie wiem. Kelnerka z kafejki w Kilchester, gdzie jadał lunch, twierdzi, że zawsze wybierał stolik, przy którym siedział twarzą do ściany albo do kąta i nie widział ludzi. To tego typu chłopak... trochę świrowaty. Ale nie na tyle, żeby być mordercą. Bez manii prześladowczej czy czegoś takiego.

Spence spojrział z nadzieją na Poirota, ale Poirot nie zareagował, zmarszczył czoło.

Obaj posiedzieli chwilę w milczeniu.

Rozdział trzeci

Wreszcie Poirot poruszył się z westchnieniem.

— *Eh bien* — powiedział. — Wyczerpaliśmy motyw pieniędzy, przejdźmy do innych teorii. Czy pani McGinty miała wrogów? Czy się kogoś bała?

— Nic o tym nie świadczy.

— Co mówią sąsiedzi?

— Niewiele. Policji i tak by pewnie nie powiedzieli, choć nie przypuszczam, żeby coś ubywali. Mówią, że pilnowała swojego nosa. Ale to normalne. Nasze wsie, wie pan, panie Poirot, nie są zbyt przyjazne. Przekonali się o tym przesiedleńcy podczas wojny. Pani McGinty spędzała całe dnie wśród sąsiadów, ale blisko ze sobą nie żyli.

— Jak dawno tam mieszkała?

— To kwestia osiemnastu, dwudziestu lat, jak sędzę.

— A te czterdzieści lat przedtem?

— Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Córka farmera z północnego Devonu. Razem z mężem mieszkali jakiś czas pod Ilfracombe, a potem się przenieśli do Kilchester. Mieli tam po drugiej stronie domek, ale okazał się wilgotny, więc przeprowadzili się do Broadhinny. Wygląda na to, że mąż był spokojnym, uczciwym człowiekiem, chorowity, nie za często zaglądał do pubu. Bardzo przyzwoity i w porządku. Żadnych tajemnic, niczego do ukrycia.

— A jednak została zamordowana.

— A jednak została zamordowana.

— Siostrzenica nie słyszała o nikim, kto by chował jakąś urazę do ciotki?

— Twierdzi, że nie.

Poirot z rozdrażnieniem potarł nos.

— Rozumie pan, drogi przyjacielu, że rzecz byłaby o wiele łatwiejsza, gdyby pani McGinty nie była, że tak powiem, panią McGinty. Gdyby mogła być kobietą tajemniczą... kobietą z przeszłością.

— Cóż, ale nią nie była — powiedział Spence trzeźwo. — Była tylko panią McGinty, raczej prostą kobietą, która wynajmowała pokoje i chodziła do sprzątanania. W Anglii są ich tysiące.

— Ale nie wszystkie padają ofiarą morderstwa.

— Nie, to panu przyznam.

— Więc dlaczego zamordowano akurat ją? Oczywiściej odpowiedzi nie przyjmujemy. Co nam pozostaje? Podejrzana, acz nieprawdopodobna, siostrzenica. I jeszcze bardziej podejrzany i nieprawdopodobny nieznajomy. Fakty? Trzymajmy się faktów. Jakie są fakty? Stara sprzątaczką zostaje zamordowana. Aresztuje się i oskarża o morderstwo nieśmiałego, nieokrzesanego młodzieńca. Dlaczego aresztowano Jamesa Bentleya?

Spence wytrzeszczy! oczy.

— Dowody świadczyły przeciw niemu. Mówiłem panu...

— Tak. Dowody. Ale proszę mi powiedzieć, mój drogi Spence, czy były to dowody prawdziwe, czy sfabrykowane?

— Sfabrykowane?

— Tak. Jeśli przyjmiemy założenie, że James Bentley jest niewinny, pozostają nam dwie możliwości. Że dowody zostały rozmyślnie sfabrykowane, żeby na niego rzucić podejrzenie. Albo że jest pechową ofiarą zbiegu okoliczności. Spence się zastanowił.

— Tak. Widzę, do czego pan zmierza.

— Nic nie wskazuje, aby zachodził ten pierwszy wypadek. Ale też nic nie wskazuje, aby tak nie było. Pieniądze zabrano i ukryto poza domem w miejscu łatwym do wykrycia. Schować je w jego pokoju byłoby trochę za wiele, aby policja się na to nabrała. Morderstwa dokonano w czasie, kiedy Bentley poszedł na samotny spacer, co robił często. Czy ta plama krwi na jego rękawie znalazła się tam w taki sposób, jak powiedział na rozprawie, czy i ona też została sfabrykowana? Może ktoś po ciemku otarł się o niego i zostawił mu na rękawie ten kłujący w oczy dowód?

— Myślę, że posuwa się pan trochę za daleko, *monsieur* Poirot.

— Być może, być może, ale daleka czeka nas droga. Myślę, że w tej sprawie czeka nas tak daleka droga, że wyobraźnia jak dotąd jeszcze jej w pełni nie ogarnia. Gdyż widzi pan, drogi panie Spence, jeżeli pani McGinty była zwykłą sprzątaczką, to niezwykle musiał być morderca. Jedno z drugiego jasno wynika. Interesujący w tej sprawie jest morderca, nie zamordowana. W większości zbrodni jest inaczej. Kluczem do sytuacji jest zazwyczaj osoba zamordowana. To milczącym trupem zwykle się interesuję. Jego nienawiściami, miłościami, jego uczynkami. I z chwilą kiedy się naprawdę pozna ofiarę morderstwa, wtedy ofiara przemawia i z jej martwych warg pada imię... imię, które chcemy poznać.

Spence wyglądał na dosyć zmieszanego. Niemal się słyszało, jak mówi sam do siebie: „Ci cudzoziemcy!”.

— Ale tu — ciągnął Poirot — jest odwrotnie. Tu czynimy przypuszczenia na temat osoby

niewidocznej, postaci jeszcze ukrytej w mroku. Jak umarła pani McGinty? Dlaczego umarła? Nie znajdzie się odpowiedzi, badając życie pani McGinty. Odpowiedzi trzeba szukać w osobie mordercy. Zgadza się pan tu ze mną?

— Chyba tak — odpowiedział ostrożnie nadinspektor Spence.

— Ktoś, kto chciał... czego? Zniszczyć panią McGinty? Czy zniszczyć Jamesa Bentleya?

Nadinspektor Spence wydal pełen powątpiewania pomruk:

— Hm.

— Tak, tak, to jedna z pierwszych rzeczy wymagających rozstrzygnięcia. Kto jest prawdziwą ofiarą? Kto miał być ofiarą?

Spence powiedział z niedowierzaniem:

— Naprawdę pan uważa, że ktoś mógłby stuknąć absolutnie nieszkodliwą staruszkę, żeby kogoś innego zaprowadzić na szubienicę za morderstwo?

— Nie robi się, podobno, omletu bez stłuczenia jaj. Pani McGinty zatem mogła być jajkiem, a James Bentley — omletem. Posłuchajmy więc, co pan wie o Jamesie Bentleyu.

— Niewiele. Ojciec był lekarzem, umarł, kiedy Bentley miał dziewięć lat. Chłopak poszedł do jednej z tych mniejszych szkół publicznych, niezdolny do służby wojskowej, miał słabe płuca, podczas wojny pracował w jakimś ministerstwie i mieszkał z zaborczą matką.

— No — powiedział Poirot — stwarza to pewne możliwości... Większe niż historia życia pani McGinty.

— Na serio pan wierzy w to, co pan sugeruje?

— Nie, w nic na razie nie wierzę. Ale twierdzę, że rysują się dwie oddzielne drogi poszukiwań i wkrótce będziemy musieli zdecydować, która jest właściwa, i jej się trzymać.

— Jak chce się pan do tego zabrać, *monsieur* Poirot? Czy mógłbym w czymś pomóc?

— Po pierwsze, chciałbym uzyskać widzenie z Jamesem Bentleyem.

— To się da załatwić. Zwrócę się do jego adwokata.

— Potem, i oczywiście zależnie od rezultatu, o ile uda mi się jakiś osiągnąć, na co nie liczę, pojedę do Broadhinny. Tam wspomagany pańskimi notatkami najszybciej, jak zdołam, przeczesez teren już przez pana spenetrowany.

— Na wypadek, gdybym coś przeoczył — powiedział Spence z kwaśnym uśmiechem.

— Wolałbym to tak ująć, że na wypadek, gdyby jakaś okoliczność wywarła na mnie inne wrażenie niż na pana. Każdy inaczej reaguje i inne ma doświadczenie. Kiedyś bardzo korzystny wynik dało podobieństwo pewnego bogatego finansisty do mydlarza, którego znałem w Liege. Ale w to nie ma potrzeby wchodzić. Teraz chciałbym wyeliminować jeden z tropów, które panu przed chwilą wskazałem. A wyeliminować trop pani McGinty, trop numer jeden, przyjdzie z pewnością szybciej i łatwiej niż przystąpić do tropu numer dwa. Ale, ale, gdzie się mogę zatrzymać w Broadhinny? Jest tam jakaś względnie wygodna gospoda?

— Są Trzy Kaczki, ale oni nie przyjmują gości. Trzy mile dalej, w Cułlavon, jest Jagnię... albo też coś w rodzaju domu gościnnego w samym Broadhinny. To właściwie nie gospoda, a zwykły podupadły wiejski dom, w którym młodzi właściciele przyjmują płatnych gości. Nie sądzę — dodał z powątpiewaniem Spence — żeby tam było zbyt wygodnie. Herkules Poirot przymknął oczy z wyrazem udręki.

— Jeżeli trzeba, zniosę wszystko — powiedział. — Tak musi być.

— Nie wiem, w jakim charakterze pan się tam uda — ciągnął Spence z powątpiewaniem, przyglądając się Poirotowi.

— Mógłby pan być śpiewakiem operowym, który stracił głos. Musi odpocząć. To by uszło.

— Udam się tam — powiedział Poirot tonem monarchy — jako ja sam.

Spence przyjął to oświadczenie z zesnurowanymi ustami.

— Sądzi pan, że to będzie właściwe?

— Sądzę, że to zasadnicze! Ależ tak, zasadnicze. Niech pan zważy, *cher ami*, że walczymy z czasem. Co my wiemy? Nic. Toteż nadzieja, nasza największa nadzieja w udawaniu, że wiemy dużo. Jestem Herkules Poirot. Jestem wielkim, niepowtarzalnym Herkulesem Poirot. I mnie, Herkulesa Poirota, nie zadowala wyrok wydany w sprawie pani McGinty. Ja, Herkules Poirot, z właściwą sobie wnikliwością podejrzewam, co naprawdę zaszło. Jest pewna okoliczność, której właściwie znaczenie ja jedyny właściwie oceniam. Rozumie pan?

— A dalej?

— A dalej, osiągnąwszy zamierzony efekt, obserwuję reakcję. Zdecydowanie nastąpią reakcje.

Nadinspektor popatrzył niespokojnie na małego Belga.

— Przepraszam, panie Poirot — powiedział — ale niech pan nie nadstawia karku. Nie chcę, żeby się panu coś stało.

— Ale jeżeli coś się stanie, będzie miał pan dowód ponad wszelką wątpliwość, przyzna pan?

— Nie chcę zbyt kosztownego dowodu — powiedział nadinspektor Spence.

Rozdział czwarty

Z wielkim niesmakiem Herkules Poirot rozejrzał się po pokoju, w którym stał. Było to pomieszczenie godnych wymiarów, ale na tym kończyły się jego zalety. Poirot z wymownym wyrazem twarzy przeciągnął podejrzliwie palcem po biblioteczce. Tak jak przypuszczał — kurz! Usiadł ostrożnie na kanapie i zerwane sprężyny zapadły się pod nim głęboko. Niewiele lepsze, jak wiedział, były dwa spłowiałe fotele. Duży, groźnie wyglądający pies, którego Poirot podejrzewał o parchy, warknął ze swego posterunku na względnie wygodnym czwartym fotelu.

Pokój pokrywała spłowiała tapeta w stylu Morrisa. Staloryty o niezbyt pociągającej treści wisiały krzywo na ścianach razem z jednym lub dwoma dobrymi olejami. Obicia foteli były tyleż spłowiałe, co brudne, a dywan, który nigdy nie miał ładnego wzoru, straszyl dziurami. Wszędzie bez ładu i składu stało mnóstwo najróżniejszych drobiazgów. Stoliki pozbawione kółek chwiały się niebezpiecznie. Jedno okno było otwarte i najwidoczniej żadna siła na niebie i ziemi nie była w stanie go zamknąć. Nie zanosilo się na to, aby drzwi, w tej chwili zamknięte, długo zamknięte pozostały. Zamek nie trzymał, z każdym powiewem wiatru otwierały się i zimny przeciąg hulał po całym pokoju.

— Cierpię — powiedział Herkules Poirot w ostrym ataku litości nad sobą. — Tak, cierpię.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i do pokoju wpadła razem z wiatrem pani Summerhayes. Rozejrzała się, krzyknęła do kogoś w oddali:

— Co? — i wyszła.

Pani Summerhayes miała rude włosy, pociągającą piegowatą twarz i zwykle w roztargnieniu gdzieś coś kładła albo czegoś szukała.

Herkules Poirot zerwał się na nogi i zamknął drzwi.

Chwilę później otworzyły się na nowo i raz jeszcze pojawiła się pani Summerhayes. Tym razem niosła wielką emaliowaną miskę i nóż.

Męski głos zawołał z pewnego oddalenia:

— Maureen, ten kot znowu wymiotuje. Co mam zrobić?!! Pani Summerhayes zawołała:

— Idę, kochanie. Poczekaj na mnie. Rzuciła miskę i nóż i znów wyszła.

Poirot jeszcze raz wstał i zamknął drzwi. Powiedział:

— Niewątpliwie cierpię.

Zajechał samochód, wielki pies zeskoczył z fotela i szczekając coraz głośniejsze, dał susa na stolik

przy oknie. Stolik zawalił się z trzaskiem.

— *Enfin* — powiedział Herkules Poirot. — *C'est insupportable!*

Drzwi otworzyły się gwałtownie, wiatr przewiał cały pokój, pies wypadł, wciąż szczekając. Doleciał go głos Maureen, podniesiony i czysty:

— Johnnie, dlaczego, u diabła, zostawiasz kuchenne drzwi otwarte?! Te cholerne kury wlażyły do spiżarni!

— I za to — powiedział z uczuciem Herkules Poirot — płacę siedem gwinei tygodniowo!

Usłyszał huk zatrząskiwanych drzwi. Przez okno dobiegało głośnie gdakanie zirytowanych kur. Po chwili do pokoju wkroczyła Maureen Summerhayes i z okrzykiem radości rzuciła się na miskę.

— Pojęcia nie miałam, gdzie ją zostawiłam. Czy bardzo by to panu przeszkadzało, panie... hm... to jest, czy miałby pan coś przeciw temu, gdybym tu wyłuskała groch? W kuchni taki straszny smród.

— *Madame*, będę zachwycony.

Nie był to może zwrot najtrafniejszy, ale dość trafny. Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin zarysowała się Poirotowi szansa rozmowy trwającej dłużej niż sześć sekund. Pani Summerhayes rzuciła się na krzesło i zaczęła z gorączkową energią i wyraźną niezręcznością łuskać groch.

— Doprawdy, mam nadzieję — powiedziała — że nie cierpi pan tu strasznych niewygód. Gdyby tylko życzył pan sobie jakichś zmian, proszę powiedzieć.

Poirot doszedł już do wniosku, że jedyną rzeczą w Na Smugach, jaką byłby kiedykolwiek zdolny tolerować, jest ich gospodyni.

— Zbyt pani uprzejma, *madame* — odpowiedział szarmancko. — Żałuję tylko, że nie jest w mojej mocy zapewnić pani odpowiedniej służby.

— Służby! — pani Summerhayes aż pisnęła. — Próżne nadzieje! Nie mogę nawet nikogo dostać na przychodne! Naszą jedyną dobrą służącą zamordowano. Tylko mnie, z moim pechem, mogło się to zdarzyć.

— To była pani McGinty — powiedział szybko Poirot.

— Tak, to była pani McGinty. Boże, jak mi jej brak! Oczywiście, zrobiła się z tego wielka sensacja. Pierwsze morderstwo w rodzinie, że tak się wyrażę, ale jak mówiłam Johnniemu, myśmy przy tym mieli straszego pecha. Bez pani McGinty zupełnie nie daję rady.

— Była pani do niej przywiązana?

— Drogi panie, na niej można było polegać. Przychodziła... W poniedziałki po południu i w

czwartki rano... jak w zegarku. Teraz mam tę panią Burp spod dworca. Pięcioro dzieci i mąż. Naturalnie nigdy jej tu nie ma. Albo mąż niezdrów, albo stara matka, albo dzieci zapadają na jakąś paskudną chorobę, albo jeszcze co innego. Stara pani McGinty przynajmniej tylko sama mogła się rozchorować i muszę przyznać, że prawie jej się to nie zdarzało.

— Więc zawsze była odpowiedzialna i uczciwa? Polegała pani na niej?

— Och, nigdy nic nie ściągnęła... nawet jedzenia. Oczywiście była trochę wścibska. Przeglądała listy i takie tam. Ale na to człowiek jest przygotowany. Przecież one mają takie szare życie, nieprawdaż?

— Pani McGinty miała szare życie?

— Chyba upiornie szare — powiedziała pani Summerhayes. — Wiecznie na kolanach przy szorowaniu. A potem, kiedy przychodziła rano, sterty cudzego zmywania w zlewie. Gdyby mnie to co dzień czekało, odczułabym właściwie ulgę, jakby mnie kto zamordował. Słowo daję.

W oknie ukazała się twarz majora Summerhayesa. Pani Summerhayes zerwała się na nogi, wywracając groch, skoczyła do okna i otworzyła je na oścież.

— Ten diabelski pies znów zezarł kurom żarcie, Maureen.

— O cholera, teraz on się pochoruje!

— Popatrz — John Summerhayes pokazał żonie durszlak pełen jakiegoś zielska. — Wystarczy tego szpinaku?

— Jasne, że nie.

— Wydaje mi się, że to cała góra.

— Po ugotowaniu będzie tego łyżeczka. Jeszcze nie wiesz, jak jest ze szpinakiem?

— O Boże!

— Ryby przyszły?

— Ani śladu.

— Niech to diabli, będziemy musieli otworzyć jakąś puszkę. Mógłbyś to zrobić, Johnnie? Jedną z tych w kredensie w rogu. Tę, co się nam wydała trochę wypuczona. Mam nadzieję, że w gruncie rzeczy jest w porządku.

— Co ze szpinakiem?

— Zerwę sama.

Wyskoczyła na taras i oddaliła się razem z mężem.

— *Nom d'un nom d'un nom!** — powiedział Herkules Poirot. Przemierzył pokój i zamknął okno najlepiej, jak potrafił. Z wiatrem dobiegł do niego głos majora Summerhayesa.

— Co z tym nowym, Maureen? Wydaje mi się trochę dziwny. Jak on się nazywa? Przypomnij mi.

— Przed chwilą, kiedy z nim rozmawiałam, nie mogłam sobie przypomnieć. Musiałam powiedzieć „panie Hm”. Porrot, o tak. Jest Francuzem.

— Wiesz, Maureen. Chyba się gdzieś spotkałem z tym nazwiskiem.

— Może u fryzjera. Wygląda jak fryzjer. Poirot się skrzywił.

— Nie, może to nazwa pikli. Nie wiem. Na pewno to coś znanego. Lepiej weź od niego te pierwsze siedem gwinei, i to szybko.

Głosy oddaliły się.

Herkules Poirot pozbierał z podłogi groch, rozsypany na wszystkie strony. Właśnie kiedy to kończył, weszła pani Summerhayes. Uprzejmie podał jej groch.

— *Voici, madame.*

— Ach, straszne dzięki. Ojej, ten groch trochę szerniał. Trzymam go, wie pan, w garnkach, zasolony. Ale ten chyba się nie udał. Boję się, że nie będzie dobry.

— Też się tego obawiam... Pozwoli pani, że zamknę drzwi? Jest wyraźny przeciąg.

— O tak, proszę. Mam wrażenie, że nigdy nie zamykam drzwi.

— Tak, zauważyłem.

— Zresztą te drzwi nie chcą się zamykać. Ten dom właściwie cały się rozlatuje. Mieszkali w nim ojciec i matka Johnniego, ale cienko przędli, biedacy, nie kiwnęli przy nim palcem. A potem, kiedy my wróciliśmy z Indii, żeby tu zamieszkać, też na nic nas nie było stać. Ale dzieci mają w nim używanie w czasie wakacji, mnóstwo miejsca, żeby poszaleć, i ogród, i w ogóle. Branie płatnych gości pozwala nam wiązać koniec z końcem, choć muszę przyznać, że mieliśmy parę przykrych niespodzianek.

— Czy obecnie jestem państwa jedynym gościem?

— Mamy na górze jedną starszą panią. W dniu przyjazdu położyła się do łóżka i od tamtej pory nie wstała. Nie widać, żeby jej coś było. Ale leży i przychodzi do niej z tacą cztery razy dziennie. Z apetytem jest w porządku. Zresztą, jedzie jutro do siostrzenicy czy kogoś tam. Pani Summerhayes umilkła na chwilę, nim podjęła trochę sztucznym tonem:

— Za chwilę będzie tu człowiek z rybami. Zastanawiam się, czy nie miałby pan nic przeciw temu... eee... żeby zapłacić nam za pierwszy tydzień? Zatrzyma się pan tydzień, prawda?

— Może dłużej.

— Przepraszam, że sprawiam panu kłopot. Ale nie mam w domu grosza gotówki, a wie pan, jacy są ci dostawcy... tylko się upominają.

— Proszę nie przepraszać, *madame*. — Poirot wyjął siedem banknotów funtowych i dostał siedem szylingów. Pani Summerhayes chciwie zgarnęła pieniądze.

— Wielkie dzięki.

— Może powinienem, *madame*, powiedzieć pani coś więcej o sobie. Jestem Herkules Poirot.

Ta rewelacja nie poruszyła pani Summerhayes.

— Co za piękne nazwisko — powiedziała uprzejmie. — Greckie, co?

— Jestem, jak pani może wie — wyjaśnił Poirot — detektywem. — Poklepał się po piersi. — Może najślawniejszym z żyjących detektywów.

Pani Summerhayes krzyknęła z rozbawienia.

— Widzę, że z pana wielki kawalarz, panie Poirot. — Co pan śledzi? Szuka pan popiołu z papierosów i śladów stóp?

— Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa pani McGinty — wyjaśnił Poirot. — I nie żartuję.

— Aj — powiedziała pani Summerhayes. — Zacięłam się w rękę.

Uniosła i obejrzała palec. Potem wytrzeszczyła oczy na Poirota.

— Niech pan posłucha — powiedziała. — Nie żartuje pan? Przecież wszystko to mamy już za sobą, minęło. Aresztowali tego nierozgarniętego biedaka, co tu mieszkał, został osądzony, uznany za winnego i w ogóle. Pewno go już powiesili.

— Nie, *madame* — powiedział Poirot. — Nie powiesili go... jak dotąd. I nie „mamy za sobą...” sprawy pani McGinty. Przypomnę pani wiersz jednego z naszych poetów: „Sprawa nigdy nie jest załatwiona, dopóki nie jest załatwiona właściwie”.

— Ooo... — powiedziała pani Summerhayes i jej uwagę odwróciła od Poirota miska na kolanach. — Krew mi kapie na groch. Nie najlepiej, zważywszy, że mamy go mieć na lunch. Chociaż właściwie nie ma to znaczenia, bo i tak idzie do wrzątku. Przecież jak się coś zagotuje, to jest w porządku. Nawet z puszki.

— Myślę — powiedział spokojnie Poirot — że nie będę na lunchu.

Rozdział piąty

Doprawdy, nie wiem — powiedziała pani Burch. Powtórzyła to już trzy razy. Jej wrodzona nieufność w stosunku do wyglądających z cudzoziemska panów z czarnymi wąsami i w obszernych, podbitych futrem paltach nie była łatwa do przezwyciężenia. — To było bardzo nieprzyjemne — ciągnęła. — Biedna ciotka ofiarą morderstwa i policja, i wszystko razem. We wszystko włązili z kopytami, myszkowali i zadawali pytania. A sąsiadom mało oczy z głowy nie wyskoczyły. Z początku myślałam, że tego nie przeżyjemy. I teściowa zachowała się wręcz paskudnie. Nic podobnego w jej rodzinie nigdy się nie zdarzyło, powtarzała. I „biedny Joe”, i takie tam. A co biedna ja? Przecież to była moja ciotka. Ale naprawdę chyba mamy to już za sobą.

— No a przypuśćmy, że w końcu ten James Bentley jest niewinny?

— Nonsens — warknęła pani Burch. — Jasne, że nie jest niewinny. A jakże, zrobił to. Nigdy mi się nie podobał. Łaził i mamrotał sam do siebie. Mówiłam cioci: „Nie powinnaś trzymać kogoś takiego w domu. Jeszcze zwariuje”. A ona na to, że jest spokojny i uczynny i nie sprawia kłopotu. Nie pije, mówiła, a nawet nie pali. No, teraz się przekonała biedaczka.

Poirot popatrzył na nią w zamyśleniu. Była dużą, tęgą kobietą o zdrowej cerze i wesołych ustach. Domek był schludny, czysty, pachniał pastą do mebli i płynem Brasso do polerowania miedzi. Leciutki apetyczny zapaszek dolatywał od strony kuchni.

Dobra żona, która utrzymuje dom w czystości i nie żałując trudu, gotuje dla męża. Aprobował to. Jest pełna uprzedzeń i uparta, ale ostatecznie dlaczego miałyby nie być? Zdecydowanie nie należała do kobiet, które można by sobie wyobrazić, jak zamierzają się na ciotkę z tasakiem lub namawiają do tego męża. Spence nie uważał jej za taką i, aczkolwiek z ociąganiem, Poirot przyznał mu rację. Spence zbadał stan finansów Burchów i nie znalazł żadnego motywu morderstwa, a Spence to bardzo skrupulatny człowiek.

Poirot westchnął i wrócił do swego zadania, które polegało na przełamaniu podejrzliwości pani Burch w stosunku do cudzoziemców. Sprowadził rozmowę z tematu morderstwa na temat jego ofiary. Wypytywał o biedną ciocię, o jej zdrowie, przyzwyczajenia, upodobania w jedzeniu i picciu, poglądy polityczne, o jej zmarłego męża, stosunek do życia, do seksu, grzechu, religii, dzieci i zwierząt.

Do czego mógłby się przydać któryś z tych zupełnie niezwiązanych ze sprawą tematów, nie miał pojęcia. Szukał igły w stogu siana. Ale przy okazji dowiadywał się czegoś o samej Bessie Burch.

Bessie w gruncie rzeczy nie za wiele wiedziała o ciotce. Łączyła je więź rodzinna, którą obie respektowały, ale bliższych stosunków nie utrzymywały. Od czasu do czasu, raz na miesiąc albo coś koło tego, szła z Joe w niedzielne popołudnie na obiad do ciotki, a ciotka jeszcze rzadziej przychodziła z wizytą do nich. Wymieniali prezenty na Boże Narodzenie. Wiedzieli, że ciotka coś niecoś odłożyła i że im się to dostanie po jej śmierci.

— Co nie znaczy, żebyśmy tego potrzebowali — tłumaczyła pani Burch, rumieniąc się coraz bardziej. — Sami trochę odłożyliśmy. I pochowaliśmy ją pięknie. Był to naprawdę śliczny pogrzeb. Z kwiatami i ze wszystkim.

Ciocia lubiła robótki na drutach. Nie lubiła psów, bo brudzą w domu, ale miała kota — rudzielca. Polazł gdzieś i od tamtej pory nie wzięła innego, ale miała jej podarować kociaka kobieta z poczty. Dom utrzymywała bardzo czysto i nie lubiła bałaganu. Miedź u niej lśniła, a podłogę w kuchni szorowała co dzień. Nieźle zarabiała chodzeniem do sprzątania. Szylinga i dziesięć pensów za godzinę — dwa szylingi w Na Kępie od pani Carpenter w domu zakładowym. Ci Carpenterowie tarzają się w pieniądzach. Próbowali namówić ciocię, żeby przychodziła częściej, ale ciocia nie mogła robić zawodu innym paniom, bo do nich chodziła, zanim poszła do pani Carpenter, a to by nie było w porządku.

Poirot wspomniał panią Summerhayes w domu Na Smugach. O tak, ciocia sprzątała u niej — dwa razy w tygodniu. Oni wrócili z Indii, gdzie mieli kupę służących krajowców i pani Summerhayes nie ma pojęcia o prowadzeniu domu. Próbują uprawiać warzywa, ale na tym też się nie znają. Kiedy dzieci przyjeżdżają na wakacje, „Smugi” stają się istnym domem wariatów. Ale pani Summerhayes to miła kobieta i ciocia ją lubiła.

W ten sposób portret się wzbogacał. Pani McGinty robiła na drutach, szorowała podłogi i czyściła miedź, lubiła koty, ale nie znosiła psów. Lubiła dzieci, ale nie zanadto. Nie wtrącała się w cudze sprawy. Chodziła w niedzielę do kościoła, ale nie brała udziału w kościelnych akcjach. Czasami, ale rzadko, chodziła do kina. Nie pochwalała wolnych związków i raz rzuciła pracę u jednego artysty z żoną, kiedy wykryła, że nie mają przyzwoitego ślubu. Nie czytała książek, ale lubiła przeczytać niedzielną gazetę i stare pisma ilustrowane, które dostawała od swoich pań. Choć nieczęsto bywała w kinie, lubiła plotki o gwiazdach filmowych i ich losach. Polityką się nie interesowała, ale głosowała na konserwatystów, tak jak jej zmarły mąż. Nigdy nie wydawała wiele na stroje, ponieważ często dostawała ubrania w domach, gdzie sprzątała.

Pani McGinty okazała się w gruncie rzeczy bardzo podobna do takiej, jaką sobie wyobrażał Poirot. A Bessie Burch, jej siostrzenica, była jak żywcem wyjęta z notatek nadinspektora Spence’a.

Zanim Poirot się pożegnał, przyszedł do domu na lunch Joe Burch. Nieduży cwaniak, na pewno nie sprawiający tak uspokajającego wrażenia jak żona. Zachowywał się trochę nerwowo. Okazał też mniejszą podejrzliwość i wrogość. Wyglądało nawet, że skwapliwie chce się okazać pomocny. A to, jak zauważył Poirot, trochę do niego nie pasowało. Bo niby dlaczego Joe Burch miałby skwapliwie zaspokajać oczekiwania wścibskiego nieznajomego cudzoziemca? Powód mógł być tylko taki, że ten cudzoziemiec przychodzi z listem nadinspektora Spence’a z policji.

Więc Joe Burch pragnął dobrze wypaść przed policją? A może, w przeciwieństwie do żony, nie mógł sobie pozwolić na krytyczny stosunek do przedstawiciela prawa?

Prawdopodobnie to nieczyste sumienie. Dlaczego miał nieczyste sumienie? Mogło być wiele przyczyn — i żadna z nich niezwiązana ze śmiercią pani McGinty. Może też kinowe alibi zostało w jakiś sposób sprytnie sfabrykowane i to Joe Burch zapukał do drzwi domku, został przez ciotkę wpuszczony i zabił niczego niepodejrzewającą staruszkę? Powyciągał szuflady i przetrząsnął pokoje,

żeby stworzyć pozory napadu rabunkowego, chytrze ukrył pieniądze poza domem, aby rzucić podejrzenie, że James Bentley szukał pieniędzy, które leżały w Banku Oszczędności. Tych dwustu funtów należnych w spadku jego żonie, których gwałtownie potrzebował. Narzędzia zbrodni, przypomniał sobie Poirot, nigdy nie znaleziono. Dlaczego nie znaleziono go na miejscu zabójstwa? Byle kretyn miałby tyle oleju w głowie, żeby włożyć rękawiczki i wytrzeć odciski palców. Dlaczego więc zabrał narzędzie zbrodni, które musiało być ciężkie i ostre? Czy dlatego, że bez trudu mogło być zidentyfikowane jako sprzęt domowy Burchów? Czy to narzędzie, wymyte i wypucowane, jest teraz w domu? Coś w rodzaju tasaka do mięsa, powiedział policyjny lekarz, ale jak się zdaje, niekoniecznie tasak. Coś może trochę niezwykłego... trochę niecodziennego, łatwego do rozpoznania. Policja szukała tego, ale nie znalazła. Przeczesał lasy i przeszukali sadzawki. Z kuchni pani McGinty nic nie zginęło i nikt nie wiedział, czy James Bentley miał coś w tym rodzaju. Śledztwo nie wykazało, żeby kiedykolwiek kupił tasak do mięsa lub podobne narzędzie. Niewielki, ale pozytywny punkt na jego korzyść. Zlekceważony wobec wagi innych dowodów. Ale jednak punkt...

Poirot obrzucił szybkim spojrzeniem dosyć zagraconą małą bawialnię, w której siedział.

Czy narzędzie zbrodni jest gdzieś w tym domu? Czy to dlatego Joe Burch jest niespokojny i pojednawczy?

Poirot nie wiedział. Prawdę mówiąc nie sądził, aby tak było, ale pewności nie miał...

Rozdział szósty

I

W biurze panów Breathera i Scuttle'a, po krótkim oczekiwaniu, Poirota wprowadzono do gabinetu jednego z właścicieli.

Pan Scuttle był rzutkim, zapracowanym człowiekiem o życzliwym sposobie bycia.

— Dzień dobry, dzień dobry. — Zatarł ręce. — Czym możemy panu służyć?

Jego zawodowe oko prześwidrowało Poirota, próbując go ocenić i jakby robiąc przy tym całą serię uwag na marginesie. Cudzoziemiec. Ubranie w dobrym gatunku. Prawdopodobnie bogaty. Właściciel restauracji? Kierownik hotelu? Filmowiec?

— Mam nadzieję, że nie przychodzę w niestosownej chwili. Chciałem z panem pomówić o pańskim byłym pracowniku, Jamesie Bentleyu.

Wyraziste brwi pana Scuttle skoczyły o cal do góry i opadły.

— James Bentley, James Bentley? — Strzelił pytaniem: — Prasa?

— Nie.

— I nie z policji?

— Nie. Przynajmniej... nie tego kraju.

— Nie tego kraju... — Pan Scuttle odnotował to szybko, jakby na przyszły użytek. — O co w ogóle chodzi?

Poirot, którego nigdy nie powstrzymywał pedantyczny wzgląd na prawdę, rozpoczął całą przemowę.

— Otwieram dalsze śledztwo w sprawie Jamesa Bentleya... na prośbę jego krewnych.

— Nie słyszałem o żadnych krewnych. Zresztą tak czy owak, jak pan wie, uznano go za winnego i skazano na śmierć.

— Ale wyroku jeszcze nie wykonano.

— Póki życia, poty nadziei, co? — Pan Scuttle potrząsnął głową. — Ale na to bym nie liczył. Dowody były murowane. Cóż to za krewni?

— Jedno tylko mogę panu powiedzieć, są zarówno bogaci, jak i wpływowi. Niesłuchanie bogaci.

— Zdziwiał mnie pan. — Pan Scuttle mimo woli odrobinę odtajał. W słowach „niesłuchanie

bogaci” było coś hipnotycznie pociągającego. — Tak. Naprawdę pan mnie zadziwia.

— Matka Bentleya, świętej pamięci pani Bentley — wyjaśnił Poirot — wraz z synem całkowicie odcięła się od rodziny.

— Jakaś waśń rodzinna, co? No, no... A młody Bentley był bez grosza przy duszy. Szkoda, że ci krewni wcześniej nie przyszli mu z pomocą.

— Dopiero teraz dowiedzieli się o faktach — wyjaśnił Poirot. — Zatrudnili mnie, abym jak najrychlej przybył do tego kraju i uczynił wszystko, co w ludzkiej mocy.

Pan Scuttle odchylił się do tyłu, rozluźniając trochę swój urzędowy pancerz.

— Nie wiem, co by pan mógł uczynić. Przypuszczam, że zostaje choroba umysłowa? Trochę na to za późno... ale jeśli uda się panu zaangażować sławy medyczne... Sam się, oczywiście, na tym nie znam.

Poirot pochylił się do niego.

— *Monsieur*, James Bentley tu pracował. Może mi pan o nim opowiedzieć.

— Szalenie mało jest do powiedzenia... szalenie mało. Był jednym z naszych młodszych urzędników. Bez zarzutu. Wydawał się całkiem uczciwym człowiekiem, skrupulatnym i tak dalej. Ale pojęcia nie miał o sprzedaży. Wręcz nie potrafił nic zaoferować. A w naszej branży to konieczne. Jeżeli przychodzi do nas klient z domem na sprzedaż, po to jesteśmy, by go sprzedać. Jeżeli poszukuje domu, znajdujemy mu dom. Jeżeli jest to dom stojący na pustkowiu, pozbawiony wszelkich uroków, podkreśla się jego starożytność, nazywa domem z epoki... i nie wspomina o kanalizacji! A jeśli okna wychodzą na gazownię, mówi się o wyposażeniu i dogodnym położeniu, a nie wspomina o widoku. Wciska się go klientowi... po to tu jesteśmy. Mamy takie różne sposobiki. „Radzimy pani, *madame*, natychmiast złożyć ofertę. Pali się do niego pewien członek parlamentu... dom bardzo mu się podoba. Dziś po południu wybiera się jeszcze raz go obejrzyć”. Biorą się na to za każdym razem... Członek parlamentu to bardzo dobry chwyt. Pojęcia nie mam dlaczego! Żaden z nich nie mieszka poza swoim okręgiem wyborczym. To po prostu solidnie brzmi. — Roześmiał się nagle, pokazując lśniące protezy. — Psychologia, ot co, po prostu znajomość psychologii.

Poirot uchwycił się tego słowa.

— Psychologia. Jakież słuszne. Widzę, że zna się pan na ludziach.

— Coś niecoś. Coś niecoś — przyznał skromnie pan Scuttle.

— Więc pytam pana raz jeszcze, jakie wrażenie zrobił na panu James Bentley? Tak między nami, wyłącznie między nami... myśli pan, że zabił tę staruszkę?

Scuttle wytrzeszczył oczy.

— Oczywiście.

— I sądzi pan również, że było to do niego podobne... w sensie psychologicznym?

— No, skoro pan tak to ujmuje, nie, właściwie nie. Nie sądziłem, żeby mógł się zdobyć na taki czyn. Coś panu powiem, jak już mnie pan pyta. On miał fioła. Jak spojrzeć od tej strony, wszystko się zgadza. Zawsze był trochę słaby na umyśle, a jak się jeszcze doda, że został bez pracy, gryzł się i w ogóle, to miarka się przebrała.

— Nie miał pan żadnego szczególnego powodu, żeby go zwolnić?

Scuttle pokręcił głową.

— Zła pora roku. Personel nie miał co robić. Zwolniliśmy tego, kto był najmniej kompetentny. Padło na Bentleya. Przypuszczam, że zawsze by padło na niego. Dałem mu dobre referencje i tak dalej. Ale nie dostał innego zajęcia. Bez ikry. Robi na ludziach złe wrażenie.

Na koniec zawsze słyszymy to samo, pomyślał Poirot, wychodząc z agencji. James Bentley wywierał niekorzystne wrażenie na ludziach. Poirot szukał pociechy, zastanawiając się nad różnymi znanymi sobie mordercami, którzy na ogół wydawali się pełni wdzięku.

II

— Przepraszam, czy mogę się przysiąść i chwilę z panem porozmawiać?

Poirot, który poszukał schronienia przy stoliku w Niebieskim Kocie, aż drgnął, unosząc wzrok znad uważnie czytanego menu. W Niebieskim Kocie było dosyć ciemno, zakład wyróżniał się staroświecką atmosferą dębowej boazerii i szybek w ołowianych ramkach. Młoda kobieta, która siadała właśnie naprzeciwko Poirota, odcinała się wyraźnie od ciemnego tła.

Miała zdecydowanie złote włosy i ubrana była w jasnoturkusową garsonkę z dzianiny. Co więcej, Poirot był świadomy, że ją gdzieś niedawno widział. Ciągnęła dalej:

— Niechcący, widzi pan, podsłuchałam coś z tego, co pan mówił panu Scuttle'owi. Poirot skinął głową. Zauważył, że ścianki działowe w biurze Breather i Scuttle wzniesiono raczej dla wygody niż zapewnienia dyskrecji. To go nie zmartwiło, jako że przede wszystkim pragnął rozgłosu.

— Pisała pani na maszynie — powiedział — po prawej stronie okna w głębi.

Skinęła potakująco głową. Białe zęby błysnęły w przychylnym uśmiechu. Bardzo zdrowa młoda kobieta o pełnych kształtach, które Poirot lubił. Trzydzieści trzy lub cztery lata, oszacował, i z natury ciemnowłosa, ale nie z tych, którym natura może coś dyktować.

— O panu Bentleyu — dodała.

— Co o panu Bentleyu?

— Będzie apelował? Czy to znaczy, że są jakieś nowe dowody? O, tak się cieszę, nie mogłam, po prostu nie mogłam uwierzyć, że on to zrobił.

Poirot uniósł brwi.

— Więc nigdy pani nie sądziła, że jest winien? — powiedział powoli.

— No, z początku nie. Pomyślałam, że musiała zająć pomyłka. Ale potem te dowody... — Urwała.

— Tak, dowody — powiedział Poirot.

— Po prostu wyglądało, że nikt inny nie mógł tego zrobić. Pomyślałam, że częściowo stracił rozum.

— Czy wydał się pani kiedyś, no, powiedzmy, trochę dziwny?

— O, nie. Nie w ten sposób dziwny. Był tylko nieśmiały i niezręczny, jak się często zdarza. Chodzi o to, że nie umiał się pokazać od najlepszej strony. Brak mu było pewności siebie.

Poirot popatrzył na nią. Jej na pewno nie brakowało pewności siebie. Może miała jej dosyć za dwoje.

— Lubiła go pani? — zapytał. Zarumieniła się.

— Tak, lubiłam. Amy... to ta druga dziewczyna w biurze... śmiała się z niego i nazywała go ciamajdą, ale ja bardzo go lubiłam. Był miły i uprzejmy... i w gruncie rzeczy dużo wiedział. To znaczy, takie książkowe rzeczy.

— Ach tak, książkowe rzeczy.

— Brak mu było matki. Ona od lat chorowała, wie pan. Chociaż właściwie nie była chora, tylko słabowita, i wszystko za nią robił.

Poirot skinął głową. Znał takie matki.

— Ale, oczywiście, też się nim opiekowała. To znaczy, dbała o jego zdrowie, płuca w zimie, i co je, i w ogóle.

Znowu skinął głową. Zapytał:

— Byliście przyjaciółmi?

— Czy ja wiem? Właściwie nie. Rozmawialiśmy czasami. Kiedy stąd odszedł, on... ja... nie widywałam go często. Raz do niego napisałam po przyjacielsku, ale nie odpowiedział.

Poirot zapytał łagodnie:

— Lubi go pani? Odpowiedziała raczej niechętnie:

— Owszem, lubię...

— To wspaniale — powiedział Poirot.

Przeskoczył pamięcią do dnia swego widzenia ze skazanym... Zobaczył wyraźnie Jamesa Bentleya. Włosy mysiego koloru, chuda, niezgrabna sylwetka, ręce ze sterczącymi knykiami i kościstymi przegubami, jabłko Adama na chudej szyi. Rozbiegane, spłoszone, niemal przebiegłe oczy. Nie człowiek otwarty, na którego słowie można polegać — skryty, przebiegły, podstępny, w rozmowie nieuprzejmy i mrukliwy... Takie wrażenie sprawiłby James Bentley na powierzchownym obserwatorze. Takie wrażenie sprawił w sądzie. Typ, który kradnie, kłamie i zabija staruszkę uderzeniem w głowę...

Ale na nadinspektorze Spensie, który znał się na ludziach, nie zrobił takiego wrażenia. Ani na Herkulesie Poirotcie... I teraz jeszcze na tej dziewczynie.

— Jak pani się nazywa, *mademoiselle*? — zapytał.

— Maude Williams. Czy mogłabym coś zrobić... w czymś pomóc?

— Myślę, że tak. Są ludzie, którzy uważają, panno Williams, że James Bentley jest niewinny. Usiłują tego dowieść. Ja prowadzę to śledztwo i mogę panią zapewnić, że już poczyniłem pewne postępy... tak, znaczne postępy.

Wypowiedział to kłamstwo bez mrugnięcia okiem. Jego zdaniem było ono wręcz niezbędne. Trzeba kogoś zaniepokoić. Maude Williams będzie mówić, a pogłoski są jak kamień rzucony do sadzawki: wzbudzają fale rozchodzące się po całej powierzchni.

Powiedział:

— Mówi mi pani, że rozmawialiście z Bentleyem. Opowiadał pani o matce i domu. Nie wspominał kiedyś kogoś, z kim on czy jego matka byli w złych stosunkach?

Maude Williams zastanowiła się.

— Nie... o niczym, co by można nazwać złymi stosunkami. Zdaje się, że jego matka nie przepadała za młodymi kobietami.

— Matki przywiązanych synów nigdy nie lubią młodych kobiet. Nie, myślę o czymś więcej. O jakiejś kłótni rodzinnej, jakimś wrogu... Kimś, kto by chował urazę?

Pokręciła głową.

— O niczym takim nigdy nie wspominał.

— Mówił kiedy o swojej gospodyni, pani McGinty? Wstrząsnęła się lekko.

— Nie wymienił jej nazwiska. Raz powiedział, że za często podaje mu śledzie... a raz, że gospodyni jest zdenerwowana, bo straciła kota.

— Czy... tylko proszę, niech pani powie prawdę... nie wspominał, że wie, gdzie ona trzyma pieniądze?

Rumiana twarz dziewczyny trochę zbladła, ale Maude Williams wyzywająco wysunęła podbródek.

— Rzeczywiście, wspominał. Mówiliśmy o ludziach, którzy nie ufają bankom... i powiedział, że jego gospodyni trzyma oszczędności pod deską podłogi. Powiedział: „Kiedy jej nie ma w domu, mógłbym je wziąć w każdej chwili”. Właściwie nie żartem, on nie żartował, raczej się naprawdę martwił jej lekkomyślnością.

— Ach — powiedział Poirot — to dobrze. To znaczy, z mojego punktu widzenia. Kiedy James Bentley myśli o kradzieży, przedstawia mu się ona jako czyn wykonywany za czyimiś plecami. Mógł być powiedzieć, widzi pani: „Któregoś dnia ktoś ją dla tych pieniędzy zamorduje”.

— Tak czy inaczej, na pewno o tym nie myślał.

— O, nie. Niemniej słowa, nawet wypowiedziane bezmyślnie, tak czy owak zaradzają, jakim się jest człowiekiem. Mądry zbrodniarz nigdy nie powinien otwierać ust, ale zbrodniarze rzadko bywają mądrzy, zwykle są próżni i za wiele gadają... toteż na ogół łapie się ich.

Maude Williams powiedziała nagle:

— Ale ktoś musiał zabić tę staruszkę.

— Naturalnie.

— Kto to zrobił? Pan wie? Ma pan jakiś pomysł?

— Tak — odpowiedział kłamliwie Poirot. — Myślę, że mam bardzo dobry pomysł. Ale jesteśmy dopiero na początku drogi.

Dziewczyna zerknęła na zegarek.

— Muszę wracać. Wolno nam wyjść tylko na pół godziny. Kilchester to dziura... zawsze dotąd pracowałam w Londynie. Da mi pan znać, gdybym mogła się na coś przydać... to znaczy, naprawdę coś zrobić?

Poirot wyjął jedną ze swoich wizytówek. Zapisał na niej adres Na Smugach i numer telefonu.

— Tam się zatrzymałem.

Jego nazwisko, jak zauważył z żalem, nie zrobiło na niej szczególnego wrażenia. Chcąc nie chcąc, odczuł, że młodsze pokolenie wyjątkowo mało wie o sławach tego świata.

III

Herkules Poirot złapał powrotny autobus do Broadhinny w troszkę lepszym nastroju. Przynajmniej jedna osoba podzielała jego wiarę w niewinność Jamesa Bentleya. Nie był tak zupełnie pozbawiony przyjaciół, jak można by sądzić po wrażeniu, jakie robił.

Myślą wrócił do Bentleya w więzieniu. Cóż to było za przygnębiające wrażenie. Wizyta Poirota nie wzbudziła najmniejszej nadziei i prawie żadnego zainteresowania.

— Dziękuję panu — powiedział Bentley, jak mu wypadało — ale nie przypuszczam, aby dało się coś zrobić.

Nie, był pewien, że nie ma żadnych wrogów.

— Kiedy ludzie ledwie zauważają, że człowiek żyje, trudno mieć wrogów.

— A matka? Nie miała jakiegoś wroga?

— Na pewno nie, wszyscy ją lubili i szanowali.

W jego głosie dał się słyszeć leciutki ton oburzenia.

— A pańscy znajomi?

James Bentley odpowiedział, a raczej mruknął:

— Ja nie mam znajomych ani przyjaciół...

Ale to nie była prawda. W Maude Williams miał przyjaciela.

„Cóż to za cudowne zrządzenie natury — pomyślał Herkules Poirot — że każdy mężczyzna, jakkolwiek byłby zewnętrznie niepociągający, znajduje kobietę, która go wybiera.”

Gdyż mimo seksownego wyglądu panny Williams podejrzewał, że w gruncie rzeczy jest ona typem macierzyńskim. Miała cechy, których Jamesowi Bentleyowi brakowało: energię, siłę przebicia, pogardę dla klęski i stanowcze dążenie do sukcesu.

Poirot westchnął.

Jakich to piramidalnych kłamstw naopowiadał! Nie szkodzi, były konieczne.

„Bo gdzieś — powiedział sam do siebie Poirot, płacząc nedorzecznie przysłowia — w tym stogu siana jest igła i człowiek strzela, a Pan Bóg wywołuje wilka z lasu i zobaczymy, co się wylęgnie z tego jajka!”

Rozdział siódmy

Domek, w którym mieszkała pani McGinty, stał parę kroków od przystanku autobusowego. Na progu bawiło się dwoje dzieci. Jedno jadło strasznie z wyglądu robaczy—we jabłko, a drugie wrzeszczało i waliło w drzwi blaszaną tacą. Wyglądały na dosyć szczęśliwe. Poirot powiększył hałas, sam mocno waląc w drzwi.

Zza rogu domu wyjrzała jakaś kobieta. Była w kolorowym kombinezonie i włosy miała w nieładzie.

— Przestań, Ernie — powiedziała.

— Nie przestanę — rzekł Ernie i walił dalej. Poirot opuścił próg i ruszył za róg domu.

— Nie ma rady na dzieciaki — powiedziała kobieta. Poirot pomyślał, że znalazłaby się, ale powstrzymał się przed wypowiedzeniem tego. Przywołała go do drzwi od tyłu.

— Frontowe trzymam zamknięte, proszę pana. Proszę wejść.

Poirot przeszedł przez brudne pomieszczenie ze zlewem do bodaj jeszcze brudniejszej kuchni.

— Nie tu ją zabił — powiedziała kobieta. — W bawialni. Poirot lekko zamrugał.

— O to panu chodzi, co? Pan jest tym cudzoziemcem od Summerhayesów?

— To pani wszystko o mnie wie? — zapytał Poirot. Rozpromienił się. — Tak, istotnie, pani...

— Kiddle. Mój mąż to tynkarz. Cztery miesiące będzie, jakeśmy się wprowadzili. Przedtem mieszkaliśmy u matki Berta... Ludzie mówili: „Chyba się nie wprowadzicie do domu, gdzie kogoś zamordowano?” — ale ja na to, że dom to dom, zawsze lepszy niż pokoik od tyłu i spanie na dwóch krzesłach. Okropny ten brak mieszkań. A zresztą tu nie straszy. Ludzie mówią, że tacy zawsze straszą, ale ona nie! Chce pan zobaczyć, gdzie to było?

Czując się jak na wycieczce z przewodnikiem, Poirot przytaknął.

Pani Kiddle wprowadziła go do pokoiku zapchanego kompletem ciężkich mebli w stylu króla Jakuba. W przeciwieństwie do reszty domu, nic w nim nie wskazywało, żeby ktoś tu kiedyś mieszkał.

— Leżała na podłodze z rozwaloną głową. Pani Elliot o mało nie zemdląła. To ona ją znalazła... ona i Larkin, co roznosi chleb ze spółdzielni. Ale pieniądze zabrał z pokoju na górze. Niech pan idzie, pokażę panu.

Pani Kiddle wprowadziła go schodami do sypialni zawierającej wielką komodę, olbrzymie miedziane łoże, parę krzeseł i całe mnóstwo niemowlęcych ubranek mokrych i suchych.

— To tutaj — powiedziała z dumą.

Poirot rozejrzał się. W tej twierdzy beztroskiej płodności trudno było się dopatrzeć dawnej, wyszorowanej do czysta siedziby starszej pani, szczyłającej się swoim domem. Tu mieszkała i sypiała pani McGinty.

— To chyba nie jej meble?

— O, nie. Wszystkie zabrała jej siostrzenica z Cullavon. Nic tu nie zostało po pani McGinty. Kiddle'owie przyszli i zwyciężyli. Życie jest silniejsze od śmierci.

Z dołu dobiegał głośny, ostry wrzask niemowlęcia.

— Dziecko się zbudziło — niepotrzebnie oznajmiła pani Kiddle.

Zbiegła po schodach na dół, a Poirot udał się za nią.

Nie miał tu czego szukać.

Poszedł do sąsiadów.

II

— Tak, proszę pana, to ja ją znalazłam.

Pani Elliot była postacią dramatyczną. Jej dom był schludny i wymuskany. Jedyne akcenty dramatyczne stanowiła pani Elliot, wysoka, chuda, ciemnowłosa kobieta wspominająca pierwszy i ostatni moment chwały w swoim życiu.

— Przychodzi i puka Larkin, piekarz. „Chodzi o panią McGinty”, powiada. „Pukamy, ale nas nie słyszy. Może jej się coś stało”. „Może i tak”, pomyślałam. Oj, nie była już młoda. Miała palpacje, wiem na pewno. Myślę sobie: „może ją apopleksja tknęła”. No, to lecę, bo widzę, że tam tylko dwóch chłopów, to naturalnie nie chcą wchodzić do sypialni.

Poirot skwitował pomrukiem uznania tę koncesję na rzecz przyzwoitości.

— No i lecę na górę. Tamten stał na podeście i blady był jak ściana. Nie powiem, żebym wtedy coś sobie pomyślała, pewnie, wtedy jeszcze nie wiedziałam, co się stało. Mocno zapukałam, a że nikt nie odpowiadał, nacisnęłam klamkę i wchodzę. Wszystko poprzewracane, deska wyjęta z podłogi. „To napad rabunkowy”, powiadam, „ale gdzie sama biedaczka?” I wtedy pomyśleliśmy, żeby zajrzeć do bawialni. I tam była... Na podłodze, z rozwaloną głową. Morderstwo! Od razu zobaczyłam — morderstwo! Nic innego! U nas, w Broadhinny. Krzyczałam i krzyczałam! Mieli ze mną pełne ręce roboty. Łubudu i zemdlałam. Musieli lecieć i przynosić mi brandy z Trzech Kaczek. Cała dygotałam jeszcze dobrych parę godzin potem. „Nie przejmujcie się tak, matko”, powiada sierżant, jak już przyszedł. „Nie przejmujcie się tak. Idźcie do domu i zróbcie sobie filiżankę dobrej herbaty”. I tak zrobiłam. A kiedy wrócił Elliot, powiada: „Co się stało?”. I wytrzeszcza na mnie oczy. Jeszcze się cała trzęsłam. Od małego jestem taka wrażliwa.

Poirot zρέcznie przerwał te podniecające osobiste wynurzenia.

— Tak, tak, to widać. A kiedy ostatni raz widziała pani biedną panią McGinty?

— To musiało być dzień wcześniej, kiedy wyszła do kuchennego ogródka zerwać trochę mięty. Właśnie karmiłam kury.

— Czy coś do pani mówiła?

— Tylko dobry wieczór i czy się lepiej niosą.

— I wtedy ostatni raz ją pani widziała? Nie widziała jej pani tego dnia, kiedy zginęła?

— Nie. Ale widziałam tamtego — pani Elliot zniżyła głos. — Około jedenastej rano. Tylko jak szedł ulicą. Powłóczył nogami jak zawsze.

Poirot zaczął, ale chyba nie miała już nic do dodania.

— Zdziwiła się pani, jak policja go aresztowała?

— No, zdziwiłam i nie zdziwiłam. Uważa pan, zawsze myślałam, że ma trochę nie po kolei. A nie ma dwóch zdań, tacy stuknięci czasami robią się złośliwi. Mój wujek miał chłopaka niespełna rozumu i ten chłopak potrafił być czasem złośliwy... to znaczy, jak dorósł. Nie znał swojej siły. Tak, ten Bentley był naprawdę stuknięty i nie zdziwię się, jak go nie powieszają, kiedy przyjdzie co do czego, a zamiast tego wyślą do zakładu. No, niech pan popatrzy, gdzie on schował te pieniądze. Nikt by w takim miejscu nie chował pieniędzy, chyba żeby chciał, żeby je znaleźli. Jakiś taki głupi i bez pomysłu, taki on był.

— Chyba, żeby chciał, żeby znaleźli — mruknął Poirot. — Nie zginął pani przypadkiem tasak... albo siekiera?

— Nie, proszę pana. Policja już o mnie o to pytała. Pytali wszystkich z okolicy. Wciąż nikt nie wie, czym ją zabił.

III

Herkules Poirot udał się w stronę poczty.

Morderca chciał, żeby pieniądze znaleziono, ale nie chciał, aby znaleziono narzędzie zbrodni. Pieniądze bowiem wskazywały na Jamesa Bentleya, a narzędzie zbrodni wskazałoby na... kogo?

Pokręcił głową. Odwiedził pozostałe dwa domki. Ich mieszkańcy byli mniej wylewni niż pani Kiddle i nie tak dramatyczni jak pani Elliot. Ich relacje sprowadzały się do tego, że pani McGinty była bardzo przyzwoitą kobietą, która pilnowała własnego nosa, miała siostrzenicę w Cullavon, nikt poza siostrzenicą jej nie odwiedzał, nikt, o ile wiedzieli, nie żywił do niej niechęci ani urazy, po czym pytali, czy to prawda, że szykuje się petycja w sprawie Jamesa Bentleya, i czy ktoś się do nich zwróci, aby ją podpisali.

— Nic mi to nie daje — mówił do siebie Poirot. — Zupełnie nic... najmniejszego światełka. Dobrze rozumiem zniechęcenie nadinspektora Spence'a. Ale w moim wypadku powinno być inaczej. Nadinspektor Spence to dobry i sumienny policjant, ale ja, ja jestem Herkules Poirot. Ja powinienem coś dojrzeć!

Chlupnął jednym lakierkiem w kałużę i skrzywił się.

Jest wielkim, nie mającym sobie równego Herkulesem Poirotem, ale jest także starym już człowiekiem i ma za ciasne buty.

Wszedł na pocztę.

Prawą stronę pomieszczenia zajmowała poczta Jej Królewskiej Mości. Lewa oferowała bogaty asortyment przeróżnych towarów, w tym słodczy, innych artykułów spożywczych, zabawek, wyrobów żelaznych, papierniczych, kartek urodzinowych, włóczki i bielizny dziecięcej.

Poirot bez pośpiechu przystąpił do kupowania znaczków.

Kobieta, która pośpieszyła, by go obsłużyć, była w średnim wieku i miała bystre, inteligentne oczy.

„Nie ma wątpliwości — powiedział sobie Poirot. — Oto, gdzie się znajduje mózg całego Broadhinny”.

Nazywała się, bardzo stosownie, Sweetiman.

— I dwunastopensówki — powiedziała pani Sweetiman, zręcznie wydzierając je z wielkiego arkusza. — To razem będzie cztery funty i dziesięć pensów. Coś jeszcze, proszę pana?

Utkwiła w nim ciekawe spojrzenie. W drzwiach w głębi widać było głowę żywo przysłuchującej się dziewczyny. Miała włosy w nieładzie i katar.

— Jestem tu poniekąd człowiekiem obcym — powiedział uroczyście Poirot.

— Tak jest, proszę pana — przyznała pani Sweetiman. — Zapewne przyjechał pan z Londynu?

— Przypuszczam, że wie pani również dobrze jak ja, co mnie tu sprowadza — powiedział Poirot z lekkim uśmiechem.

— Och, nie, proszę pana, nie mam pojęcia — odpowiedziała pani Sweetiman najzupełniej pro forma.

— Pani McGinty — powiedział Poirot. Pani Sweetiman pokiwała głową.

— Smutna to była sprawa... i wszystkimi wstrząsnęła.

— Spodziewam się, że dobrze ją pani znała?

— O, tak. Można powiedzieć, że jak wszyscy w Broadhinny. Wpadała po jakiś drobiazg, żeby się ze mną zobaczyć. Tak, to straszna tragedia. I jeszcze nie koniec, przynajmniej tak się mówi.

— Powstała wątpliwość... w pewnych kołach... co do winy Jamesa Bentleya.

— Cóż — powiedziała pani Sweetiman — nie pierwszy to raz policja zatrzymałaby nie tę osobę, co należy, choć w tym wypadku chyba tak nie jest. Co nie znaczy, żebym się naprawdę tego po nim spodziewała. Człowiek nieśmiały, niezręczny, ale nie można powiedzieć, że niebezpieczny. Ale w końcu, czy to kiedy wiadomo?

Poirot zaryzykował prośbę o papier listowy.

— Oczywiście, proszę pana, proszę tylko przejść na drugą stronę. — Pani Sweetiman podbiegła do lady pod lewą ścianę.

— Trudno sobie wyobrazić, kto by to mógł być, jak nie pan Bentley — zauważyła, sięgając na najwyższą półkę po papier i koperty. — Włóczą się tu czasami podejrzone typy i jeden z nich mógł wypatrzeć jakieś niezamknięte okno i wleźć tą drogą. Ale taki by się nie ulotnił bez pieniędzy, prawda? Nie po tym, jak dla nich zamordował... i to banknoty funtowe, nienumerowane i nieznaczone. O, proszę, ma pan śliczny papier firmy Bond, niebieski, i koperty do kompletu.

Poirot dokonał zakupu.

— Pani McGinty nigdy nie wspomniała, żeby ktoś ją denerwował albo żeby się kogoś obawiała? — zapytał.

— Nic takiego mi nie mówiła. Nie była nerwowa. Czasami zostawała do późna u pana Carpentera Na Kępie... na wzgórzu. Często mają gości na obiedzie i na noc i wtedy pani McGinty chodziła tam wieczorami, żeby pomóc w zmywaniu, i schodziła na dół po ciemku, a to już mi się nie podobało. Okropnie ciemno... schodzić tam z góry.

— Czy zna pani w ogóle jej siostrzenicę... panią Burch?

— Tyle że do niej czasem zagadam. Wpadają tu ona i mąż.

— Odziedziczyli trochę pieniędzy po śmierci pani McGinty.

Przeszywające czarne oczy spojrzały na niego surowo.

— No, to chyba normalne, proszę pana. Pieniądzy nikt ze sobą do grobu nie zabierze i nie ma nic słuszniej szego niż to, żeby się dostały rodzinie.

— O tak, tak, całkowicie się z panią zgadzam. Czy pani McGinty lubiła siostrzenicę?

— Myślę, że bardzo lubiła, proszę pana. Bez wielkiego gadania.

— A męża siostrzenicy?

Na twarzy pani Sweetiman pojawił się wymijający wyraz.

— O ile wiem, tak.

— Kiedy ostatni raz widziała pani panią McGinty? Pani Sweetiman zastanowiła się, sięgając pamięcią wstecz.

— No, niech pomyślę... kiedy to było, Edna? — Edna w drzwiach bezradnie siąknęła nosem. — Tego dnia, kiedy zginęła? Nie, dzień przedtem... czy jeszcze dzień wcześniej? Tak, to był poniedziałek. Racja. Została zabita w środę. Tak, to był poniedziałek. Przyszła kupić buteleczkę atramentu.

— Potrzebowała buteleczki atramentu?

— Pewno chciała napisać list — powiedziała bystro pani Sweetiman.

— Na to wygląda. I była taka jak zawsze? Nie wydawała się jakaś inna?

— Nnie, chyba nie.

Siąkająca nosem Edna przyczłapała zza drzwi do sklepu i nagle włączyła się do rozmowy.

— Była inna — stwierdziła. — Z czegoś zadowolona... no... właściwie nie zadowolona... przejęta.

— Może masz rację — powiedziała pani Sweetiman.

— Co nie znaczy, żebym to wtedy zauważyła. Ale teraz, jak to mówisz... może jakaś ozywiona?

— Nic pani sobie nie przypomina, co tego dnia mówiła?

— Normalnie bym nie pamiętała. Ale po tym, jak została zamordowana, z tą policją i w ogóle, wtedy wychodzą różne rzeczy. Nic nie mówiła o Jamesie Bentleyu, to pewne. Mówiła coś o Carpenterach i o pani Upward... Wie pan, o tych domach, gdzie pracowała.

— Och, tak. Właśnie miałem panią zapytać, u kogo pracowała.

Pani Sweetiman odpowiedziała bez zwłoki.

— W poniedziałki i czwartki chodziła do pani Summerhayes Na Smugach. To chyba tam, gdzie się pan zatrzymał?

— Tak — westchnął Poirot. — Zdaje się, że nie ma innego miejsca, gdzie by się można tu zatrzymać?

— Nie w samym Broadhinny, tu nie ma. Myślę, że nie jest panu za wygodnie Na Smugach? Pani Summerhayes jest miła, ale pojęcia nie ma o prowadzeniu domu. Żadna kobieta wracająca z zagranicy nie zna się na tym. Straszny bałagan miała tam zawsze do sprzątania pani McGinty, przynajmniej tak mówiła. Tak, w poniedziałki po południu i w czwartki rano pani Summerhayes, następnie wtorki rano doktor Rendell, a po południu pani Upward w Szczodrzeńcach. W środy pani Wetherby w Zagrodzie Myśliwego, a w piątki pani Selkirk... teraz ona jest panią Carpenter. Pani Upward to starsza dama, która mieszka z synem. Mają pokojówkę, ale starzeje się i pani McGinty chodziła tam raz w tygodniu, żeby nadgonić pracę. U państwa Wetherbych nikt się chyba długo nie utrzyma... pani domu to osoba słabego zdrowia. Państwo Carpenterowie mają piękny dom i dużo przyjmują. Wszystko to bardzo przyzwoici ludzie.

Z tą nieodwołalną oceną mieszkańców Broadhinny Poirot z powrotem wyszedł na ulicę.

Szedł powoli pod górę w stronę domu Na Smugach. Żywił pobożną nadzieję, że zawartość wypuczonej puszki i poplamiony krwią groch zostały jak należy zjedzone na lunch i nie zachowano ich na kolacje jako poczęstunku dla niego. Ale mogły tam być inne podejrzone puszki. Życie w domu Na Smugach niewątpliwie kryło niebezpieczeństwa.

Ten dzień przyniósł mu na ogół same rozczarowania.

Czego się dowiedział?

Że James Bentley ma przyjazną duszę. Że ani on, ani pani McGinty nie mieli wrogów. Że pani McGinty robiła wrażenie podnieconej na dwa dni przed śmiercią i kupiła buteleczkę atramentu... Poirot zatrzymał się jak wryty. Czyżby znalazł fakt, drobny, ale wreszcie fakt?

Zapytał bezmyślnie, na co mogła być potrzebna pani McGinty buteleczka atramentu, a pani Sweetiman odpowiedziała całkiem poważnie, że jak przypuszcza, chciała napisać list.

Miało to swoją wagę... wagę, która omal mu nie umknęła, ponieważ dla niego, jak dla większości ludzi, pisanie listu jest czynnością powszednią.

Ale nie było nią dla pani McGinty. Pisanie listu było dla pani McGinty czymś tak niecodziennym,

że kiedy zapragnęła to uczynić, musiała kupić buteleczkę atramentu.

A zatem pani McGinty rzadko pisywała listy. Pani Sweetiman, kierowniczka poczty, najbardziej była tego świadoma. Ale na dwa dni przed śmiercią pani McGinty napisała list. Do kogo pisała i dlaczego?

Mogło to nie mieć najmniejszego znaczenia. Mogła napisać do siostrzenicy... do jakiejś nieobecnej przyjaciółki. To absurd przywiązywać dużą wagę do czegoś tak zwykłego jak buteleczka atramentu.

Ale było to wszystko, co znalazł, i zamierzał pójść tym śladem.

Buteleczka atramentu...

Rozdział ósmy

List? — Bessie Burch pokręciła głową. — Nie, nie dostałam od cioci żadnego listu. O czym by miała do mnie pisać?

— Może chciała o czymś panią powiadomić — podsunął Poirot.

— Ciocia nie przepadała za pisaniem. Wie pan, szło jej na siedemdziesiątkę, a kiedy była młoda, nie chodziło się tyle do szkoły.

— Ale umiała czytać i pisać?

— Och, oczywiście. Nie czytała za wiele, ale lubiła „News of the World” i „Sunday Comet”. Z pisaniem zawsze miała kłopoty. Jak chciała mnie o czymś zawiadomić, na przykład, żebyśmy do niej nie przychodzili, albo chciała dać znać, że ona do nas nie przyjdzie, zwykle dzwoniła do pana Bersona, aptekarza obok, i on nam przekazywał wiadomość. Bardzo uczynny człowiek. Widzi pan, jesteśmy w jednej strefie, tak że to kosztuje tylko dwa pency. Na poczcie w Broadhinny jest kabina.

Poirot skinął głową. Doceniał fakt, że lepiej wydać dwa pency niż dwa i pół. Miał już obraz pani McGinty jako kobiety zapobiegliwej i oszczędnej. Bardzo lubiła pieniądze, pomyślał.

Przycisnął lekko panią Burch

— Ale myślę, że ciotka czasami do pani pisywała?

— No, kartki na Boże Narodzenie.

— I mogła mieć znajomych w innych częściach Anglii, do których pisywała?

— O nikim takim nie wiem. Miała szwagierkę, ale ona dwa lata temu umarła, i taką panią Birdlip... ale ona też nie żyje.

— Więc jeżeli do kogoś napisała, to najprawdopodobniej w odpowiedzi na otrzymany list?

Na twarzy Bessie Burch znowu odbiło się niedowierzanie.

— Nie wiem, kto by miał do niej pisać, naprawdę... Oczywiście — twarz jej się rozjaśniła — to zawsze mógł być rząd.

Poirot przyznał, że w dzisiejszych czasach kontakty z tym, co Bessie Burch ogólnie nazwała rządem, są raczej regułą niż wyjątkiem.

— I zwykle to jakieś głupoty — powiedziała pani Burch. — Formularze do wypełnienia z kupą wścibskich pytań, których nie powinno się zadawać uczciwemu człowiekowi.

— Więc pani McGinty mogła dostać jakieś pismo urzędowe, na które musiała odpowiedzieć?

— Gdyby dostała, przysłaby z nim do Joe, żeby jej pomógł. Do takich rzeczy nie miała głowy i zawsze przychodziła z nimi do Joe.

— Nie pamięta pani, czy wśród jej osobistych rzeczy nie było jakichś listów?

— Właściwie trudno mi powiedzieć. Nic nie pamiętam. Ale też najpierw zabrała wszystko policja. Dopiero po jakimś czasie pozwolili mi to zapakować i zabrać.

— Co się stało z tymi rzeczami?

— O, ta komoda jest po cioci... solidny mahoń, a na górze mamy szafę, no i było jeszcze trochę przyzwoitych kuchennych rzeczy. Resztę sprzedaliśmy, bo nie mamy na to miejsca.

— Mam na myśli jej rzeczy osobiste. — Dodał: — Takie jak szczotki i grzebienie, fotografie, przybory toaletowe, ubrania...

— Ach, to. No, przyznam się, że wszystko zapakowałam do walizki i jeszcze stoi na górze. Właściwie nie wiem, co z tym zrobić. Myślałam, żeby ubrania zanieść na kiermasz bożonarodzeniowy, ale zapomniałam. Jakoś nieładnie je oddawać do któregoś z tych paskudnych sklepów z używaną odzieżą.

— Zastanawiam się... może mógłbym obejrzeć zawartość tej walizki?

— Ależ proszę. Choć myślę, że nie znajdzie tam pan nic, co by panu pomogło. Wie pan, policja wszystko już przejrzała.

— Och, wiem, ale mimo to...

Pani Burch zaprowadziła go zwawo do maleńkiej sypialni w głębi domu, używanej — zdaniem Poirota — głównie jako domowa szwalnia. Wysunęła walizkę spod łóżka i powiedziała:

— Proszę, niech mi pan wybaczy, że pana zostawię, ale muszę zajrzeć do pieczeni. — Poirot z ulgą pozwolił jej odejść i posłuchał, jak z dudnieniem schodzi po schodach. Przysunął sobie walizkę i otworzył.

Przywitał go zapach kulek przeciwmolowych.

Z uczuciem litości wyjmował zawartość walizki tak wymownie ukazującą nieżyjącą już kobietę. Znoszony długi czarny płaszcz. Dwa wełniane sweterki. Żakiet i spódnica. Pończochy. Ani jednej sztuki bielizny (pewnie Bessie Burch wzięła ją dla siebie). Dwie pary butów owinięte w gazetę. Szczotka i grzebień, podniszczone, ale czyste. Stare, wygięte, oprawione w srebro lustro. W skórzanej oprawce fotografia młodej pary ubranej w stylu sprzed trzydziestu lat —zapewne zdjęcie pani McGinty z mężem. Dwie widokówki z Margate. Porcelanowy piesek. Przepis na marmoladę z dyni wycięty z gazety. Inny strzęp gazety z sensacyjną wzmianką o latających talerzach. Trzeci wycinek dotyczył przepowiedni Matki Shipton. Była jeszcze Biblia i modlitewnik.

Żadnych torebek ani rękawiczek. Pewno wzięła je Bessie Burch albo komuś oddała. Te ubrania, ocenił Poirot, dla zażywej Bessie Burch byłyby za małe. Pani McGinty była chudą, niedużą kobietą.

Rozwinął jedną parę butów. Były w całkiem dobrym gatunku i niezbyt znoszone. Zdecydowanie za małe na Bessie Burch.

Już miał je schludnie zapakować z powrotem, kiedy jego oczy przyciągnął nagłówek gazety.

Była to „Sunday Comet” z 19 listopada. Pani McGinty zginęła 22 listopada. Tę zatem gazetę kupiła w niedzielę przed śmiercią. Leżała w jej pokoju i z kolei Bessie Burch posłużyła się nią do zapakowania rzeczy ciotki.

Niedziela 19 listopada. A w poniedziałek pani McGinty poszła na pocztę kupić buteleczkę atramentu...

Może dlatego, że coś wyczytała w niedzielnej gazecie? Rozwinął drugą parę butów. Była owinięta w „News of the World” z tą samą datą.

Wyglądził obydwie gazety, zaniósł je na krzesło i usiadł, żeby przeczytać. I od razu dokonał odkrycia. Z jednej ze stron „Sunday Comet” coś wycięto. Prostokątny kawałek ze środkowej strony. Dziura była za duża, by pasował do niej któryś ze znalezionych wycinków.

Przejrzał obydwie gazety, ale nie znalazł w nich nic interesującego. Z powrotem owinał nimi buty i porządnie zapakował walizkę.

Potem zszedł na dół.

Pani Burch krzątała się po kuchni.

— Na pewno nic pan nie znalazł — powiedziała.

— Niestety, nic — potwierdził Poirot i dodał jakby mimochodem: — Nie pamięta pani, czy w sakiewce albo torebce ciotki nie było jakiegoś wycinka z gazety?

— Niczego takiego nie pamiętam. Może policja go zabrała.

Ale policja go nie zabrała. O tym Poirot wiedział z notatek Spence’a. Zawartość torebki zmarłej spisano i nie było w niej żadnego wycinka gazetowego.

— *Eh bien* — powiedział sam do siebie Herkules Poirot. — Następny krok jest łatwy. Albo okaże się, że to jakaś bzdura... albo zaczynam wreszcie robić postępy.

II

Siedząc absolutnie nieruchomo przed plikiem zakurzonych gazet, Poirot stwierdził, że znaczenie, jakie przypisał buteleczce atramentu, nie było zawodne.

„Sunday Comet” lubowała się w romantycznej dramatyzacji wydarzeń z przeszłości.

Numer „Sunday Comet”, na który spoglądał Herkules Poirot, pochodził z niedzieli 19 listopada.

U góry środkowej strony widniały wypisane wielkimi literami następujące słowa:

KOBIETY, KTÓRE BYŁY KIEDYŚ

OFIARAMI TRAGEDII.

GDZIE SĄ DZIŚ TE KOBIEITY?

Pod tym nagłówkiem widniały niewyraźne reprodukcje czterech zrobionych przed wieloma latami zdjęć.

Osoby uwiecznione na nich nie wyglądały tragicznie. Prawdę mówiąc, wyglądały raczej śmiesznie, jako że prawie wszystkie ubrane były według dawno przebrzmiałej mody, a nie ma nic śmieszniejszego od wczorajszej mody — nawet jeżeli za trzydzieści lat jej urok może powrócić, a w każdym razie od nowa stać się dla kogoś pociągający.

Pod każdym zdjęciem znajdowało się nazwisko.

„Eva Kane, »druga kobieta« ze słynnej sprawy Craiga”.

„Janice Courtland, »tragiczna żona«, której mąż był szatanem w ludzkim ciele.” „Mała Lily Gamboll, tragiczne dziecko naszej epoki przeludnienia.”

„Vera Blake, niczego nieświadoma żona zabójcy.”

Po czym następowało pytanie, znowu wielką czcionką:

GDZIE SĄ DZIŚ TE KOBIEITY?

Poirot zmrużył oczy i zabrał się do skrupulatnego czytania tej cokolwiek romantycznej prozy przedstawiającej historie życia niewyraźnych i zamazanych heroin.

Nazwisko Ewy Kane pamiętał, gdyż sprawa Craiga była bardzo głośna. Alfred Craig był miejskim archiwariuszem w Parminster, sumiennym, dość nijakim urzędnikiem, człowiekiem poprawnym i uprzejmym. Na swoje nieszczęście ożenił się z kobietą trudną i pełną temperamentu. Pani Craig wpędziła go w długi, tyranizowała go i dręczyła, i cierpiała na nerwowe przypadłości, które zdaniem

nieuprzejmych znajomych były najzupełniej wyimaginowane. Eva Kane pracowała u nich jako guwernantka do dziecka.

Miała dziewiętnaście lat, była ładna, bezradna i dosyć łatwowierna. Beznadziejnie zakochała się w Craigu, a on w niej. Potem pewnego dnia sąsiedzi się dowiedzieli, że pani Craig zalecono wyjazd za granicę „dla zdrowia”. Tak opowiadał Craig. Zawiózł ją pewnego wieczora samochodem do Londynu, celu pierwszego etapu podróży, i „wyprawił” na południe Francji. Następnie wrócił do Parminster i od czasu do czasu opowiadał, że według listownych zapewnień żony stan jej zdrowia nic się nie polepsza. Eva Kane została, aby mu prowadzić dom, i niedługo języki poszły w ruch. Wreszcie Craig otrzymał wiadomość o śmierci żony za granicą. Wyjechał i po tygodniu wrócił, przywoząc sprawozdanie z pogrzebu.

Pod pewnymi względami Craig był człowiekiem naiwnym. Popęłił błąd, wymieniając nazwę miejscowości, w której miała umrzeć jego żona, dosyć znane uzdrowisko na Riwierze Francuskiej. Wystarczyło, że ktoś, kto miał tam krewnego czy znajomego, napisał do niego, a wydało się, że nikt o takim nazwisku nie zmarł ani nie został tam pochowany, i po okresie, w którym rozpętało się prawdziwe szaleństwo plotek, zwrócił się do policji.

Dalszy tok spraw można streścić w paru słowach.

Pani Craig nie wyjechała na Riwierę. Została dokładnie pokrajana i pochowana w piwnicy Craigów. Analiza szczątków wykazała zatrucie jakimś roślinnym alkaloidem.

Craiga aresztowano i postawiono przed sądem. Evę Kane na początku oskarżono o współudział, ale od oskarżenia odstąpiono, kiedy się wyjaśniło, że przez cały czas była najzupełniej nieświadoma tego, co się stało. Craig na koniec do wszystkiego się przyznał, został skazany i wyrok na nim wykonano. Eva Kane, która oczekiwała dziecka, wyjechała z Parminster i według „Sunday Comet” znalazła schronienie w domu uczynnych krewnych z Nowego Świata. Zmieniwszy nazwisko, nieszczęsna dziewczyna, uwiedziona w tak ufnym wieku przez bezlitosnego mordercę, na zawsze opuściła brzegi Anglii, aby zacząć nowe życie, pochować w swym sercu i ukryć przed córką imię jej ojca. „Moja córka będzie wzrastała szczęśliwa i niewinna. Okrutna przeszłość nie zbruka jej życia. Tak sobie poprzysięgam. Tragiczne wspomnienia zachowam wyłącznie dla siebie.”

Biedna, słaba i ufna Eva Kane. W tak młodym wieku poznać niegodziwość i podłość mężczyzny! Gdzież ona jest teraz? Może w jakimś miasteczku Środkowego Zachodu żyje starsza kobieta, spokojna i ciesząca się szacunkiem sąsiadów, może tylko oczy ma smutne... a młoda kobieta, szczęśliwa i wesół, też matka dzieciom, przyjeżdża odwiedzić mamę i opowiada jej o drobnych nieporozumieniach i codziennych kłopotach... nie mając pojęcia, jakie tamta cierpienia przeżyła w przeszłości?”

— O, la, la — powiedział Herkules Poirot. I przeszedł do drugiej tragicznej ofiary.

Janice Courtland, „tragiczna żona”, rzeczywiście miała pecha w wyborze męża. Jego dziwne obyczaje, o których napomykano tak ostrożnie, że natychmiast budziły ciekawość, zносиła przez osiem lat. Osiem lat męczeństwa, stwierdzała kategorycznie „Sunday Comet”. Potem Janet pozyskała przyjaciela. Idealistę z głową w chmurach, młodego człowieka, który wstrząśnięty widzianą

przypadkiem sceną pomiędzy mężem i żoną, natarł na męża z taką energią, że ten rozbił sobie czaszkę o ostry kant marmurowego kominka. Przysięgli stwierdzili, że prowokacja była silna, że młody idealista nie miał zamiaru zabić, i wymierzili mu wyrok pięciu lat więzienia za nieumyślne zabójstwo. Udręczona Janice, przerażona całym tym rozgłosem, jaki przyniosła jej rozprawa, wyjechała za granicę „zapomnieć”.

„Czy zapomniała? — zapytywała „Sunday Comet”. — Mamy nadzieję, że tak. Gdzieś może żyje szczęśliwa żona i matka, której te lata znoszonego w milczeniu koszmarnego cierpienia wydają się dziś złym snem...”

— No, no — powiedział Herkules Poirot i zajął się Lily Gamboll, tragicznym dziecięciem epoki przeludnienia.

Lily Gamboll, jak się wydaje, zabrano z wielodzietnego domu. Odpowiedzialność za jej los wzięła na siebie jakaś ciotka. Lily chciała poświęcić się filmowi, ciotka powiedziała: nie. Lily Gamboll złapała tasak leżący poręcznie na stole i uderzyła. Ciotka, choć apodyktyczna, była mała i krucha. Cios okazał się śmiertelny. Lily, jak na swoje dwanaście lat, była dzieckiem dobrze rozwiniętym i muskularnym. Pewna renomowana szkoła otworzyła swoje podwoje i Lily zniknęła ze sceny.

„Teraz jest już dorosłą kobietą, znowu wolno jej zająć należne miejsce w naszej cywilizacji. Podobno w czasie odosobnienia i próby prowadziła się przykładowo. Czyż to nie dowód, że nie dziecko, lecz system musimy obarczać winą? Wychowana w niewiedzy, mała Lily stała się ofiarą swego środowiska. Dziś, odpokutowawszy tragiczny błąd, żyje gdzieś szczęśliwie, mamy nadzieję, jako dobra obywatelka, przykładna żona i matka. Biedna mała Lily Gamboll.” Poirot pokręcił głową. Dwunastoletnia dziewczynka, która podniosła na ciotkę tasak i uderzyła ją na tyle mocno, żeby zabić, nie była jego zdaniem dobrym dzieckiem. W tym wypadku jego sympatia była po stronie ciotki.

Przeszedł do Vera Blake.

Vera Blake najwyraźniej należała do kobiet, którym nic się nie udaje. Najpierw zesłała się z chłopcem, który okazał się gangsterem poszukiwanym przez policję za zabicie strażnika w banku. Potem wyszła za cieszącego się szacunkiem kupca, który, jak się okazało, przyjmował skradzione towary. Podobnie jej dwoje dzieci w swoim czasie przyciągnęło uwagę policji. Chodziły z mamą do domów towarowych i popisafy się całą serią kradzieży. Na koniec jednak na scenie pojawił się „uczciwy człowiek”. Zaoferował tragicznej Yerze dom w Dominiach. Zdecydowała się razem z dziećmi opuścić ten pozbawiony przeszłości kraj.

„Teraz czekało ich nowe życie. Na koniec, po wielu latach, kiedy to zły los zsyłał jej cios za ciosem, kończyły się kłopoty Vera.”

— No, no — powiedział Poirot sceptycznie. — Łatwo się może okazać, że wyszła za oszusta obrabiającego liniowce!

Odchylił się na oparcie krzesła i przyjrzał czterem fotografiom. Eva Kane z nastroszoną kędzierzawą fryzurą nad uszami i w olbrzymim kapeluszu trzymała przy uchu jak słuchawkę telefonu wiązanek róż. Janice Courtland była w kapeluszu naciągniętym na uszy i miała talię na wysokości

bioder. Lity Gamboll była nieładnym dzieckiem z otwartymi ustami, jakby miała powiększony trzeci migdałek utrudniający oddychanie i nosiła grube szkła. Vera Blake była tak tragicznie czarno-biała, że jej rysów w ogóle nie dało się rozróżnić.

Z jakiegoś powodu pani McGinty wycięła ten artykuł, razem z fotografiami. Dlaczego? Tylko dlatego, że te historie ją zainteresowały? Nie sądził. Pani McGinty niewiele zachowała rzeczy w swoim z górą sześćdziesięcioletnim życiu. Poirot wiedział o tym z raportów policyjnych wyszczególniających wszystko, co posiadała.

Wycięła to w niedzielę, a w poniedziałek kupiła buteleczkę atramentu, z czego wniosek, że ona, która nigdy tego nie robiła, miała zamiar napisać list. Gdyby to był list urzędowy, na pewno poprosiłaby o pomoc Joe Burcha. Nie było to zatem nic urzędowego. Więc co?

Poirot jeszcze raz przyjrzał się zdjęciom. „Gdzie — pytała „Sunday Comet” — są dzisiaj te kobiety?”

Jedna z nich, pomyślał Poirot, mogła być w listopadzie zeszłego roku w Broadhinny.

III

Dopiero na drugi dzień Poirot znalazł się tęte—r—tęte z panną Pamelą Horsefall.

Panna Horsefall nie mogła mu poświęcić wiele czasu, ponieważ musiała pędzić do Sheffield, wyjaśniła.

Panna Horsefall była wysoka, wyglądała jak mężczyzna, tego piła i paliła, i mogłoby się wydawać, kiedy się na nią spojrzało, wysoce nieprawdopodobne, że to z jej pióra spłynął ten sentymentalny syrop „Sunday Comet”. Niemniej tak było.

— No, niechże pan to wykrztusi — niecierpliwie domagała się panna Horsefall od Poirota. — Muszę lecieć.

— Chodzi o pani artykuł w „Sunday Comet”. Z listopada zeszłego roku. Ten cykl o tragicznych kobietach.

— Ach, ten cykl. Parszywa chała, co?

Poirot nie wyraził swojego zdania na ten temat. Powiedział:

— W szczególności chciałem zapytać o artykuł o kobietach zamieszanych w zbrodnię, który ukazał się 19 listopada. Dotyczył Ewy Kane, Very Blake, Janice Courtland i Lily Gamboll.

Panna Horsefall wyszczerzyła zęby.

— „Gdzie są dziś te tragiczne kobiety?” Pamiętam.

— Przypuszczam, że czasami dostaje pani listy po ukazaniu się takich artykułów?

— Jeszcze ile! Niektórzy nic lepszego nie mają do roboty, niż pisać listy. Ktoś „widział kiedyś tego mordercę Craiga na ulicy”. Ktoś by chciał opowiedzieć historię swego życia, „dużo bardziej tragiczną, niż mogę sobie wyobrazić”.

— Czy po ukazaniu się tego artykułu dostała pani list od niejakiej pani McGinty z Broadhinny?

— Drogi panie, skąd, u licha, miałabym to wiedzieć? Dostaję worki listów. Jak miałabym pamiętać jakieś jedno nazwisko?

— Myślę, że to mogłaby pani zapamiętać — powiedział Poirot — bo parę dni potem pani McGinty została zamordowana.

— Teraz, jak pan o tym wspomniał... — Panna Horsefall zapomniała, że spieszy się do Sheffield, i usiadła okrakiem na krześle. — McGinty... McGinty... rzeczywiście przypominam sobie to nazwisko. Stuknięta w głowę przez lokatora. Niezbyt sensacyjna zbrodnia z punktu widzenia

czytelników. Pozbawiona seksapilu. Mówi pan, że ta kobieta do mnie napisała?

— Napisała do „Sunday Comet”, jak sędzę.

— To to samo. Przyszedłby do mnie. I po tym morderstwie... po tym, jak jej nazwisko znalazło się w prasie... na pewno bym pamiętała... — Urwała. — Poczekaj pan... list nie był z Broadhinny. Był z Broadwayu.

— Więc pamięta pani.

— No, nie jestem pewna... ale to nazwisko... Komiczne, no nie? McGinty! Skandaliczna bazgranina, zupełna analfabetka. Gdybym tylko zdała sobie sprawę... Ale na pewno przyszedł z Broadwayu.

— Sama pani mówi, że pismo było okropne — powiedział

Poirot. — Broadway i Broadhinny... mogło to wyglądać podobnie.

— Tak... tak mogło być. Ostatecznie trudno się spodziewać, żeby człowiek znał wszystkie te dziwaczne wiejskie miejscowości. McGinty... tak. Wyraźnie pamiętam. Może to morderstwo utrwaliło mi w pamięci nazwisko.

— Nie może pani sobie przypomnieć, o czym pisała?

— Coś o fotografii. Wiedziała, gdzie jest taka sama fotografia jak ta w gazecie... Czy jej za to zapłacimy i ile.

— 1 odpisała pani?

— Drogi panie, broń nas Boże przed czymś takim. Odpowiadamy szablonowo. Grzeczne dzięki, ale nic się nie da zrobić. Ale skoro odpisaliśmy na Broadway... nie sędzę, żeby kiedykolwiek dostała odpowiedź.

— Wiedziała, gdzie jest fotografia...

Poirotowi coś się przypomniało. Beztroski głos Maureen mówiącej:

„Oczywiście, była trochę wścibska”.

Pani McGinty była wścibska. Uczciwa, ale lubiła wszystko wiedzieć. A ludzie przechowywali rzeczy... głupie, bez znaczenia pamiątki z przeszłości. Przechowywali je ze względów sentymentalnych albo przez zwykłe przeoczenie, nie pamiętając, że je mają.

Pani McGinty zobaczyła jakąś starą fotografię, a potem rozpoznała jej reprodukcję w „Sunday Comet”. I zainteresowało ją, czy nie ma w tym jakichś pieniędzy...

Rześko wstał.

— Dziękuję pani, panno Horsefall. Proszę mi wybaczyć, ale czy te notatki o sprawach, które pani napisała, były zgodne z prawdą? Zauważyłem, na przykład, że błędnie był podany rok rozprawy Craiga... odbyła się ona w rzeczywistości rok później, niż pani pisze. A co się tyczy sprawy pani Courtland, imię męża brzmiało Herbert, o ile dobrze pamiętam, nie Hubert. Ciotka Lily Gamboll mieszkała w Buckinghamshire, nie w Berkshire.

Panna Horsefall machnęła papierosem.

— Mój drogi. Nie chodzi o dokładność. Cała ta historia to od początku do końca potrawka przyprawiona romantycznym sosem. Obkułam się trochę w faktach, a potem puściłam wodze fantazji.

— Chodzi mi o to, że może nawet pani bohaterki nie były takie, jak je pani przedstawiła.

Pamela wydała odgłos przypominający rżenie konia.

— Oczywiście, że nie były. Cóż pan sobie myśli? Nie nam najmniejszych wątpliwości, że Eva Kane to skończona suka, a nie żadna skrzywdzona niewinność. A co do tej Courtland, dlaczego przez osiem lat znosiła w milczeniu tego zboczonego sadystę? Bo tarzał się w forsie, a jej romantyczny chłoptaş nie śmierdział groszem.

— A tragiczne dziecko, Lily Gamboll?

— Już ja bym wolała, żeby nie podskakiwała przy mnie z tasakiem w ręku.

Poirot odliczył je na palcach.

— Wyjechała z kraju... udała się do Nowego Świata... za granicę... „do Dominiów”... „rozpocząć nowe życie”. I nic nie wskazuje na to, że z biegiem czasu wróciły do kraju?

— Nic a nic — przyznała panna Horsefall. — A teraz... naprawdę muszę lecieć... Później tego wieczora Poirot zadzwonił do Spence’a.

— Myślałem o panu, Poirot. Ma pan coś? Cokolwiek?

— Przeprowadziłem swoje dochodzenia — powiedział ponuro Poirot.

— I?

— I oto ich wynik: Wszyscy mieszkańcy Broadhinny to bardzo przyzwoici ludzie.

— Co chce pan przez to powiedzieć, *monsieur* Poirot?

— Ach, przyjacielu, niech pan pomyśli. „Bardzo przyzwoici ludzie”. To już bywało motywem morderstwa.

Rozdział dziewiąty

I

Wszyscy bardzo przyzwoici — mrucał Poirot, skręcając w furtkę domu Na Rozdrożu przy dworcu.

Miedziana tabliczka na słupku furtki głosiła, że mieszka tu doktor Rendell, lekarz medycyny.

Doktor Rendell był roslym, pogodnym czterdziestolatkiem. Powitał Poirota z wyraźnym *empressement*.

— Obecność wielkiego Herkulesa Poirota — powiedział — to zaszczyt dla naszego cichego miasteczka.

— Ach — powiedział Poirot. Był zadowolony. — Więc pan o mnie słyszał?

— Oczywiście, że słyszeliśmy o panu. Któż by nie słyszał? Udzielenie odpowiedzi na to pytanie przyniosłoby uszczerbek miłości własnej Herkulesa. Powiedział więc tylko uprzejmie:

— Miałem szczęście zastać pana w domu.

Nie był to żaden szczęśliwy traf, ale przeciwnie, rezultat chytrze wybranej pory. Ale doktor Rendell odpowiedział z całą serdecznością:

— Tak, akurat mnie pan zastał. Za piętnaście minut zaczynam przyjmować. Więc czym mogę panu służyć? Zzera mnie ciekawość, co pan tu porabia. Kuracja wypoczynkowa? Czy mamy tu jakąś zbrodnię?

— W czasie przeszłym... nie teraz.

— Przeszłym? Nie pamiętam...

— Pani McGinty.

— Oczywiście. Oczywiście. Już zapominam. Ale proszę mi nie mówić, że tym się pan zajmuje... tak późno.

— Jeśli wolno, powiem panu w zaufaniu, że zatrudniła mnie obrona. Nowe dowody, by wnieść apelację.

Doktor Rendell zapytał obcesowo:

— Ale jakie mogą być nowe dowody?

— Tego, niestety, nie wolno mi rozgłaszać...

— Och, istotnie... proszę wybaczyć.

— Ale natrafiłem na to i owo... że tak powiem... bardzo ciekawe rzeczy... bardzo, jak to ująć?... dające wiele do myślenia. Przychodzę do pana, panie doktorze, ponieważ, jak rozumiem, pani McGinty była u pana czasami zatrudniana.

— O, tak, tak, była... Nie napije się pan? Sherry? Whisky? Woli pan sherry? To tak jak ja. — Przyniósł szklanki i usiadłszy obok Poirota, ciągnął dalej: — Przychodziła zwykle raz na tydzień zrobić ekstraspzątanie. Mam bardzo dobrą gosposię... znakomitą... ale brązy... i szorowanie kuchennej podłogi... cóż, moja pani Scott ma trudności z pracą na klęczkach. McGinty była znakomitą pracownicą.

— Czy uważa pan, że była osobą godną zaufania?

— Godną zaufania? Cóż, to dziwne pytanie. Nie sądzę, żebym mógł powiedzieć... nie miałem okazji sprawdzić. O ile wiem, raczej zasługiwała na zaufanie.

— A zatem, gdyby coś komuś powiedziała, sądzi pan, że byłoby to zgodne z prawdą?

Doktor Rendell wyglądał na trochę zakłopotanego.

— Och, wolałbym tak daleko się nie posuwać. W gruncie rzeczy mało o niej wiem. Mogę spytać panią Scott. Ona będzie lepiej wiedziała.

— Nie, nie. Lepiej byłoby tego nie robić.

— Budzi pan moją ciekawość — powiedział jowialnie doktor Rendell. — O czym to rozpowiadała? Coś, co pachnie oszczerstwem? Chciałem powiedzieć, potwarzą?

Poirot tylko pokręcił głową. Powiedział:

— Rozumie pan, wszystko to na razie absolutna tajemnica. Jestem na samym początku swoich dochodzeń.

Doktor Rendell powiedział raczej sucho:

— Będzie się pan musiał trochę pośpieszyć.

— Ma pan rację. Nie rozporządzam dużą ilością czasu.

— Muszę przyznać, że pan mnie zdumiewa... wszyscy tu byliśmy raczej pewni, że zrobił to Bentley. Wydawało się, że nie może być żadnych wątpliwości.

— Wydawało się, że to zwykła zbrodnia dla pieniędzy... nic ciekawego. Tak by pan to nazwał?

— Tak, tak, całkiem dobrze to pan ujął.

— Znał pan Jamesa Bentleya?

— Raz czy dwa był u mnie jako pacjent. Martwił się o swoje zdrowie. Psuty przez matkę, zdaje mi się. Tak, często się to spotyka. Mamy tu inny przypadek tego rodzaju.

— Doprawdy?

— Tak. Panią Upward. Laureę Upward. Trzęsie się nad tym swoim synalkiem. Uwiązała go sobie do spódnicy. To zdolny facet... zresztą, mówiąc między nami, nie taki zdolny, za jakiego się uważa... ale na pewno utalentowany. Obiecujący dramaturg z naszego Robina.

— Dawno tu mieszkają?

— Od trzech lub czterech lat. Nie ma nikogo, kto by długo mieszkał w Broadhinny. Dawna wieś to było tylko parę domków wokół domu Na Smugach. Tam się pan zatrzymał, o ile dobrze rozumiem?

— Tak — przyznał Poirot z niestosowną dumą. Doktor Rendell wydał się rozbawiony.

— To ci pensjonat — powiedział. — Ta młoda kobieta wie o prowadzeniu pensjonatu tyle co nic. Od wyjścia za mąż mieszkała w Indiach w domu pełnym służby. Założę się, że cierpi pan niewygody. Nikt tam długo nie wytrzyma. A biedny stary Summerhayes grosza nie wyciśnie z tego skrawka ogródka warzywnego, który próbuje uprawiać. Przyzwoity facet... ale bez najmniejszego pojęcia o handlu... a dziś, jak się człowiek chce utrzymać na powierzchni, musi się znać na handlu i administracji. Niech się panu nie zdaje, że ja się zajmuję leczeniem chorych. Mam tylko wzięcie jako ten, który znakomicie wypełnia formularze i podpisuje zaświadczenia. Ale mimo to lubię Summerhayesów. Ona jest uroczą osobą, a Summerhayes, choć zły jak diabli i ze skłonnością do humorów, należy do starej wiary. Zawsze to pan z panów. Szkoda, że nie znał pan starego pułkownika Summerhayesa, prawdziwego Tatarzyna, pysznego jak sam czort.

— To był ojciec majora Summerhayesa?

— Tak. Nie przelewało im się, jak stary umierał, i jeszcze ich oczywiście nadszarpnęły wydatki na pogrzeb, ale są zdecydowani nie wypuszczać z rąk starego gniazda. Człowiek nie wie, czy ich podziwiać, czy uznać za naiwnych głupców.

Spojrzał na zegarek.

— Nie chciałbym pana zatrzymywać — powiedział Poirot.

— Mam jeszcze parę minut. Poza tym chciałbym, żeby pan poznał moją żonę. Gdzie też ona może być? Szalenie się zainteresowała, słysząc, że pan tu zjechał. Oboje ciekawimy się zbrodnią. Dużo o niej czytamy.

— Kryminologia, powieści czy pisma niedzielne? — zapytał Poirot z uśmiechem.

— Wszystkie trzy dziedziny.

— Zniżają się państwo aż do „Sunday Comet”? Rendell roześmiał się.

— Czymże byłaby bez niej niedziela?

— Jakieś pięć miesięcy temu dali parę interesujących artykułów. Szczególnie jeden o kobietach zamieszanych w sprawy o morderstwo i o tragicznych kolejach ich życia.

— Tak, przypominam sobie ten, o którym pan mówi. Swoją drogą pełen bzdur.

— Ach, tak pan uważa?

— No, sprawę Craiga znam, oczywiście tylko z lektury, ale jedna z pozostałych... sprawa Courtland... mogę pana zapewnić, że ta kobieta nie była tragicznym niewiniątkiem. Prawdziwa diablica. Wiem, bo jeden z moich wujów leczył jej męża. Na pewno nie Apollo, ale i żona niewiele była od niego ładniejsza. Uczepiła się tego smarkacza i podjudziła go do morderstwa. Potem on poszedł siedzieć za zabójstwo, a ona zebrała manatki, już jako bogata wdowa, i wyszła za innego.

— Nie było o tym wzmianki w „Sunday Comet”. Nie pamięta pan, za kogo wyszła?

Rendell potrząsnął głową.

— Chyba nigdy nie słyszałem nazwiska, ale ktoś mi mówił, że nieźle wylądowała.

— Czytając ten artykuł, człowiek się zastanawia, gdzie też dzisiaj mogą być te kobiety — powiedział w zamyśleniu Poirot.

— Otóż to. Czy którejs z nich nie spotkałem na przyjęciu tydzień temu. Założę się, że wszystkie dobrze ukrywają przeszłość. Na pewno żadnej by pan nie poznał na podstawie tych zdjęć. Słowo daję, wyglądały pospolicie.

Zadzwonił zegar i Poirot wstał.

— Nie mogę pana dłużej zatrzymywać. Był pan bardzo uprzejmy.

— Obawiam się, że niewiele panu pomogłem. Biedny mężczyzna ledwie wie, jak wygląda jego pomoc domowa. Ale chwileczkę, musi pan poznać żonę. Nigdy by mi nie wybaczyła.

Wyszedł przed Poirotem do przedpokoju, wołając głośno:

— Shelagh! Shelagh!

Z góry odpowiedział mu niewyraźny głos.

— Zejdź na dół. Mam coś dla ciebie.

Po schodach lekko zbiegła szczupła, jasnowłosa, blada kobieta.

— To pan Herkules Poirot, Shelagh. Co ty na to?

— Och... — Wyglądało na to, że pani Rendell oniemiała. Jasnoniebieskie, bardzo blade oczy wlepiła z lękiem w Poirota.

— *Madame* — powiedział Poirot, kłaniając się w swój najbardziej cudzoziemski sposób.

— Słyszeliśmy, że pan tu jest — powiedziała Shelagh Rendell. — Ale nie wiedzieliśmy... — urwała. Jej jasne oczy przemknęły po twarzy męża.

„To on ustala dla niej czas Greenwich” — pomyślał Poirot.

Powiedział parę kwiecistych zdań i pożegnał się.

Wyniósł ze sobą wrażenie jowialnego doktora Rendella i jego małomównej, ostrożnej żony.

Tyle o Rendellach, do których pani McGinty chodziła sprzątać w środy rano.

II

Zagroda Myśliwego to solidny wiktoriański dom, do którego prowadził długi, źle utrzymany podjazd zarośnięty zielskiem. Dom ten w czasach, kiedy go zbudowano, nie uchodził za duży, ale obecnie był tak wielki, że aż kłopotliwy do utrzymania.

Młodą cudzoziemkę, która mu otworzyła, Poirot spytał o panią Wetherby. Wytrzeszczyła na niego oczy i powiedziała:

— Nie wiem. Proszę wejść. Może panna Henderson?

Zostawiła go stojącego w hallu. W żargonie agentów mieszkaniowych był to dom „z pełnym umeblowaniem” — pełen osobliwości z różnych stron świata. Wszystkie niezbyt czyste i niedokładnie odkurzone.

Niedługo cudzoziemka pojawiła się z powrotem.

— Proszę wejść — powiedziała i wprowadziła go do wyziębionego pokoiku z wielkim biurkiem. Na kominku stał duży i dość złowieszczo wyglądający miedziany czajnik z olbrzymim wygiętym dziobem przypominającym wielki zakrzywiony nos.

Drzwi za Poirotem otworzyły się i weszła jakaś dziewczyna.

— Mama się położyła — powiedziała. — Czym mogę panu służyć?

— Panna Wetherby?

— Henderson. Pan Wetherby to mój ojczym.

Była nieładną, mniej więcej trzydziestoletnią kobietą, dużą i niezgrabną. Oczy miała czujne.

— Chciałbym się dowiedzieć, co może mi pani powiedzieć o pani McGinty, która u państwa pracowała.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

— Pani McGinty? Ależ ona nie żyje.

— Wiem o tym — powiedział łagodnie Poirot. — Niemniej chciałbym się czegoś o niej dowiedzieć.

— Och. Chodzi o ubezpieczenie czy coś w tym rodzaju?

— Nie o ubezpieczenie. To kwestia nowego śledztwa.

— Nowego śledztwa. Ma pan na myśli... jej śmierć?

— Zostałem zaangażowany — powiedział Poirot — przez biuro adwokackie prowadzące obronę, by przeprowadzić śledztwo w sprawie Jamesa Bentleya.

Nie spuszczać z niego oka, zapytała:

— Ale czyż on tego nie zrobił?

— Przysięgli orzekli, że zrobił. Ale znamy przypadki, kiedy przysięgli się mylili.

— Więc to naprawdę kto inny ją zabił?

— Tak mogło być.

— Kto? — zapytała obcesowo.

— O to właśnie chodzi — powiedział miękko Poirot.

— Nic nie rozumiem.

— Nie? Ale może mi pani coś opowiedzieć o pani McGinty?

Odpowiedziała dosyć niechętnie:

— Chyba tak... Co pan chce wiedzieć'?

— No, na początek... co pani o niej myśli?

— Hm... nic szczególnego. Była po prostu jak wszyscy.

— Gadatliwa czy milcząca? Ciekawa czy obojętna? Miła czy ponura? Przyzwoita kobieta czy... nie tak przyzwoita?

Panna Henderson zastanowiła się.

— Była dobra w pracy... ale za dużo gadała. Czasami mówiła dosyć dziwne rzeczy... ja... właściwie... nie za bardzo ją lubiłam.

Drzwi się otworzyły i cudzoziemska pomoc powiedziała:

— Panno Deirdre, matka mówi: „proszę prowadzić”.

— Matka chce, żebym zaprowadziła pana do niej na górę?

— Tak, proszę. Dziękuję.

Deirdre Henderson spojrzała niepewnie na Poirota.

— Zechce pan pójść do matki?

— Ależ służę.

Deirdre poprowadziła go przez hali na schody. Oznajmiła bez związku:

— Cudzoziemcy są tacy męczący.

Ponieważ wyraźnie miała na myśli pomoc domową, nie gościa, Poirot nie poczuł się urażony. Zauważył, że Deirdre Henderson wydaje się niezbyt rozgarnięta, na tyle nierozgarnięta, że aż nietaktowna.

Pokój na górze był zagracony ozdobnymi drobiazgami. Był to pokój kobiety, która wiele podróżowała i zewsząd, gdziekolwiek się znalazła, koniecznie musiała przywieźć pamiątkę. Większość tych pamiątek stanowiły przedmioty wyprodukowane z wyraźną intencją zadowolenia gustu turystów i opróżnienia ich kiesy. W pokoju znajdowało się też za wiele sof, stolików i krzeseł, za mało powietrza i za dużo draperii — i pośród tego wszystkiego tkwiła pani Wetherby.

Pani Wetherby robiła wrażenie niewielkiej — mała, żalosna kobietka w ogromnym pokoju. Taki był efekt. W rzeczywistości jednak wcale nie była taka mała, na jaką postanowiła wyglądać. Typ „małej biednej kobietki” z powodzeniem potrafi to osiągnąć, nawet jeżeli w gruncie rzeczy jest średniego wzrostu.

Na wpół leżała wyciągnięta wygodnie na sofie, mając w pobliżu książki, jakąś robótkę, szklankę soku pomarańczowego i pudło czekoladek. Powiedziała pogodnie:

— Musi mi pan wybaczyć, że nie wstaję, ale doktor tak nalega, żebym co dzień wypoczywała. Wszyscy mnie besztają, kiedy nie stosuję się do poleceń. — Poirot ujął jej wyciągniętą dłoń i pochylił się nad nią, stosownym pomrukiem wyrażając swój hołd.

Za nim bezkompromisowa Deirdre powiedziała:

— Chce się wywiedzieć o panią McGinty.

Delikatna dłoń biernie spoczywająca w jego dłoni zacisnęła się i przez moment przypominała Poirotowi szpony jakiegoś ptaka. Doprawdy, wcale nie delikatną chińską porcelaną, lecz drapieżne, ostre pazury...

Śmiejąc się lekko, pani Wetherby powiedziała:

— Jakaś ty zabawna Deirdre, kochanie. Kto to jest pani McGinty?

— Och, mam, przecież pamiętasz! Pracowała u nas. Wiesz, ta, co została zamordowana.

Pani Wetherby przymknęła oczy i zadrżała.

— O nie, kochanie. To wszystko było takie straszne. Całymi tygodniami potem czułam się

zdenewrowana. Biedna stara, ale jaka głupia, żeby trzymać pieniądze pod podłogą. Powinna włożyć je do banku. Oczywiście wszystko to pamiętam... zapomniałam tylko jej nazwiska. Deirdre tępo powtórzyła:

— Chce się o nią wywiedzieć.

— Ależ proszę usiąść, panie Poirot. Wprost umieram z ciekawości. Właśnie dzwoniła pani Rendell i mówiła, że mamy tu sławnego kryminologa, i opisała pana. I zaraz kiedy ta idiotka Frieda opisała mi gościa, poczułam pewność, że to musi być pan, i kazałam jej powiedzieć, żeby pan wszedł na górę. Niechże mi pan powie, o co w tym wszystkim chodzi?

— Tak jak mówi pani córka, chcę się wywiedzieć o panią McGinty. Pracowała tu. Przychodziła do pani, o ile dobrze rozumiem, w środy. I to w środę zginęła. Więc była tutaj tego dnia, nieprawda?

— Chyba tak. Tak, tak sędzę. Trudno teraz powiedzieć. To tak dawno.

— Tak. Kilka miesięcy temu. I nie mówiła tego dnia... nic szczególnego?

— Ludzie z tej warstwy zawsze dużo mówią — orzekła pani Wetherby z niesmakiem. — Właściwie człowiek nie słucha. A zresztą nie mogła powiedzieć, że tej nocy zostanie obrabowana i zabita.

— Istnieje coś takiego jak przyczyna i skutek — powiedział Poirot.

Pani Wetherby zmarszczyła czoło.

— Nie rozumiem, co pan ma na myśli.

— Może i ja nie rozumiem... jak dotąd. Człowiek się przedziera przez ciemności do światła... Kupuje pani niedzielne gazety, pani Wetherby?

Jej niebieskie oczy otworzyły się bardzo szeroko.

— O, tak. Oczywiście. Czytamy „Observera” i „Sunday Times”. Dlaczego pan pyta?

— Tak się zastanawiam. Pani McGinty czytywała „Sunday Comet” i „News of the World”.

Przerwał, ale nikt nic nie powiedział. Pani Wetherby westchnęła i przymknęła oczy. Powiedziała:

— Wszystko to było bardzo denerwujące. Ten jej okropny lokator. W gruncie rzeczy nie sędzę, żeby był całkiem zdrowy na umyśle. A wyglądało na to, że jest zupełnie przyzwoicie wykształcony. Czyż to jeszcze nie pogarsza sprawy?

— A pogarsza?

— O, tak... tak uważam. Taka brutalna zbrodnia. Tasak. Och!

— Policja nigdy nie znalazła narzędzia zbrodni — powiedział Poirot.

— Przypuszczam, że wrzucił go gdzieś do sadzawki.

— Przeszukali sadzawki — wtrąciła Deirdre. — Widziałam.

— Kochanie — westchnęła matka. — To niezdrowe myśli. Wiesz, jak cierpię, gdy wspomina się takie rzeczy. Moja głowa.

Dziewczyna zapalczywie zwróciła się do Poirota.

— Nie wolno panu tego ciągnąć — powiedziała. To dla niej niedobre. Jest strasznie wrażliwa. Nie może nawet czytać kryminałów.

— Najmocniej przepraszam — powiedział Poirot. Wstał. — Jedno mam tylko na swoje usprawiedliwienie. Za trzy tygodnie powieszą człowieka. Jeżeli tego nie zrobił...

Pani Wetherby uniosła się na łokciu. Jej głos zabrzmiał piskliwie.

— Ależ oczywiście, że zrobił! — zawołała. — Oczywiście, że tak!

Poirot pokręcił głową.

— Nie jestem taki pewien.

Prędko wyszedł z pokoju. Kiedy schodził ze schodów, dziewczyna wyszła za nim. Dogoniła go w hallu.

— Co pan chce powiedzieć? — zapytała.

— To, co powiedziałem, *mademoiselle*.

— Tak, ale... — Urwała. Poirot milczał.

Deirdre Henderson powiedziała powoli:

— Zdenerwował pan matkę. Nie znosi takich rzeczy... napadów rabunkowych i morderstw, i... gwałtu.

— A zatem musiał to być dla niej wielki wstrząs, kiedy konkretna kobieta, która tu pracowała, została zabita.

— O, tak... o, tak, to był wstrząs.

— Przeżyła załamanie... tak?

— W ogóle nie chciała o tym słyszeć... My... ja... staramy się oszczędzać jej takich rzeczy. Wszystkich tych okropności.

— A co z wojną?

— Na szczęście w okolicy nie było bombardowań.

— A jaki był pani udział w wojnie, *mademoiselle*?

— Pracowałam w Ochotniczym Towarzystwie Niesienia Pomocy Rannym w Kilchester. I trochę jako kierowca w Żeńskiej Służbie Ochotniczej. Oczywiście, nie mogłam wyjechać. Byłam potrzebna matce. I tak źle znosiła, że tak dużo przebywałam poza domem. Wszystko to było bardzo trudne. No i służba... naturalnie matka nigdy nie zajmowała się domem... nie ma na to dość siły. I tak trudno było kogokolwiek dostać. Dlatego pani McGinty to był dar niebios. Wtedy właśnie zaczęła do nas przychodzić. Była wspaniałą pracownicą. Ale oczywiście nic i nigdzie nie jest już takie jak kiedyś.

— I bardzo pani nad tym ubolewa, *mademoiselle*?

— Ja? O, nie. — Wydawała się zdumiona. — Ale z matką jest inaczej. Co innego mama... Tak bardzo żyje przeszłością.

— Niektórzy ludzie już tacy są — powiedział Poirot. Jego pamięć wrokowa wyczarowała pokój, w którym tak niedawno się znalazł. Jedna z szuflad komody do połowy wysunięta. Szuflada pełna szpargałów: jedwabna poduszczyka do szpilek, złamany wachlarz, srebrny kociołek do kawy... trochę starych pism ilustrowanych. Szuflada była przepełniona, nie dawała się zamknąć. Powiedział cichym głosem: — I przechowują różne rzeczy... pamiątki z dawnych czasów... program balu, wachlarz, zdjęcia byłych przyjaciół, nawet karty menu i programy teatralne, bo gdy się patrzy na te przedmioty, ożywają dawne wspomnienia.

— Myślę, że o to chodzi — powiedziała Deirdre. — Sama nie potrafię tego zrozumieć. Ja nigdy nic nie przechowuję.

— Pani spogląda w przyszłość, nie wstecz? Deirdre powiedziała powoli:

— Ja chyba nigdzie nie spoglądam... To znaczy, dzień dzisiejszy to na ogół dla mnie dosyć.

Drzwi frontowe się otworzyły i do hallu wszedł wysoki, chudy starszy mężczyzna. Zamarł w pół kroku, kiedy zobaczył Poirot.

— Spojrzał na Deirdre i brwi mu się uniosły pytająco.

— To mój ojczym — powiedziała Deirdre. — Nie... nie znam pańskiego nazwiska.

— Jestem Herkules Poirot — oznajmił Poirot ze zwykłym zmieszaniem towarzyszącym wygłaszaniu królewskiego tytułu.

Nie widać było, aby na panu Wetherby zrobiło to wrażenie.

Powiedział: „ach” i odwrócił się, żeby powiesić płaszcz. Deirdre wyjaśniła:

— Przyszedł spytać o panią McGinty.

Pan Wetherby pozostał przez sekundę nieruchomy, po czym dokończył umieszczanie płaszcza na kołku.

— To mi się wydaje dosyć niezwykle — powiedział.

— Ta kobieta poniosła śmierć kilka miesięcy temu i mimo że tu pracowała, nic nie wiemy o niej ani o jej rodzinie. Gdybyśmy coś wiedzieli, już byśmy to powiedzieli policji.

Ton jego głosu zniechęcał do dalszych pytań. Spojrzał na zegarek.

— Spodziewam się, że lunch będzie gotowy za kwadrans.

— Obawiam się, że dziś może się trochę spóźnić. Brwi pana Wetherby'ego znowu się uniosły.

— Doprawdy? Czy wolno spytać dlaczego?

— Frieda była dosyć zajęta.

— Moja droga, nie znoszę ci o tym przypominać, ale obowiązek prowadzenia domu spoczywa na tobie. Byłbym wdzięczny za więcej punktualności.

Poirot otworzył drzwi sam wyszedł.

Obejrzał się przez ramię.

W spojrzeniu, jakim pan Wetherby obdarzył przyrodnią córkę, była chłodna niechęć. A w oczach, które mu odpowiedziały, coś podobnego do nienawiści.

Rozdział dziesiąty

Trzecią swoją wizytę Poirot złożył po lunchu, na który złożyły się: niedogotowany wołowy ogon, wodniste ziemniaki i coś, co według optymistycznych oczekiwań Maureen miało być naleśnikami. Były bardzo dziwne.

Poirot powoli wchodził na wzgórze. Wkrótce, kierując się na prawo, miał zejść do Szczodrzeńców, dwóch domków połączonych w jeden i przebudowanych w nowoczesnym stylu. Mieszkali tu pani Upward i ten obiecujący młody dramaturg, Robin Upward.

Kiedy Poirot zatrzymał się na chwilę przed furtką, żeby musnąć ręką wąsy, dostał w policzek ogryzkiem jabłka ci—śniętym z siłą z mijającego go właśnie samochodu.

Zaskoczony Poirot wydał okrzyk protestu. Samochód zatrzymał się i zza szyby wyjrzała czyjaś głowa.

— Bardzo przepraszam. Uderzyłam pana?

Poirot zamilkł w pół słowa. Popatrzył na tę raczej szlachetną twarz, masywne czoło i nieporządne pukle siwych włosów i coś poruszyło struny jego pamięci. Wydatną pomocą okazał się również ogryzek jabłka.

— Ależ tak! — to pani Oliver!

Była to rzeczywiście sławna autorka powieści kryminalnych.

Wołając: „Ależ to pan Poirot!” — autorka próbowała wydostać się z wozu. Samochód był mały, a pani Oliver duża. Poirot pospieszył jej z pomocą.

Mrucząc tonem wyjaśnienia: „Zesztywniałam po tej długiej jeździe”, pani Oliver nagle znalazła się na drodze sposobem przypominającym raczej erupcję wulkanu.

Znalazły się również na drodze i wesoło potoczyły ze wzgórza wielkie ilości jabłek.

— Torba pękła — wyjaśniła pani Oliver.

Strąciła z obfitego biustu zabłąkane resztki nie dojedzonego jabłka i otrząsnęła się niemal jak spaniel. Ostatnie jabłko schowane w zakamarkach jej postaci dołączyło do braci i sióstr.

— Szkoda, że torba pękła — powiedziała pani Oliver. — To były koksy. Ale mam nadzieję, że tu na wsi będzie mnóstwo jabłek. A może nie? Może je wszystkie wywożą? Nic mogę się nadziwić, co to się ostatnio wyprawia. Ale jakże się pan miewa, *monsieur* Poirot? Czyba pan tu nie mieszka? Nie, na pewno nie. Więc przypuszczam, że idzie o morderstwo? Mam nadzieję, że nie zamordowano mojej gospodyni?

— Kto jest pani gospodynią?

— To tu — powiedziała pani Oliver wskazując głową. — To znaczy, jeżeli to jest dom zwany Szcodrzeńcami, w połowie wzgórza na lewo, kiedy się minie kościół. Tak, to musi być on. Jaka ona jest?

— Nie zna jej pani?

— Nie, przyjeżdżam, że tak powiem, w sprawach zawodowych. Jedna z moich książek jest adaptowana na scenę... przez Robina Upwarda. Mamy jakoby zabrać się do niej razem.

— Życzę pani miłej pracy, *madame*.

— Ach, to wcale nie jest miłe — powiedziała pani Oliver. — Jak dotąd to sama udreka. Sama nie wiem, dlaczego w ogóle przystałam na tę adaptację. Książki mi przynoszą zupełnie dosyć pieniędzy... to znaczy, ci krwio pijcy większość zabierają i gdybym więcej zarabiała, zabieraliby jeszcze więcej, więc się nie wysilam. Ale nie ma pan pojęcia, co to za udreka patrzeć, jak ktoś bierze stworzoną przez pana postać i wkłada jej w usta słowa, których nigdy by nie powiedziała, i każe jej robić rzeczy, jakich nigdy by nie zrobiła. A jak człowiek protestuje, mówią mu tylko, że na tym polega „dobry teatr”. To jedyna troska Robina Upwarda. Podobno jest bardzo zdolny. Jeżeli jest taki zdolny, nie rozumiem, dlaczego sam nie napisze sztuki i nie zostawi w spokoju mojego biednego Fina. Już nawet wcale nie jest Finem. Stał się członkiem norweskiego ruchu oporu. — Przeciągnęła rękami po włosach. — Co ja zrobiłam z kapeluszem? Poirot zajrzał do samochodu.

— Myślę, *madame*, że musiała pani na nim usiąść.

— Obawiam się, że ma pan rację — przyznała pani Oliver, oglądając żaloszny wrak. — Och, cóż — podjęła pogodnie. — Nigdy go zbyt nie lubiłam. Ale myślałam, że może będę musiała pójść w niedzielę do kościoła i chociaż arcybiskup mówi, że to niekonieczne, to uważam, że bardziej staroświeccy księża spodziewają się, że się będzie w kapeluszu. Ale niech mi pan opowie o tym pańskim morderstwie czy co tam jest. Pamięta pan nasze morderstwo?

— Bardzo dobrze, doprawdy.

— Niezła była zabawa, co? Nie mówię o samym morderstwie, nim wcale nie byłam zachwycona. Ale potem. Któż to jest tym razem?

— Osoba nie tak barwna jak pan Shaitana. Stara sprzątaczką, którą ktoś obrabował i zamordował pięć miesięcy temu. Pani McGinty, mogła pani o tym czytać. Osądzono i skazano na śmierć młodego człowieka...

— A on tego nie zrobił i pan wie kto, i dowiedzie pan tego — dopowiedziała szybko pani Oliver. — Wspaniale.

— Bardzo pani jest prędką — westchnął Poirot. — Nawet jeszcze nie wiem, kto to zrobił... i daleka droga, by tego dowieść’.

— Mężczyźni są tacy powolni — stwierdziła lekceważąco pani Oliver. — Ja panu zaraz powiem, kto to zrobił. Ktoś stąd, jak przypuszczam? Proszę mi dać dzień, dwa, żebym się rozejrzała, a znajdę mordercę. Kobieca intuicja... tego wam brak. Czyż nie byłam dosyć dobra w sprawie Shaitany?

Poirot szarmancko powstrzymał się od przypomnienia pani Oliver, jak była zmienna w swoich podejrzeniach w tamtej sprawie.

— Wy, mężczyźni — powiedziała z godnością pani Oliver.

— Gdyby to kobieta stała na czele Scotland Yardu...

Pozostawiła ten nienowoty temat w zawieszeniu, kiedy czyjś głos powitał ich z drzwi domu.

— Halo — powiedział głos miłym wysokim tenorem.

— Czy to pani Oliver?

— To ja! — zawołała pani Oliver. Szepnęła do Poirota:

— Proszę się nie niepokoić. Będę bardzo dyskretna.

— Nie, nie, *madame*. Nie chcę, żeby pani była dyskretna. Przeciwnie.

Robin Upward wyszedł przed furtkę. Był z gołą głową, w bardzo starych flanelowych spodniach i złachanej sportowej kurtce. Gdyby nie tendencja do tycia, byłby przystojnym mężczyzną.

— Ariadnę, najdroższa! — wykrzyknął i serdecznie uściskał panią Oliver.

Odsunął się z rękami na jej ramionach.

— Moja droga, mam wspaniały pomysł na drugi akt.

— Doprawdy? — spytała pani Oliver bez entuzjazmu. — To jest pan Herkules Poirot.

— Wspaniale — powiedział Robin. — Masz jakiś bagaż?

— Tak, jest z tyłu.

Robin wydobył parę walizek z wozu.

— Co za udręka — powiedział. — Nie mamy odpowiedniej służby. Tylko starą Janet. I cały czas musimy ją oszczędzać. Okropnie kłopotliwe, nie uważasz? Jakie, ciężkie te twoje walizki. Bomby w nich wozisz?

Potyając się, ruszył ścieżką i zawołał przez ramię:

— Proszę na drinka!

— To było do pana — wyjaśniła pani Oliver, zabierając z przedniego siedzenia torebkę, książkę i parę starych pantofli. — Czy nie powiedział pan przed chwilą, że chce pan, żebym była niedyskretna?

— Im bardziej niedyskretna, tym lepiej.

— Ja bym tego tak nie załatwiała — zauważyła pani Oliver.

— Ale to pańskie morderstwo. Pomogę panu, ile będę mogła.

Robin pojawił się znowu we frontowych drzwiach.

— Proszę, proszę! — zawołał. — Wozem zajmiemy się później. Mądre umiera z niecierpliwości, żeby państwa poznać.

Pani Oliver pomknęła ścieżką, a Poirot udał się za nią.

Wnętrze Szczodrzeńców było urocze. Poirotowi przyszło na myśl, że by uzyskać tę pełną wdzięku prostotę, musiano wydać niebagatelną sumę. Całe dębowe wiejskie wyposażenie domu było autentyczne.

W fotelu na kółkach przy kominku bawialni uśmiechała się gościnnie Laura Upward. Wyglądała na energiczną damę po sześćdziesiątce, ze szpakowatymi włosami i zdecydowanym podbródkiem.

— Jestem zachwycona, mogąc panią poznać, pani Oliver — rzekła. — Przypuszczam, że nie znosi pani, jak ktoś z panią mówi o pani książkach, ale od lat są dla mnie olbrzymią pociechą... a szczególnie, odkąd się stałam kaleką.

— To bardzo miłe z pani strony — powiedziała pani Oliver, ze skrępowania wyłamując palce jak uczennica. — Och, to jest pan Poirot, mój stary znajomy. Przypadkiem spotkaliśmy się przed domem. Prawdę mówiąc, trafiłam go ogryzkiem jabłka. Jak Wilhelm Tell, tylko na odwrót.

— Witam pana, panie Poirot. Robin...

— Tak, Mądre?

— Podaj coś do picia. Gdzie papierosy?

— Na tym stoliku. Pani Upward zapytała:

— Czy i pan jest pisarzem, panie Poirot?

— Och, nie — powiedziała pani Oliver. — Jest detektywem. Wie pani. W rodzaju Sherlocka Holmesa... z tych, co się w wolnym czasie zajmują podchodami i grywają na skrzypcach. I przyjechał tu rozwiązać tajemnicę morderstwa.

Rozległ się cieniutki brzęk tłuczonego szkła. Pani Upward powiedziała ostro: — Uważaj, Robin.

— A do Poirota: — To bardzo interesujące, panie Poirot.

— Więc Maureen Summerhayes miała rację! — zawołał Robin. — Opowiedziała mi jakąś długą i skomplikowaną historię o tym, że ma u siebie detektywa. Myślała, zdaje się, że to strasznie zabawne. Ale to chyba poważna sprawa?

— Oczywiście, że poważna — powiedziała pani Oliver.

— Mają państwo w swoim gronie mordercę.

— Zgoda, ale kogo zamordowano? A może kogoś wykopali i wszystko jest okryte okropną tajemnicą?

— To nie tajemnica — stwierdził Poirot. — O samym morderstwie już państwo słyszeli.

— Pani Mc... Cośtam... sprzątaczką... zeszłej jesieni — powiedziała pani Oliver.

— Och! — W głosie Robina zabrzmiało rozczarowanie.

— Ale to już skończone!

— Wcale nie skończone — powiedziała pani Oliver.

— Aresztowali nie tego, co trzeba, i powieszą go za to, jeżeli pan Poirot nie znajdzie na czas prawdziwego mordercy. To wszystko strasznie podniecające.

Robin rozdzielił drinki.

— Dla ciebie, Mądre, biała dama.

— Dziękuję ci, kochanie.

Poirot lekko zmarszczył brwi. Robin podał drinki pani Oliver i jemu.

— No — powiedział Robin — to wypijmy za zbrodnię.

Wypił.

— Pracowała u nas — dodał.

— Pani McGinty? — spytała pani Oliver.

— Tak. Prawda, Mądre?

— Mówisz, że tu pracowała, przychodziła raz w tygodniu. — I czasem dodatkowo po południu.

— Co to była za osoba? — zapytała pani Oliver.

— Strasznie godna — powiedział Robin. — I przerażająco porządna. Miała upiorny zwyczaj wszystko porządkować i układać rzeczy w szufladach, tak że po prostu człowiek nie wiedział, gdzie co jest.

Pani Upward zauważyła z przekąsem:

— Gdyby się nie sprzątało przynajmniej raz na tydzień, wkrótce nie byłoby gdzie się ruszyć w tym małym domku.

— Wiem, Mądre, wiem. Ale jeżeli nic nie leży tam, gdzie położyłem, po prostu nie mogę pracować. We wszystkich notatkach powstaje bałagan.

— Jakież to denerwujące być taką bezradną — powiedziała pani Upward. — Mamy starą wierną służącą, ale wszystko, do czego jest zdolna, to trochę najprostszego gotowania.

— Cóż jej jest? — zapytała pani Oliver. — Artretyzm?

— Jakaś jego odmiana. Obawiam się, że wkrótce będę potrzebowała stałej opieki pielęgniarki. Co za udręka. Lubię być niezależna.

— No, kochanie — powiedział Robin. — Nie denerwuj się. Poklepał ją po ramieniu.

Uśmiechnęła się do niego z nagłą czułością.

— Robin jest dla mnie jak córka — powiedziała. — Robi wszystko i o wszystkim myśli. Nikt by nie mógł być bardziej troskliwy.

Uśmiechnęli się do siebie. Herkules Poirot wstał.

— Niestety — powiedział Poirot. — Nie mogę dłużej zostać. Muszę złożyć jeszcze jedną wizytę, a potem złapać pociąg.

Madame, dziękuję za gościnność. Panie Upward, życzę powodzenia sztuce.

— A panu życzę powodzenia z tym morderstwem — powiedziała pani Oliver.

— To naprawdę poważne, panie Poirot? — spytał Robin Upward. — Czy jakiś piramidalny kawał?

— Ależ żaden kawał — powiedziała pani Oliver. — To śmiertelnie poważne. Nie chce mi powiedzieć, kto jest mordercą, ale wie, prawda, panie Poirot?

— Nie, nie, *madame*. — Protest Poirota był w miarę nieprzekonujący. — Mówiłem pani, że jak dotąd nie, nie wiem.

— Tak pan powiedział, ale myślę, że w rzeczywistości pan wie... Przecież pan jest taki strasznie tajemniczy.

Pani Upward zapytała bez ogródek:

— To rzeczywiście prawda? Nie żart?

— To nie jest żart, *madame*. Powiedział Poirot. Ukłonił się i wyszedł.

Odchodząc ścieżką, słyszał czysty tenor Robina Upwarda:

— Ależ, Ariadnę, kochanie, wszystko pięknie, ale z tymi wąsami i w ogóle jak można brać go serio? Naprawdę uważasz, że jest dobry?

Poirot uśmiechnął się pod wąsem. Dobry, rzeczywiście!

Już miał przejść przez wąską jezdnię, ale uskoczył na czas.

Obok przemknęła rozkołysana i podskakująca półciężarówka Summerhayesów. Prowadził Summerhayes.

— Przepraszam! — krzyknął. — Muszę złapać pociąg. — I już z oddali dobiegł jego głos: — Covent Garden...

Poirot też zamierzał złapać pociąg... miejscowy do Kilchester, gdzie się umówił na naradę z nadinspektorem Spence'em.

Przed wyjazdem miał czas akurat na jeszcze jedno, ostatnie już spotkanie.

Wszedł na szczyt wzgórza, minął bramę i ruszył dobrze utrzymanym podjazdem do nowoczesnego domu z chropowatego betonu, z płaskim dachem i wielką liczbą okien. Była to siedziba państwa Carpenterów. Guy Carpenter był udziałowcem wielkich Zakładów Inżynieryjnych Carpentera, człowiekiem bardzo bogatym, który ostatnio zajął się polityką. Ożenił się dopiero niedawno.

Drzwi frontowych domu Carpenterów nie otworzyła cudzoziemska pomoc ani żaden wierny stary sługa. Otworzył je z niewzruszonym spokojem i niechętnie lokaj. Według jego oceny Poirot należał do tego rodzaju gości, których się zostawia przed drzwiami. Wyraźnie podejrzewał, że Poirot przychodzi coś sprzedać.

— Państwa nie ma w domu.

— Więc może mógłbym zaczekać?

— Nie umiem powiedzieć, kiedy będą. Zamknął drzwi.

Poirot nie odszedł podjazdem. Zamiast tego ruszył dookoła domu i niemal zderzył się z wysoką młodą kobietą w płaszczu z norek.

— Halo — powiedziała. — Czego, u diabła, pan tu szuka? Poirot z galanterią uchylił kapelusza.

— Miałem nadzieję — powiedział — że będę się mógł zobaczyć z panem lub panią Carpenter. Czy mam przyjemność z panią Carpenter?

— Tak, to ja.

Mówiła niegrzecznie, ale pod tym zachowaniem kryła się pewna gotowość do ustępstw.

— Nazywam się Herkules Poirot.

Nic jej to nie powiedziało. To wielkie, jedyne na świecie nazwisko nie tylko nie było jej znane, ale Poirot odniósł wrażenie, że pani Carpenter nawet go nie identyfikuje z najnowszym gościem pani Summerhayes. Tu zatem miejscowe plotki nie docierały. Drobny fakt, ale być może nie bez znaczenia.

— Tak?

— Muszę się widzieć z panią lub panem Carpenterem, ale pani, *madame*, będzie w tym celu najlepsza. To bowiem, o co chcę zapytać, dotyczy służby.

— Mamy niejakiego Hoovera — powiedziała podejrzliwie pani Carpenter.

Poirot roześmiał się.

— Nie, nie, źle mnie pani zrozumiała. Idzie tylko o parę pytań dotyczących służby domowej.

— Och, ma pan na myśli jeden z tych kwestionariuszy. Naprawdę sędzę, że to idiotyczne... — Urwała. — Może niech pan lepiej wejdzie do domu.

Poirot uśmiechnął się nieznacznie. Ledwie się powstrzymała od zrobienia jakiejś uwłaczającej uwagi. Przy politycznej działalności jej męża wskazana była ostrożność w krytykowaniu poczynań rządu.

Wprowadziła go przez hali do obszernego pokoju wychodzącego na starannie utrzymany ogród. Pokój wyglądał jak z prospektu, stał w nim komplet mebli złożony z wielkiej kanapy krytej brokatem i dwóch foteli, trzech lub czterech reprodukcji krzeseł Chippendale'a, biurka i sekretarzyka. Nie oszczędzono wydatków, zaangażowano najlepsze firmy i nie pozostawiono ani śladu jakiegoś osobistego smaku. Jaka była panna młoda? — pomyślał Poirot. — Obojętna? Ostrożna?

Oszacował ją wzrokiem, kiedy się odwróciła. Kosztowna, przystojna młoda kobieta. Włosy platynowy blond, staranny makijaż, ale coś jeszcze — wielkie oczy koloru bławatków, oczy szeroko otwarte, jak zastygłe, piękne oczy topielicy.

Powiedziała, teraz uprzejmie, ale ukrywając znudzenie:

— Proszę, niechże pan siada. Usiadł. Powiedział:

— Bardzo pani uprzejma, *madame*. A teraz pytania, jakie chciałbym pani zadać. Odnoszą się do pani McGinty, która zmarła... to znaczy, zginęła... w zeszłym roku w listopadzie.

— Pani McGinty? Nie wiem, o czym pan mówi? Wlepiła w niego spojrzenie. Twarde i podejrzliwe.

— Pamięta pani panią McGinty?

— Nie. Nie pamiętam. Nic o niej nie wiem.

— Pamięta pani, jak ją zamordowano? Czy też morderstwo jest tu sprawą tak powszednią, że się go nawet nie zauważa?

— Och, to morderstwo? Tak, oczywiście. Zapomniałam, jak się ta stara nazywała.

— Mimo że pracowała u pani w tym domu?

— Nie pracowała. Wtedy tu jeszcze nie mieszkałam. Pobraliśmy się z panem Carpenterem zaledwie trzy miesiące temu.

— Ale pracowała u pani. W piątki rano, jak mi się zdaje. Nazywała się pani wtedy Selkirk i mieszkała pani w „Różanym Domku”.

Powiedziała nadąsana:

— Jeżeli wszystko pan wie, nie rozumiem, dlaczego pan pyta. Ale mniejsza, o co tu chodzi!

— Badam okoliczności tego morderstwa.

— Po co? U licha, po co? A w każdym razie po co przychodzi pan do mnie?

— Może pani wiedzieć o czymś... co byłoby mi pomocne.

— O niczym nie wiem. Skąd bym miała wiedzieć? Była tylko głupią starą sprzątaczką. Trzymała pieniądze pod podłogą i dlatego ktoś ją obrabował i zabił. Wszystko to wręcz niesmaczne... brutalne. Jak te rzeczy, o których się czyta w niedzielnych gazetach.

Poirot szybko podjął ten wątek.

— Jak w niedzielnych gazetach, tak... Jak w „Sunday Comet”. Czytuje może pani „Sunday Comet”?

Zerwała się na nogi i na oślep ruszyła do otwartych oszklonych drzwi. Szła tak niepewnie, że wpadła na framugę. Poirotowi przypominała wielką, piękną ómę tłukącą się na oślep o klosz lampy.

Zawołała:

— Guy... Guy!

Z pewnego oddalenia odpowiedział męski głos:

— Eve?

— Chodź tu szybko.

Pojawił się wysoki, mniej więcej trzydziestopięcioletni mężczyzna. Przyspieszył kroku i przeszedł przez taras do drzwi. Eve Carpenter powiedziała porywczo:

— Jest tu jakiś człowiek... cudzoziemiec. Zadaje mi różne pytania o to straszne morderstwo z zeszłego roku. Jakaś stara sprzątaczką... pamiętasz? Nie cierpię takich rzeczy. Wiesz, że nie cierpię.

Guy Carpenter zmarszczył brwi i wszedł przez oszklone drzwi do bawialni. Miał długą końską twarz, był blady i wyglądał dosyć wyniośle. Zachowywał się pompatycznie.

Poirotowi wydał się niesympatyczny.

— Czy wolno spytać, o co tu w ogóle chodzi? — powiedział. — Niepokoi pan moją żonę?

Herkules Poirot rozłożył ręce.

— Ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył, to niepokoić tak uroczą damę. Liczyłem tylko na to, że skoro zmarła u niej pracowała, będzie mi mogła być pomocna w dochodzeniu, jakie prowadzę.

— Ale... cóż to za dochodzenie?

— Tak, niech ci powie — wsparła go żona.

— Badamy od nowa okoliczności śmierci pani McGinty.

— Nonsens... to skończona sprawa.

— Nie, nie, tu się pan myli. Nie jest skończona.

— Nowe dochodzenie, powiada pan? — Guy Carpenter zmarszczył czoło. Powiedział podejrzliwie: — Z ramienia policji? Nonsens... pan nie ma nic wspólnego z policją.

— To prasa — wtrąciła Eve Carpenter. — Jakieś okropne pismo niedzielne. Tak powiedział.

Błysk czujności zalśnił w oku Carpentera. Ze względu na swoje stanowisko nie kwapił się zrażać sobie prasę. Powiedział bardziej ustępliwie:

— Żona jest bardzo wrażliwa. Denerwują ją morderstwa i takie rzeczy. Jestem pewien, że nie musi pan jej niepokoić. Ledwie знаła tę kobietę.

Eve wtrąciła porywczo:

— To tylko głupia stara sprzątaczką. Mówiłam mu. Dodała:

— I do tego okropna kłamczucha.

— O, to interesujące. — Poirot przeniósł rozpromienione spojrzenie z jednego na drugie. — Więc kłamała. To może być bardzo cenna wskazówka.

— Nie widzę, jakim sposobem — powiedziała nadąsana Eve.

— Przy ustalaniu motywu — wyjaśnił Poirot. — Taką obrałem linię postępowania.

— Obrabowano ją z oszczędności — powiedział ostro Carpenter. — Taki był motyw tego morderstwa.

— Ach — westchnął Poirot — Ale czy naprawdę?

Wstał jak aktor, który właśnie wypowiedział znaczącą kwestię.

— Żałuję, jeśli panią czymś uraziłem, *madame* — powiedział grzecznie. — Te sprawy zawsze są dosyć nieprzyjemne.

— Cała ta historia jest denerwująca — powiedział Carpenter szybko. — To naturalne, że żona nie lubi, jak jej się o tym przypomina. Przykro mi, że nie możemy służyć żadną informacją.

— O, ależ udzielili mi jej państwo.

— Nie rozumiem?

Poirot powiedział cichym głosem:

— Pani McGinty była kłamczucha. Cenna informacja. Jakże mianowicie opowiadała kłamstwa, *madame*?

Zaczekał grzecznie, co odpowie Eve Carpenter. Powiedziała wreszcie:

— Och, nic szczególnego. To znaczy, nie pamiętam.

Świadoma może, że obaj mężczyźni patrzą na nią wyczekująco, dodała:

— Głupstwa... o ludziach. Rzeczy, które nie mogły być prawdziwe.

Zapadło nowe milczenie, po czym Poirot powiedział:

— Aha... niebezpiecznie było dostać się na jej język. Eve Carpenter poruszyła się szybko.

— No, nie... nie chciałam powiedzieć, że aż tak. Była tylko plotkarką, i tyle.

— Tylko plotkarką — powtórzył cichym głosem Poirot. Wykonał gest pożegnania.

Guy Carpenter odprowadził go do hallu.

— Ta pańska gazeta... ta niedzielna gazeta... o którą chodzi?

— Gazeta, jaką wymieniłem *madame* — odpowiedział ostrożnie Poirot — to „Sunday Comet”.

Urwał. Guy Carpenter powtórzył zamyślony:

— „Sunday Comet”. Obawiam się, że nieczęsto ją przeglądam.

— Zamieszcza czasem ciekawe artykuły. I ciekawe ilustracje.

Zanim pauza stała się za długa, ukłonił się i dodał szybko:

— *Au revoir, monsieur* Carpenter. Przykro mi, jeżeli panu... w czymś przeszkodziłem.

Już za bramą obejrzał się na dom.

— Ciekawe — powiedział. — Tak, ciekawe...

Rozdział jedenasty

Nadinspektor Spence usiadł naprzeciwko Poirota i westchnął.

— Nie powiem, że nic pan nie znalazł, *monsieur* Poirot —powiedział powoli. — Osobiście uważam, że coś pan znalazł. Ale to mało, okropnie mało.

Poirot przytaknął skinieniem głowy.

— Samo w sobie za mało. Musimy mieć coś więcej. — Mój sierżant i ja powinniśmy byli znaleźć tę gazetę.

— Nie, nie, nie może się pan obwiniać. Zbrodnia była tak oczywista. Rabunek z zastosowaniem przemocy. Cały pokój splądrowany, pieniądze zniknęły. Dlaczego wśród pozostawionego bałaganu miałyby mieć dla pana znaczenie jakaś podarta gazeta?

Spence powtórzył z uporem:

— Powinienem na nią wpaść. I na tę buteleczkę atramentu...

— To był czysty traf.

— A jednak dała panu do myślenia... dlaczego?

— Tylko w związku z przypadkowym zdaniem na temat pisania listów. Pan i ja, Spence, pisujemy tyle listów... dla nas to jest coś oczywistego.

Nadinspektor Spence westchnął. Potem położył na stole cztery fotografie.

— Oto zdjęcia, o które mnie pan prosił... oryginały, którymi posłużyła się „Sunday Comet”. Są w każdym razie trochę wyraźniejsze od reprodukcji. Ale moim zdaniem niewiele wnoszą i trudno się na nich oprzeć. Są stare i wyblakłe... a w wypadku kobiet uczesanie tyle zmienia. Żadne nie wnosi nic określonego, co by mogło być wskazówką, jak na przykład kształt uszu albo profil. Ten kapelusz cloche, to wymyślne uczesanie i te róże! Nie dają nam szansy!

— Zgodzi się pan ze mną, że możemy wyłączyć Verę Blake?

— Tak sędzę. Gdyby Vera Blake była w Broadhinny, wszyscy by o tym wiedzieli... zdaje się, że opowiadanie smutnej historii swojego życia to jej specjalność.

— Co może mi pan powiedzieć o pozostałych?

— Zebrałem dla pana wszystko, co mogłem w tak krótkim czasie. Eve Kane wyjechała z kraju po tym, jak Craig został skazany. I mogę panu podać nazwisko, które przyjęła. Hope, nadzieja. Może

symbolicznie?

— Tak, tak — mruknął Poirot — akcent romantyczny. Piękna Evelyn Hope nie żyje. To wiersz jednego z waszych poetów. Śmiem twierdzić, że o tym wierszu myślała. Ale, ale, czy miała na imię Evelyn?

— Tak, chyba tak. Ale zawsze była znana jako Eva. I przy okazji, panie Poirot, skoro już o tym mówimy, opinia policji na temat Evy Kane nie pokrywa się z tym artykułem. Bardzo od niego odbiega.

Poirot uśmiechnął się.

— To, co myśli policja, nic jest bynajmniej dowodem. Choć zwykle bywa zdrową wskazówką. Co myślała policja o Evie Kane?

— Że nie była niewinną ofiarą, za jaką ją uważała opinia.

Byłem wtedy dosyć młody i pamiętam, jak rozmawiali o niej mój dawny szef i inspektor Traill, który prowadził sprawę. Traill sądził (choć nic miał żadnych dowodów, uważa pan), że na ten chytry pomysł, żeby się pozbyć pani Craig, wpadła sama Eva Kane... i że nie tylko na niego wpadła, ale i wykonała. Craig wróciwszy pewnego dnia do domu stwierdził, że przyjaciółka poszła na skróty. Myślała, jak przypuszczam, że to ujdzie za śmierć naturalną. Ale Craig nie był taki naiwny. Przestraszył się, ukrył ciało w piwnicy, i wymyślił ten plan ze śmiercią pani Craig za granicą. Potem, kiedy wszystko się wydało, gorączkowo zapewniał, że zrobił to sam jeden, że Eva Kane nic o tym nic widziała. Cóż — nadinspektor Spence wzruszył ramionami — nikt nic był w stanie dowieść, że stało się inaczej. Trucizna była w domu. Każde z nich mogło się nią posłużyć. Śliczna Eva Kane była ucieleśnieniem niewinności i zgorzenia. I dobrze to odegrała. Zdolna aktoreczka. Inspektor Traill miał swoje wątpliwości... ale nie było na czym się oprzeć. Przekazuję to panu tak, jak słyszałem, panie Poirot. To nie dowód.

— Ale pozwala przypuszczać, że przynajmniej jedna z tych „tragicznych kobiet” była czymś więcej niż tragiczną kobietą... że była morderczynią i przy wystarczająco silnym bodźcu mogłaby jeszcze raz zamordować... A teraz następna, Janice Courtland, co o niej może pan powiedzieć?

— Przejrzałem akta. Paskudna lektura. Jak już powiesiliśmy Edith Thompson, bez wątpienia trzeba było powiesić Janice Courtland. Niemiła para, razem z mężem, nie wiadomo, które gorsze. Tak owinęła sobie wokół palca tego młodego człowieka, że gotów był do morderstwa. Ale uważa pan, przez cały czas za tym wszystkim krył się pewien bogaty mężczyzna, i to po to, aby wyjść za niego, chciała usunąć męża.

— I wyszła za niego? Spence pokręcił głową.

— Nie mam pojęcia.

— Wyjechała za granicę... i co potem? Spence pokręcił głową.

— Była wolną kobietą. Nie wysunięto przeciw niej żadnego oskarżenia. Nie wiemy, czy wyszła za

mąż i co się z nią stało.

— Może się zdarzyć, że spotka się ją na koktajlu — powiedział Poirot, myśląc o uwadze doktora Rendella.

— Właśnie.

Poirot przeniósł spojrzenie na ostatnią fotografię.

— A ta mała? Lily Gamboll?

— Za młoda, żeby ją oskarżać o morderstwo. Została wysłana do specjalnej szkoły. Tam miała dobrą opinię. Nauczono ją stenografii i pisania na maszynie i znaleziono jej pracę pod nadzorem. Spisywała się dobrze. Jak wiadomo, ostatnio była w Irlandii. Wie pan, myślę, że możemy ją sobie darować, panie Poirot, tak samo jak Verę Blake. Ostatecznie wyszła za przyzwoitego człowieka i dwunastoletniemu dzieciakowi nie pamięta się, że coś zrobił w napadzie złości. To co, darujemy ją sobie?

— Mógłbym to zrobić — powiedział Poirot — gdyby nie ten tasak. Nie da się zaprzeczyć, że Lily Gamboll użyła na ciotkę tasaka, a czymś w rodzaju tasaka posłużył się ten nieznany zabójca pani McGinty.

— Może ma pan rację. Cóż, *monsieur* Poirot, przyjmijmy pański punkt widzenia. Cieszę się, że pana nikt nie próbował załatwić.

— Nnnie — przyznał Poirot po chwili wahania.

— Nie będę ukrywał, że raz czy dwa przeżyłem chwilę strachu o pana od tego wieczora w Londynie. Jakie więc widzimy możliwości dla mieszkańców Broadhinny?

Poirot otworzył notes.

— Eva Kane, jeżeli jeszcze żyje, ma teraz blisko sześćdziesiątkę. Jej córka, której dorosłe życie tak wzruszająco maluje „Sunday Comet”, byłaby po trzydziestce. W tym samym mniej więcej wieku byłaby Lily Gamboll. Janice Courtland dobijałaby pięćdziesiątki. Spence skinął głową.

— Tak więc dochodzimy do mieszkańców Broadhinny. Zajmijmy się szczególnie tymi, u których pracowała pani McGinty.

— Uważam, że to słuszne założenie.

— Tak, wszystko komplikuje fakt, że pani McGinty wpadała czasem tu i ówdzie zrobić coś dodatkowo, ale na razie przyjmijmy, że zobaczyła to, co zobaczyła, przypuszczalnie fotografię, w jednym z domów, gdzie bywała regularnie.

— Zgoda.

— Teraz ewentualni kandydaci pod względem wieku... najpierw państwo Wetherby, u których pani McGinty pracowała w dniu śmierci. Pani Wetherby jest w odpowiednim wieku, aby być Evą Kane, i ma córkę mniej więcej w wieku córki Evy Kane... córkę podobno z pierwszego małżeństwa.

— A co się tyczy fotografii?

— Mon cher, pewna identyfikacja na tej podstawie jest niemożliwa. Za wiele minęło czasu, za dużo wody upłynęło, jak wy to mówicie. Jedno można tylko powiedzieć: pani Wetherby była niezaprzeczalnie ładną kobietą. Ma wszystkie nawyki ładnej kobiety. Wydaje się o wiele za krucha i bezradna jak na morderczynię, ale o ile dobrze rozumiem, za taką uważano Evę Kane. Ile naprawdę trzeba było siły fizycznej, żeby zabić panią McGinty, trudno powiedzieć, nie wiedząc dokładnie, jakim posłużono się narzędziem, jaki miało trzonek, z jaką łatwością można się było nim zamierzyć, jak było ostre i tak dalej.

— Tak, tak. Nie udało nam się go odnaleźć... Ale proszę mówić dalej.

— Na temat domu Wetherbych mogę tylko dodać, że pan Wetherby potrafi być bardzo niemiły i bywa taki, jeśli zechce. Córka jest fanatycznie przywiązana do matki. Nienawidzi ojczyma. Nie komentuję tych faktów. Poddaję je tylko pod rozwagę. Córka byłaby zdolna zabić, aby ojczym nie dowiedział się o przeszłości matki. Matka mogłaby zabić z tego samego powodu. Ojciec mógłby zabić, aby „skandal” nie wydostał się na zewnątrz. Więcej morderstw popełniono w obronie dobrej opinii, niż można sobie wyobrazić! Państwo Wetherby to przyzwoici ludzie. Spence skinął głową.

— Jeżeli... powtarzam, jeżeli... coś jest w tej historii z „Sunday Comet”, to najbardziej pasują państwo Wetherby — powiedział.

— No właśnie. Jediną poza tym osobą w Broadhinny, która by pasowała wiekiem do Evy Kane, jest pani Upward. Przeciwno pani Upward jako Evie Kane, która zabiła panią McGinty, przemawiają dwie okoliczności. Po pierwsze, cierpi na artretyzm i większość czasu spędza w fotelu na kółkach...

— W powieści — powiedział zazdrośnie Spence — ten fotel na kółkach byłby lipą, ale w życiu jest prawdopodobnie najzupełniej na miejscu.

— Po drugie — ciągnął Poirot — pani Upward wydaje się osobą dogmatyczną i despotyczną, bardziej skłonną do tyranizowania innych niż wyłudzenia czegoś podstępem, co się nie zgadza z opiniami o naszej młodej Evie. Co innego, że charakter ludzki się zmienia, a pewność siebie to cecha, której często nabiera się z wiekiem.

— Święta prawda — przyznał Spence. — Panią Upward trudno wykluczyć, ale jest mało prawdopodobna. A inne możliwości? Janice Courtland?

— Sądzę, że ją możemy skreślić. W Broadhinny nie ma nikogo w odpowiednim wieku.

— Chyba że Janice byłaby którąś z młodszych kobiet po operacji plastycznej. Proszę na mnie nie zważać, to taki mój żart.

— Mamy trzy kobiety po trzydziestce. Deirdre Henderson, żona doktora Rendella i żona Guya

Carpentera. Co znaczy, że każda z nich mogłaby być Lily Gamboll albo córką Evy Kane, jeśli idzie o wiek.

— A jeśli idzie o możliwości? Poirot westchnął.

— Córka Evy Kane może być wysoka albo niska, może być blondynką albo brunetką... nie mamy żadnych wskazówek co do jej wyglądu. Braliśmy Deirdre Henderson pod uwagę w tej roli. Teraz co do pozostałych dwu. Przede wszystkim powiem panu jedno: pani Rendell czegoś się boi.

— Boi się pana?

— Tak sędzę.

— To może coś znaczyć — powiedział powoli Spence. — Sugeruje pan, że pani Rendell mogłaby być córką Evy Kane albo samą Lily Gamboll? To blondynka czy brunetka?

— Blondynka.

— Lily Gamboll była jasnowłosą dziewczuszką.

— Pani Carpenter też ma jasne włosy. Luksusowy zakład kosmetyczny. Jakakolwiek jest z natury, oczy ma niezwykle. Piękne, wielkie, ciemnoniebieskie.

— Ależ, Poirot — Spence pokiwał głową nad przyjacielem.

— Wie pan, jak wyglądała, kiedy wybiegła z pokoju wezwać męża? Przypominała mi piękną trzepoczącą się ćmę. Obijała się o meble i wyciągała ręce jak ślepa.

Spence popatrzył na niego pobłaźliwie.

— Jest pan romantykiem, ot co, *monsieur* Poirot — powiedział. — Z tymi swoimi pięknymi roztrzepotanymi ćmami i szeroko otwartymi niebieskimi oczyma.

— Ani trochę — stwierdził Poirot. — Mój przyjaciel Hastings, ten dopiero był romantyczny i sentymentalny, ja nigdy! Ja jestem bezlitośnie praktyczny. Próbuję tylko powiedzieć panu, że jeśli dziewczyna swoje pretensje do urody opiera wyłącznie na ładnych oczach, wtedy, choćby była nie wiem jak krótkowzroczna, zdejmie okulary i nauczy się poruszać po omacku, nawet jeśli wszystko widzi jak za mgłą i nie potrafi ocenić odległości.

I leciutko postukał palcem wskazującym w fotografię małej Lily Gamboll w grubych, nietwarzowych szklach.

— Tak więc pan uważa? Lily Gamboll?

— Nie, mówię tylko o tym, jakby być mogło. Wtedy kiedy zginęła pani McGinty, pani Carpenter nie była jeszcze panią Carpenter. Była młodą wojenną wdową, bardzo ubogą, i mieszkała w domku robotniczym. Była zaręczona z bogatym sąsiadem, człowiekiem z ambicjami politycznymi i wielkim

poczuciem własnego znaczenia. Gdyby Guy Carpenter odkrył, że się żeni, powiedzmy, z dziewczyną niskiego pochodzenia, która się wślawiła tym, że ciachnęła ciotkę tasakiem, albo z córką Craiga, jednego z najślynniejszych zbrodniarzy stulecia, zajmującego pierwsze miejsce w pańskiej Komnacie Okropności, cóż, należałoby wątpić, czy by doprowadził sprawę do końca. Odpowie pan zapewne, że tak, jeżeli kochał dziewczynę. Ale to nie tego rodzaju człowiek. Określiłbym go jako samolubnego, ambitnego i bardzo dbałego o własną reputację. Myślę, że gdyby młodej pani Selkirk, którą wtedy była, bardzo zależało na tym małżeństwie, jeszcze bardziej zależałoby jej na tym, aby do uszu jej narzeczonego nie doszła najmniejsza niekorzystna wzmianki o niej.

— Aha, więc myśli pan, że to ona?

— Powtarzam panu jeszcze raz, *mon cher*, że nie wiem. Sprawdzam tylko możliwości. Pani Carpenter była wobec mnie bardzo ostrożna, czujna i spłoszona.

— Nie najlepiej to wygląda.

— Tak, tak, ale to wszystko bardzo trudna sprawa. Byłem kiedyś na wsi u przyjaciół, którzy urządzili polowanie. Wie pan, jak to się odbywa? Wychodzi się z psami i bronią, płoszy ptactwo... ptactwo zrywa się, wzbija w powietrze, a wtedy bang, bang, strzela się. Tak samo my. Płoszymy nie tylko jednego ptaka, jakieś inne ptaki też są w ukryciu. Może ptaki, do których nic nie mamy. Ale same ptaki tego nie wiedzą. Musimy dobrze się upewnić, *cher ami*, który jest naszym ptakiem. W czasie wdowieństwa pani Carpenter mogły być różne niedyskrecje... nie gorsze niż to, ale zawsze niewygodne. Na pewno musi być jakiś powód, dlaczego pani Carpeuter tak pilno było mi powiedzieć, że pani McGinty była kłamczuchą!

Nadinspektor Spence potarł nos.

— Wyjašnjmy to, Poirot. Co pan naprawdę myśli?

— Nieważne, co ja myślę. Muszę wiedzieć. A jak dotąd psy dopiero dotarły do kryjówek ptactwa.

Spence mruknął:

— Gdybyśmy tylko mieli coś konkretnego, czego można by się uchwycić. Mamy jedynie podejrzone okoliczności. W ten sposób wszystko to teorie, i to dosyć naciągnięte. Wszystko kupy się nie trzyma, wie pan, tak jak panu mówiłem. Czy w życiu ktoś w ogóle morduje z powodów, jakie bierzemy pod uwagę?

— To zależy — odpowiedział Poirot. — Wiele tu zależy od rodzinnej sytuacji, której nie znamy. Ale przywiązanie do dobrej opinii jest bardzo silną namiętnością. To nie artyści ani inna bohema. W Broadhinny mieszkają bardzo przyzwoici ludzie. Tak mi powiedziała kierowniczką poczty. A przyzwoici ludzie lubią strzec swojej opinii. Ktoś może mieć za sobą długie lata szczęśliwego małżeństwa, najmniejszych podejrzeń, że się kiedyś było znaną postacią z najbardziej sensacyjnej sprawy o morderstwo, najmniejszych podejrzeń, że czyjeś dziecko jest dzieckiem osławionego mordercy. Ktoś mógłby powiedzieć: „Raczej umrę, niż mój mąż się o tym dowie!”. Albo: „Raczej umrę, niż córka odkryje, kim jest!”. A potem przychodzi mu do głowy, że może lepiej będzie, jeżeli to

pani McGinty umrze...

Spence powiedział spokojnie:

— Więc myśli pan, że to państwo Wetherby?

— Nie. Oni może najlepiej pasują, ale to i wszystko. Prawdę mówiąc, jeśli idzie o charakter, pani Upward jest bardziej prawdopodobną morderczynią niż pani Wetherby.

Ma zdecydowanie i siłę woli i ślepo kocha syna. Myślę, że mogłaby posunąć się daleko, nie chcąc dopuścić, aby się dowiedział, co się wydarzyło, zanim wyszła za jego ojca i ustatkowała się w szczęśliwym i cieszącym się szacunkiem małżeństwie.

— Tak by go to wyprowadziło z równowagi?

— Osobiście nie sędzę. Młody Robin ma nowoczesne poglądy, jest sceptykiem, absolutnym egoistą, a w każdym razie nie jest tak oddany matce, powiedziałbym, jak ona jemu. To nie jest James Bentley.

— Gdybyśmy założyli, że pani Upward jest Evą Kane, jej syn by nie zabił pani McGinty, żeby się to nic wydało?

— Powiedziałbym, że nigdy w życiu. Prawdopodobnie zbiłby na tym interes. Wykorzystałby ten fakt, żeby zdobyć popularność dla swoich sztuk! Nie widzę Robina Upwarda popełniającego morderstwo dla przyzwoitości czy z przywiązania, czy zresztą z jakiegokolwiek innego powodu poza konkretną własną korzyścią!

Spence westchnął.

— Pole badań jest szerokie — powiedział. — Może nam się uda znaleźć coś w przeszłości tych ludzi. Ale to zajmie dużo czasu. Sprawy skomplikowała wojna. Archiwa poniszczone... niewyczerpane możliwości dla osób, które chcą zatrzeć swoje ślady, posługując się cudzymi dowodami osobistymi i tak dalej, szczególnie po „wypadkach”, kiedy ciała były nie do rozpoznania! Gdybyśmy mogli się skupić na jednym, ale pan ma tylu kandydatów, *monsieur* Poirot!

— Może niedługo uda nam się ich zredukować.

Poirot opuścił biuro nadinspektora z mniejszą pogodą ducha, niż okazywał to na zewnątrz. Prześladowała go, tak jak Spence'a, presja czasu. Gdyby tylko miał czas...

A w głębi nurtowała go jeszcze jedna kłopotliwa wątpliwość: czy gmach, który budują z nadinspektorem Spence'em, ma solidne podstawy? Przypuśćmy, że ostatecznie James Bentley jest winien?...

Nie poddawał się tej wątpliwości, ale go niepokoiła.

Raz po raz wracał myślą do widzenia, jakie miał z Jamesem Bentleyem. Myślał o nim teraz,

czekając na peronie w Kilchester na swój pociąg. Był to dzień targowy i na peronie czekała masa ludzi. Tłumy innych wchodziły dopiero na peron.

Poirot wychylił się, żeby spojrzeć. Tak, pociąg wreszcie nadjeżdżał. Zanim Poirot zdążył się wyprostować, poczuł silne umyślne pchnięcie w kark. Było tak gwałtowne i nieoczekiwane, że zupełnie go zaskoczyło. Jeszcze sekunda, a wpadłby na tory pod wjeżdżający pociąg, ale w ostatniej chwili człowiek stojący za nim złapał go i odciągnął.

— Co też panu przychodzi do głowy? — oburzył się. Był to potężny sierżant armii. — Zwariował pan? Człowieku, wpadłby pan pod pociąg!

— Dziękuję panu, dziękuję po tysiackroć.

Tłum kłębił się już wokół nich, ludzie wsiadali i wysiadali.

— Już dobrze? Pomogę panu wsiąść. Poirot wstrząśnięty opadł na ławkę.

Na nic wyjaśniać: „Ktoś mnie popchnął”, ale ktoś go popchnął. Aż do dzisiejszego wieczora poruszał się świadomy niebezpieczeństwa, ostrożnie. Ale po rozmowie ze Spence’em, po jego żartobliwym pytaniu, czy nikt nie próbował zamachu na jego życie, bezsensownie uznał, że niebezpieczeństwo minęło, czy też, że nie może się zmaterializować.

Jakże się mylił! Z przesłuchań, które przeprowadził w Broadhinny, jedno przyniosło skutek. Ktoś się wystraszył. Ktoś spróbował położyć kres tym niebezpiecznie wskrzeszonym dochodzeniom w zamkniętej już sprawie.

Z budki na stacji w Broadhinny Poirot zadzwonił do nadinspektora Spence’a.

— To pan, *mon ami!* Proszę posłuchać. Mam dla pana wiadomość. Wspaniałą wiadomość. Ktoś próbował mnie zabić...

Wysłuchał z satysfakcją potoku uwag z drugiej strony.

— Nie, nie jestem ranny. Ale o mały włos... Tak, pod pociąg. Nie, nie widziałem kto. Ale niech pan będzie pewny, przyjacielu, dowiem się. Teraz wiemy, że jesteśmy na właściwym tropie.

Rozdział dwunasty

I

Człowiek sprawdzający licznik elektryczny spędził cały dzień z kamerdynerem Guya Carpentera, który go pilnował.

— Elektryczność będzie teraz działała na nowych zasadach — wyjaśnił. — Według jednolitej siatki stawek zależnie od liczby lokatorów.

— Według tego, co pan mówi, kosztowała drożej niż wszystko inne — sceptycznie zauważył kamerdyner.

— To zależy. Każdemu sprawiedliwie, jak mówię. Był pan na zebraniu wczoraj wieczorem?

— Nie.

— Podobno pana szef, pan Carpenter, bardzo dobrze mówił. Myśli pan, że wejdzie?

— Zdaje się, że o mało nie wszedł zeszłym razem.

— Tak, jakieś sto dwadzieścia pięć głosów przewagi, coś koło tego. Wozi go pan na te spotkania czy jeździ sam?

— Zwykle jedzie sam. Lubi prowadzić. Ma rollsa bentleya.

— Radzi sobie dobrze. Pani Carpenter też prowadzi?

— Tak. Według mnie o wiele za szybko.

— Jak to kobiety. Też była na tym zebraniu wczoraj? Czy nie interesuje się polityką?

Kamerdyner wyszczerzył zęby.

— W każdym razie udaje, że tak. Ale wczoraj nie wysiedziała do końca. Głowa ją rozboleła czy coś tam i w połowie przemówień wyszła.

— Ach! — elektryk zajrzał do bezpieczników. — Już prawie kończę — zauważył. Postawił jeszcze od niechcienia parę pytań, składając narzędzia i zabierając się do wyjścia.

Żywo odszedł podjazdem, ale oddaliwszy się za róg, zatrzymał się i zapisał w notesie:

„C. zeszłej nocy przyjechał sam do domu. Był około 10.30. Mógł w rzeczonym czasie być na Dworcu Centralnym w Kilchester. Pani C. wyszła z zebrania wcześniej. Do domu dotarła zaledwie dziesięć minut przed C. Mówi, że wróciła koleją.”

Był to drugi zapis w notesie elektryka. Pierwszy brzmiał:

„Dr R. Wezwany do chorego zeszłego wieczora. W kierunku Kilchester. Mógł być w rzeczonym czasie na Dworcu Centralnym w Kilchester. Pani R. sama cały wieczór (?) w domu. Po podaniu kawy pani Scott, gosposia, już jej nie widziała. Ma własny mały samochód.”

II

W Szczodrzeńcach pracowano pełną parą. Robin Upward mówił z powagą:

— Nie słyszysz, jaka to wspaniała kwestia? I jeżeli naprawdę będzie się czuło walkę płci między facetem a dziewczyną, ogromnie doda to całości pieprzyku.

Pani Oliver ze smutkiem przyglądała rękami rozwiane włosy, sprawiając, że nabrały wyglądu, jakby je rozwiał nie wiatr, lecz tornado.

— Rozumiesz chyba, o co mi chodzi, Ariadnę, kochanie?

— Och, rozumiem, o co ci chodzi — przyznała ponuro pani Oliver.

— Ale najważniejsze, żebyś naprawdę była z tego zadowolona.

Nikt poza zdeklarowanym hipokrytą by nie pomyślał, że pani Oliver wygląda na zadowoloną. Robin ciągnął radośnie:

— Tak ja to widzę: mamy tego znakomitego młodego człowieka, zrzuconego na spadochronie...

Pani Oliver przerwała mu:

— Ma sześćdziesiąt lat.

— O, nie!

— Ma.

— Ja go tak nie widzę. Trzydzieści pięć, ani dnia więcej.

— Ależ piszę o nim od trzydziestu lat i w pierwszej książce miał co najmniej trzydzieści pięć.

— Ależ, kochanie, jeżeli on ma sześćdziesiątkę, nie może być tego napięcia między nim a dziewczyną... jakże jej tam? Ingrid. To znaczy, wtedy byłby obrzydliwym satyrem!

— Rzeczywiście.

— Więc sama widzisz, musi mieć trzydzieści pięć — orzekł tryumfalnie Robin.

— Wobec tego nie może być Svenem Hjersonem. Zrób go sobie młodym Norwegiem z ruchu oporu.

— Ależ, droga Ariadnę, całe *dou* sztuki to Sven Hjerson. Masz masę czytelników, którzy po prostu uwielbiają Svena Hjersona i tłumnie przyjdą oglądać Svena Hjersona. On stanowi o kasie, kochanie!

— Ale ludzie, którzy czytają moje książki, wiedzą, jaki on jest! Nie możesz wymyślać zupełnie nowego młodego człowieka z norweskiego ruchu oporu i nazywać go Svenem Hjersonem!

— Ariadnę, kochanie, już ci to wszystko tłumaczyłem. To nie powieść, kochanie, to sztuka. Musi być porywająca! I jeżeli mamy napięcie, antagonizm między Svenem Hjersonem a tą... jakże jej tam? ... Karen... no wiesz, cali zjeżeni przeciw sobie, a w gruncie rzeczy tak strasznie związani wzajemnym przyciąganiem...

— Sven Hjerson nigdy nie dbał o kobiety — stwierdziła chłodno pani Oliver.

— Ależ nie możesz robić z niego pedała, kochanie. Nie w tego rodzaju sztuce. Chcę powiedzieć, że to nie sielanka ani nic w tym guście. Chodzi o dreszczyk, o morderstwa i zdrową zabawę na świeżym powietrzu.

Wzmianka o świeżym powietrzu zrobiła swoje.

— Chyba wyjdę — powiedziała zniecka pani Oliver. — Potrzebuję powietrza.

Strasznie mi brak powietrza!

— Mam iść z tobą? — spytał troskliwie Robin.

— Nie, wolę iść sama.

— Jak sobie życzysz, kochanie. Może masz rację. Lepiej pójdę i zrobię Madre kogel-mogel. Biedactwo, czuje się trochę zaniedbana. Lubi być ośrodkiem uwagi. A ty pomyślisz o tej scenie w piwnicy, dobrze? Całość wychodzi cudownie. To będzie olbrzymi sukces. Wiem o tym!

Pani Oliver westchnęła.

— Najważniejsze jednak — ciągnął Robin — żebyś ty była z tego zadowolona.

Rzuciwszy mu chłodne spojrzenie, pani Oliver okryła swe bujne ramiona paradną wojskową peleryną nabytą kiedyś we Włoszech i wyszła do Broadhinny.

Zapomni o swoich kłopotach, postanowiła, zajmując myśli wyjaśnieniem prawdziwego morderstwa. Herkules Poirot potrzebuje pomocy. Przyjrzy się mieszkańcom Broadhinny, i — kierując się kobiecą intuicją, która jej nigdy nie zawiodła — powie Poirotowi, kto jest mordercą. Pozostanie mu tylko zebrać niezbędne dowody.

Zaczęła poszukiwania od wizyty na poczcie i kupienia dwóch funtów jabłek. Dokonując tego zakupu, wdała się w przyjazną pogawędkę z panią Sweetiman.

Kiedy już obie doszły do zgodnej konkluzji, że bardzo jest ciepło jak na tę porę roku, pani Oliver napomknęła, że zatrzymała się u pani Upward w Szczodrzeńcach.

— Tak, wiem, pani będzie tą panią z Londynu, co pisze książki o morderstwach. Trzy z nich mam

tutaj w wydaniu Penguinina.

Pani Oliver rzuciła okiem na wystawę Penguinów. Były z lekka zastawione dziecinnymi gumowcami.

— „Sprawa drugiej złotej rybki” — zadumała się. Całkiem dobra powieść. To była śmierć kota, to tam dałam dmuchawce trzydzieści centymetrów długości, choć w rzeczywistości liczy półtora metra. Zabawne, żeby dmuchawka była taka długa, ale napisał mi o tym ktoś z muzeum. Czasami myślę, że niektórzy ludzie tylko z tą nadzieją czytają książki, że może znajdą w nich jakiś błąd. Którą tam pani jeszcze ma? Och! „Śmierć debiutantki”!... To straszna chała! Zrobiłam sulfonal rozpuszczalny w wodzie, a nie jest, i wszystko od początku do końca jest absolutnie nieprawdopodobne. Ginie co najmniej osiem osób, zanim Sven Hjerson doznaje olśnienia.

— Cieszę się wielkim wzięciem — powiedziała pani Sweetiman, nieporuszona tym interesującym samokrytycyzmem. — Nie uwierzyłaby pani! Nigdy żadnej z nich sama nie przeczytałam, bo naprawdę nie mam czasu na czytanie.

— Ale przecież mieliście tu u siebie morderstwo, prawda? — zapytała pani Oliver.

— Tak, zeszłego roku w listopadzie. Można by powiedzieć, że niemal po sąsiedzku.

— Podobno zjechał tu detektyw i zajmuje się tym?

— Ach, ma pani na myśli tego małego cudzoziemca z Na Smugach? Był tu nie dalej niż wczoraj i...

Pani Sweetiman urwała, bo ktoś wszedł po znaczki. Pobiegnęła naokoło do lady po stronie pocztowej.

— Dzień dobry, panno Henderson. Ciepło jak na tę porę roku.

— Rzeczywiście.

Pani Oliver wbiła surowy wzrok w plecy wysokiej dziewczyny. Miała ze sobą teriera na smyczy.

— Co znaczy, że później przymrozek zniszczy zawiązki owoców — powiedziała pani Sweetiman z ponurą przyjemnością. — Jak się miewa pani Wetherby?

— Całkiem dobrze, dziękuję. Nie wychodzi za wiele. Ostatnio był taki okropny wschodni wiatr.

— Dobry film idzie w tym tygodniu w Kilchester, panno Henderson. Powinna się pani wybrać.

— Zamierzałam się wybrać wczoraj wieczorem, ale doprawdy, nie mogłam sprawiać kłopotu.

— W przyszłym tygodniu będzie Betty Grabie... Wyszły mi znaczki pięcioszylingowe, czy mogą być dwa po dwa szylingi sześć pensów?

Kiedy dziewczyna wyszła, pani Oliver zapytała:

— Czy pani Wetherby jest przykuta do łóżka?

— Tak jakby była — odpowiedziała dosyć kwaśno pani Sweetiman. — Inni nie mają czasu się wylegiwać.

— Zupełnie się z panią zgadzam — powiedziała pani Oliver. — Powtarzam pani Upward, że gdyby tylko bardziej się postarała chodzić o własnych siłach, byłoby to z korzyścią dla niej.

Pani Sweetiman wydała się rozbawiona.

— Ona chodzi... jak chce. Przynajmniej tak słyszałam.

— I teraz?

Pani Oliver zastanowiła się nad źródłem tej informacji.

— Janet? — zaryzykowała.

— Janet Groom trochę narzeka — powiedziała pani Sweetiman. — I trudno jej się dziwić, nie uważa pani? Pani Groom sama już nie jest młoda i ma ten okropny reumatyzm, kiedy wieje ze wschodu. Ale to się nazywa artretyzm, jak go mają państwo, zaraz potrzebne fotele inwalidzkie, i co tam jeszcze. No cóż, ja sobie nie mogę pozwolić na utratę władzy w nogach, na pewno nie. Ale dzisiaj z byle odmrożeniem leci się do lekarza, żeby się zwróciło to, co się płaci na ubezpieczenie. Za wiele tej opieki zdrowotnej. Nigdy na nic się nie zdała, biorąc pod uwagę, jak się człowiek czuje.

— Chyba ma pani rację — powiedziała pani Oliver. Zabrała swoje jabłka i ruszyła za Deirdre Henderson. Dopędzić ją nie było trudno, gdyż terier był stary, zapasiony i zajęty niespiesznym badaniem kępek trawy i miłych zapachów.

Psy zdaniem pani Oliver zawsze służyły poznawaniu ludzi.

— Jaki uroczy! — wykrzyknęła.

Wysoka młoda kobieta z pospolitą twarzą wydała się usatysfakcjonowana.

— Rzeczywiście jest dosyć miły — przyznała. — Czyż nie, Ben?

Ben uniósł głowę, lekko pokręcił serdelkowatym ciałem, wrócił do badania nosem kępki ostów, zaakceptował ją i w zwykły sposób zabrał się do zaznaczania tej akceptacji.

— Wdaje się w bójki? — spytała pani Oliver. — Teriery często to robią.

— Tak, jest strasznie bojowy. Dlatego trzymam go na smyczy.

— Tak też myślałam. Obie popatrzyły na teriera.

Potem Deirdre Henderson powiedziała z jakimś pośpiechem:

— Pani... pani jest Ariadną Oliver, prawda?

— Tak. Zatrzymałam się u Upwardów.

— Wiem, Robin nam mówił, że pani przyjeżdża. Muszę pani powiedzieć, że bardzo lubię pani książki.

Pani Oliver, jak zwykle, zrobiła się purpurowa ze zmieszania.

— Och — wymamrotała nieszczęśliwa. — Bardzo się cieszę — dodała ponuro.

— Nie przeczytałam tylu, ile bym chciała, bo zamawiamy książki z Klubu Książki Timesa, a mama nie lubi kryminałów. Jest strasznie wrażliwa i nie dają jej potem zasnąć późno w noc. Ale ja je uwielbiam.

— Mieli tu państwo prawdziwą zbrodnię, prawda? — powiedziała pani Oliver. — W którym domu to się stało? Jednym z tych domków?

— W tym tutaj.

Deirdre Henderson powiedziała to jakimś stłumionym głosem.

Pani Oliver skierowała wzrok na dawne miejsce zamieszkania pani McGinty, którego próg obecnie zajmowało dwoje niesympatycznych potomków państwa Kiddle'ów z zadowoleniem dręczących kota. Właśnie kiedy pani Oliver wystąpiła z protestem, kot uciekł, posłużywszy się stanowczo pazurami.

Najstarsze z dzieciaków, boleśnie podrapane, ryknęło płaczem.

— Dobrze ci tak — powiedziała pani Oliver, dodając do Deirdre Henderson: — Wcale nie wygląda na dom, w którym popełniono morderstwo, nie sądzi pani?

— Rzeczywiście, nie wygląda. Wydawało się, że obie są co do tego zgodne. Pani Oliver ciągnęła dalej:

— Stara sprzątaczką, nieprawda? I ktoś ją obrabował?

— Lokator. Miała trochę pieniędzy... pod podłogą!

— Aha.

Deirdre Henderson powiedziała nagle:

— Ale może ostatecznie to nie on. Jest tu taki śmieszny, nieduży cudzoziemiec. Nazywa się Herkules Poirot...

— Herkules Poirot? O tak, wiem o nim wszystko.

— Naprawdę jest detektywem?

— Moja droga, jest strasznie sławny. I okropnie przebiegły.

— Więc może wykryje, że on tego ostatecznie nie zrobił. —Kto?

— Ten... lokator. James Bentley. Och, naprawdę mam nadzieję, że go wypuszczą.

— Doprawdy? Dlaczego?

— Bo nie chcę, żeby to był on. Nigdy nie chciałam, żeby to był on.

Pani Oliver popatrzyła na nią ciekawie, zaskoczona, namiętnością w jej głosie.

— Zdała go pani?

— Nie — odpowiedziała powoli Deirdre — nie znałam go. Ale kiedyś Ben wsadził nogę w jakąś paść i on mi pomógł go uwolnić. I chwilę rozmawialiśmy...

— Jaki był?

— Okropnie samotny. Właśnie umarła mu matka. Strasznie kochał matkę.

— I pani kocha swoją? — domyślnie zapytała pani Oliver.

— Tak. Dlatego rozumiałam. To znaczy, rozumiałam, jak się czuje. Widzi pani, matka i ja... mamy tylko siebie.

— Zdaje mi się, że Robin mi mówił, że ma pani ojczyma. Deirdre powiedziała z goryczą:

— O tak, mam ojczyma.

Pani Oliver zauważyła mgliście:

— To nie to samo, prawda, co własny ojciec? Pamięta pani własnego ojca?

— Nie, umarł, zanim się urodziłam. Matka wyszła za pana Wetherby, kiedy miałam cztery lata. Ja... zawsze go nienawidziłam. A matka... — Urwała, po czym powiedziała: —Matka miała bardzo smutne życie. Nie zaznała ani współczucia, ani zrozumienia. Ojczym to człowiek całkowicie pozbawiony uczuć, bezwzględny i zimny.

Pani Oliver skinęła głową i mruknęła:

— Ten James Bentley wcale mi nie wygląda na zbrodniarza.

— Nigdy nie przypuszczałam, że policja aresztuje właśnie jego. Jestem pewna, że to musiał być jakiś włóczęga. Szwendają się tu czasem straszne typy. To musiał być jeden z nich.

Pani Oliver powiedziała tonem pocieszenia:

— Może Herkules Poirot odkryje prawdę.

— Tak, może...

Skręciła nagle w furtkę Zagrody Myśliwego.

Pani Oliver popatrzyła za nią dłuższą chwilę, po czym wyjęła z torebki notesik. Zapisała w nim: „Nie Deirdre Henderson”, i tak mocno podkreśliła „nie”, że złamał jej się ołówek.

III

W połowie drogi na wzgórze spotkała Robina Upwarda z przystojną młodą platynową blondynką. Robin przedstawił je sobie.

— To nasza wspaniała Ariadnę Oliver, Eve — powiedział. — Moja droga, nie wiem, jak ona to robi. Wygląda tak dobrotliwie, nieprawda? Wcale nie tak, jakby się tarzała w zbrodni. To jest Eve Carpenter. Jej mąż będzie naszym następnym posłem do parlamentu. Obecny, sir George Cartwright, to zupełny ramol, biedny staruszek. Zaczają się za drzwiami na młode dziewczyny.

— Robin, nie wolno ci wymyślać takich strasznych łgarstw. Skompromitujesz partię.

— I dlaczego miałbym się o to troszczyć? To nie moja partia. Ja jestem liberałem. To jedyna partia, do jakiej można dziś należeć, naprawdę niewielka i dobrana, i bez szansy na zwycięstwo. Uwielbiam przegrane sprawy.

I dodał, zwracając się do pani Oliver:

— Eve chce, żebyśmy dziś wieczorem przyszli na drinka. Coś w rodzaju przyjęcia na twoją cześć, Ariadnę. Wiesz, chcą spojrzeć niebezpieczeństwu w oczy. To szalenie podniecające mieć cię tutaj. Nie mogłabyś miejscem swojego następnego morderstwa zrobić Broadhinny?

— Och, proszę to zrobić, pani Oliver — powiedziała Eve Carpenter.

— Z łatwością przeniesiesz tu Svena Hjersona — powiedział Robin. — Może jak Herkules Poirot zamieszkać w gościnnym domu Summerhayesów. Właśnie tam idziemy, bo powiedziałem Eve, że Herkules Poirot to równie wielka sława w swojej specjalności jak ty jesteś w swojej, a ona mówi, że wczoraj była dla niego niezbyt uprzejma, więc i jego chce zaprosić na to przyjęcie. Ale na serio, moja droga, postaraj się, żeby twoje następne morderstwo zdarzyło się w Broadhinny. Wszyscy tu będziemy się pasjonować.

— Och, proszę to zrobić, pani Oliver. Ubawimy się — powiedziała Eve Carpenter.

— Kogo zrobimy mordercą, a kogo ofiarą? — spytał Robin.

— Kto u państwa teraz sprząta? — spytała pani Oliver.

— Och, kochanie, nie tego rodzaju morderstwo. Takie nudne. Nie, myślę, że świetną ofiarą byłaby nasza Eve. Powiedzmy, uduszona własną nylonową pończochą. Nie, to już było.

— Uważam, że lepiej ciebie zamordować, Robin — powiedziała Eve. — Obiecujący dramaturg zasztyletowany we własnym domku na wsi.

— Jeszcze nie wybraliśmy mordercy — powiedział Robin. — Co powiecie na moją mamę?

Posłuż się fotelem na kółkach, żeby nie zostawić śladów stóp. Uważam, że to by było świetne.

— Ale ona nie chciałaby cię zasztyletować, Robin. Robin rozważył to.

— Nie, chyba nie. Prawdę mówiąc, myślałem o tym, żeby udusiła ciebie. To przyszłoby jej o wiele łatwiej.

— Ale ja chcę, żebyś to ty był ofiarą. A osobą, która cię zabije, może być Deirdre Henderson. Nieładna dziewczyna z zahamowaniami, której nikt nie dostrzega.

— No proszę, Ariadnę — powiedział Robin. — Masz już cały wątek do następnej powieści. Zostaje ci wpleść parę fałszywych tropów i... oczywiście... odwalić całe pisanie. O Boże, ta Maureen ma naprawdę okropne psy.

Ledwie skręcili w furtkę Na Smugach, popędziły do nich, szczekając, dwa irlandzkie wilczury.

Na podwórze przed stajnią wyszła Maureen Summerhayes z wiadrem w ręku.

— Do nogi, Flyn. Chodź tu, Cormic. Halo. Właśnie czyszczą chlewik Świnki.

— Wiemy, kochanie — powiedział Robin. — Czuć cię aż stąd. Jak się miewa Świnka?

— Narobiła mi okropnego strachu wczoraj. Leżała i nie chciała śniadania. Johnnie i ja przeczytaliśmy wszystkie choroby w „Księdze świń” i ze zmartwienia nie mogliśmy zmrużyć oka, a dziś rano była zdrowa jak koń i zdecydowanie zaatakowała Johnniego, kiedy wszedł z jedzeniem. Zwaliała go z nóg, prawdę mówiąc. Musiał wziąć kąpiel.

— Jakież pasjonujące życie macie tu z Johnniem — powiedział Robin.

Eve zapytała:

— Nie zechciałabyś razem z Johnniem przyjść dziś wieczór na drinka do nas?

— Z największą przyjemnością.

— I poznać panią Oliver — dodał Robin. — A właściwie możesz ją poznać zaraz. To ona.

— Naprawdę to pani? — zapytała Maureen. — Jakież to podniecające. Piszecie sztukę razem z Robinem, prawda?

— Idzie nam wspaniale — powiedział Robin. — Przy okazji, Ariadnę, miałem przyływ inteligencji, kiedy wyszłaś rano. Na temat obsady.

— Och, obsady — powiedziała pani Oliver z ulgą.

— Znam kogoś, kto jest jak stworzony, żeby zagrać Erica. Cecil Leech... gra w Małym Repertuarowym w Cullenauay. Któregoś wieczora wpadniemy i zobaczymy przedstawienie.

— Szukamy twojego sławnego gościa — powiedziała Eve do Maureen. — Jest tu gdzieś? Chcę i jego zaprosić na wieczór.

— Przyprowadzimy go ze sobą — powiedziała Maureen.

— Myślę, że lepiej będzie, jak sama go poproszę. Prawdę mówiąc, byłam dla niego wczoraj trochę niegrzeczna.

— O! Dobrze, gdzieś tu jest — powiedziała mgliście Maureen. — Zdaje się, że w ogrodzie... Cormic... Flyn... te cholerne psy... — Upuściła z łoskotem wiadro i pobiegła w kierunku sadzawki, gdzie rozległo się wściekłe kwakanie.

Rozdział trzynasty

Pod koniec przyjęcia u Carpenterów pani Oliver z kieliszkiem w ręku podeszła do Herkulesa Poirota. Aż do tej chwili każde z nich stanowiło osobny ośrodek uwagi grupy wielbicieli. Teraz, kiedy wypito już sporą ilość dżinu i przyjęcie się rozkręciło, starzy znajomi ciężyli ku sobie dla wymiany lokalnych sensacji, a dwoje outsiderów mogło spokojnie porozmawiać.

— Chodźmy na taras — powiedziała pani Oliver konspiracyjnym szeptem.

I jednocześnie wsunęła mu do ręki kawałek papieru. Wyszli razem przez drzwi balkonowe i oddalili się kawałek tarasem. Poirot rozwinął świstek.

„Doktor Rendell” — przeczytał.

Spojrzał pytająco panią Oliver. Pani Oliver energicznie skinęła głową, przy czym opadł jej na twarz duży pukiel siwych włosów.

— On jest mordercą — powiedziała.

— Tak pani sądzi? Dlaczego?

— Po prostu wiem — stwierdziła pani Oliver. — To tego rodzaju typ. Otwarty i dobroduszny, i w ogóle.

— Może.

Zabrzmiało to nieprzekonująco.

— Ale jaki by mu pani przypisała motyw?

— Postępowanie niezgodne z zawodem lekarza — powiedziała pani Oliver. — I pani McGinty o tym wiedziała. Ale jakkolwiek był powód, zapewniam pana, że to on. Przyjrzałam się wszystkim innym i to on jest mordercą.

Poirot w odpowiedzi zauważył tonem niewinnej rozmowy:

— Ktoś wczoraj wieczorem usiłował mnie zepchnąć na tory na stacji w Kilchester.

— Boże święty. Chce pan powiedzieć, że chciano pana zabić?

— Nie mam wątpliwości, że taki był zamiar.

— A doktor Rendell wyjeżdżał do chorego, wiem, że tak.

— Rozumiem z tego... tak... że doktora Rendella nie było w domu, gdyż udał się do chorego.

— To najlepszy dowód — orzekła pani Oliver z satysfakcją.

— Niezupełnie — powiedział Poirot. — Oboje pan i pani Carpenterowie byli wczoraj wieczorem w Kilchester i wrócili do domu każde osobno. Pani Rendell mogła cały wieczór siedzieć w domu i słuchać radia albo nie... nikt nie sprawdzi. Panna Henderson często jeździ do kina w Kilchester.

— Wczoraj wieczorem nie była. Była w domu. Mówiła mi.

— Nie można wierzyć wszystkiemu, co kto powie — oświadczył tonem pouczenia Poirot. — Rodziny trzymają zwarty front. Z drugiej strony ta cudzoziemka, pomoc domowa, Frieda, była wczoraj wieczorem w kinie, więc nie może nam powiedzieć, kto był, a kogo nie było w domu w Zagrodzie Myśliwego! Sama pani widzi, jak trudno coś ustalić.

— Mogę chyba ręczyć za swoich — powiedziała pani Oliver. — Jak pan mówi, o której to się stało?

— Dokładnie o dziewiątej trzydzieści pięć.

— To Szczodrzeńce w każdym razie są czyste jak łza. Od ósmej do pół do jedenastej Robin, jego matka i ja graliśmy w karty.

— Myślałem, że może pani z Robinem siedzieliście zamknięci przy wspólnej pracy.

— Zostawiając mamę, żeby wskoczyła na motor ukryty w krzakach? — Pani Oliver roześmiała się. — Nie, mieliśmy mamę na oku. — Westchnęła, gdyż ogarnęły ją smutniejsze myśli. — Wspólna praca — powiedziała z goryczą. — Jeden koszmar! Jakby się panu podobało, gdyby ktoś przykleił nadinspektorowi Battle czarny wąs i twierdził, że to pan?

Poirot zamrugał.

— Co za upiorny pomysł!

— Teraz pan wie, co cierpię!

— Ja także cierpię — wyznał Poirot. — Kuchni pani Summer—hayes nie da się opisać. To w ogóle nie kuchnia. I te przeciągi, te zimne wiatry, te koty chore na żołądek, te długie psie kłaki, połamane nogi u krzesel i to okropne łóżko, na którym sypiam... — Przymknął oczy na wspomnienie tej udręki. — Ledwie ciepła woda w łazience, dziury w dywanie na schodach i ta kawa... żadne słowa nie opiszą pani cieczy, jaką się tam podaje zamiast kawy. To obraza dla żołądka.

— Biedny Poirot — powiedziała pani Oliver. — A jednak, wie pan, ona jest strasznie miła.

— Pani Summerhayes? Jest czarująca. Jest wręcz czarująca. Tym to trudniejsze.

— Oto i ona — powiedziała pani Oliver. Zbliżała się do nich Maureen Summerhayes.

Na jej piegowatej twarzy malował się ekstatyczny wyraz. Niosła w ręku kieliszek. Z czułością uśmiechała się do obojga.

— Chyba jestem trochę zawiana — oświadczyła. — Morze cudownego dżinu! Jakże ja lubię przyjęcia! Nieczęsto się zdarzają w Broadhinny. To dlatego, że oboje jesteście tacy sławni. Żałuję, że nie potrafię pisać książek. Kłopot ze mną polega na tym, że nic nie umiem zrobić jak należy.

— Jest pani dobrą żoną i matką, *madame* — powiedział afektowanym tonem Poirot.

Oczy Maureen się otworzyły. Ładne orzechowe oczy w drobnej piegowatej twarzy. Pani Oliver zastanowiła się, ile ona ma lat. Niewiele ponad trzydzieści, jak przypuszczała.

— Naprawdę? — zapytała Maureen. — Ciekawe. Kocham ich strasznie, ale czy to dosyć?

Poirot kaszlnął.

— Jeśli nie poczyta mi pani tego za arogancję, *madame*. Żona, która prawdziwie kocha męża, powinna dbać o jego żołądek. To ważne, żołądek.

Maureen wyglądała na lekko urażoną.

— Johnnie ma wspaniały żołądek — powiedziała z godnością. — Absolutnie płaski. Praktycznie śladu brzuszka.

— Mówiłem o tym, co się do niego wkłada.

— Mówi pan o mojej kuchni — powiedziała Maureen. — Wcale nie sądzę, żeby to, co człowiek je, miało większe znaczenie.

Poirot jęknął.

— Albo to, co człowiek na sobie nosi — powiedziała Maureen rozmarzonym tonem. — Albo co robi. Nie sądzę, aby rzeczy miały jakieś znaczenie... tak naprawdę.

Milczała przez dłuższą chwilę z oczami zamglonymi alkoholem, jak gdyby patrzyła gdzieś daleko.

— Parę dni temu jakaś kobieta napisała do gazety — powiedziała nagle. — Naprawdę głupi list. Pytała, co lepiej... kiedy się pozwala, żeby dziecko adoptowała osoba, która jest w stanie zapewnić mu wszelkie szanse... wszelkie szanse, tak to ujęła... i miała na myśli przyzwoite wykształcenie, ubranie, i dobre warunki... czy kiedy się je zatrzymuje, nie mogąc dać mu żadnych szans. Uważam, że to głupie... naprawdę głupie. Jeżeli tylko jest się w stanie dać dziecku jeść... to tylko się liczy.

Wlepiła wzrok w pusty kieliszek, jakby to była kryształowa kula.

— Wiem dobrze — powiedziała. — Sama byłem adoptowanym dzieckiem. Matka mnie oddała i dostałam wielkie szanse, jak to się mówi. I zawsze mnie to bolało... zawsze... zawsze... świadomość, że w gruncie rzeczy było się niechcianą, że matka mogła mnie się wyrzec.

— Było to może poświęcenie dla pani dobra — powiedział Poirot.

Jej jasne oczy spotkały jego spojrzenie.

— Wcale nie sędzę, żeby to kiedyś było prawdą. Tak to sobie przedstawiają. Ale sprowadza się do tego, że mogą naprawdę obejść się bez dziecka... to boli. Nie oddałabym swoich dzieci... za żadne szansę na świecie!

— Sędzę, że ma pani całkowitą rację — powiedziała pani Oliver.

— I ja się z panią zgadzam — powiedział Poirot.

— No, to w porządku — podsumowała Maureen pogodnie. — O co się sprzeczamy?

Robin, który nadszedł tarasem, by się do nich przyłączyć, zapytał:

— Tak, o co się sprzeczacie?

— O adopcję — wyjaśniła Maureen. — Nie lubię być w sytuacji adoptowanego dziecka, a ty?

— Cóż, to dużo lepsze niż być sierotą, nie uważasz, kochanie? Myślę, że powinniśmy już iść, nie sądzisz, Ariadnę?

Goście wyszli wszyscy razem. Doktor Rendell spieszył się. Zeszli razem ze wzgórza, rozmawiając wesoło z tym dodatkowym rozbawieniem, w jakie wprawia seria koktajli.

Kiedy znaleźli się przy furtce Szczodrzeńców, Robin zaczął nalegać, aby wszyscy weszli do środka.

— Tylko żeby opowiedzieć Mądre o przyjęciu. Jaka to dla niej, kochanego biedactwa, udręka, nie móc wyjść, bo noga odmawia jej posłuszeństwa. A tak nie znosi nie brać w czymś udziału.

Wesoło wtargnęli do domu i wyglądało na to, że pani Upward ucieszyła się na ich widok.

— Kto tam jeszcze był? — spytała. — Państwo Wetherby?

— Nie, pani Wetherby nie czuła się najlepiej, a ta tępa Henderson nie chciała przyjść bez niej.

— Naprawdę jest dosyć żalсна — orzekła Shelagh Rendell.

— Chyba wręcz nienormalna, nie uważasz? — powiedział Robin.

— To ta jej matka — orzekła Maureen. — Niektóre matki wręcz pożerają swoje dzieci.

Nagle zarumieniła się, spotykając figlarne spojrzenie pani Upward.

— Czy ja cię pożeram, Robin? — spytała pani Upward.

— Mądre! Skądże znowu!

Dla pokrycia zmieszania Maureen czym prędzej zagłębiła się w opis swoich doświadczeń z hodowlą irlandzkich wilczurów. Rozmowa zesłała na szczegóły techniczne.

Pani Upward powiedziała zdecydowanym tonem:

— Nie sposób uciec od dziedziczności... zarówno w wypadku ludzi, jak psów.

Shelagh Rendell mruknęła:

— Nie sądzi pani, że decyduje środowisko? Pani Upward ucięła ją krótko.

— Nie, moja droga, nie sądzę. Środowisko może dać ogładę... nic więcej. U człowieka liczy się to, co wrodzone.

Oczy Herkulesa Poirota spoczęły z ciekawością na zarumienionej twarzy Shelagh Rendell. Powiedziała z nadmiernym, jak się wydało, przejęciem:

— Ależ to okrutne... nie fair. Pani Upward powiedziała:

— Życie jest nie fair.

Dołączył się powolny, leniwy głos Johnniego Summerhayesa.

— Zgadzam się z panią Upward. Pochodzenie mówi za siebie. Zawsze tak uważałem.

Pani Upward dorzuciła, jak gdyby sprawdzając, czy to samo mają na myśli.

— Chce pan powiedzieć, że pewne rzeczy się dziedziczy. Aż do trzeciego i czwartego pokolenia...

Nagle Maureen oświadczyła swoim słodkim, wysokim głosem:

— Ależ ten cytat brzmi dalej: „...a który okazuje łaskę w tysięcznym pokoleniu...”*

Raz jeszcze wszyscy wydali się trochę zmieszani, może tonem powagi, jaki się wkradł do rozmowy. Poszukali odmiany, atakując Poirota.

— Niech nam pan opowie wszystko o pani McGinty, *monsieur* Poirot. Dlaczego to nie ten okropny lokator ją zabił?

— Wiecie, on łaził ulicami i wciąż coś do siebie mamrotał

— powiedział Robin. — Często go spotykałem. I naprawdę, bez wątpienia, wyglądał na stukniętego.

— Musi pan mieć jakiś dowód, *monsieur* Poirot, skoro pan uważa, że to nie on ją zabił. Proszę

nam powiedzieć.

Poirot uśmiechnął się do wszystkich. Podkreślił węża.

— Jeżeli on jej nie zabił, to kto?

— Tak, kto?

Pani Upward powiedziała oschłym tonem:

— Nie wprowadzajcie człowieka w zakłopotanie. Pewno podejrzewa jedno z nas.

— Jedno z nas? Ooo!

Wśród tych okrzyków oczy Poirota spotkały się z oczyma pani Upward. Jej oczy były rozbawione i... coś jeszcze... wyzywające?

— Podejrzewa jedno z nas — powtórzył z zachwytem Robin. — No, więc Maureen — powiedział, przyjmując ton tyrańskiego sędziego — gdzie pani była w noc... jaka to była data?

— Dwudziesty drugi listopada — podpowiedział Poirot.

— Boże święty, nie wiem — wyznała Maureen.

— Nikt po takim długim czasie nie będzie wiedział — powiedziała pani Rendell.

— No, ja wiem — oświadczył Robin. — Ponieważ występowałem tego wieczora w radiu. Pojechałem do Coalport wygłosić pogadankę o pewnych aspektach teatru. Pamiętam, bo szeroko omawiałem sprzątaczkę Galsworthy'ego w „Srebrnej papierošnicy”, a na drugi dzień zginęła pani McGinty i zastanawiałem się, czy ta sprzątaczką ze sztuki była podobna do niej.

— To się zgadza — powiedziała nagle Shelagh Rendell. — I ja teraz pamiętam, bo mówiłeś, że twoja matka cały wieczór będzie sama, ponieważ tego wieczora Janet miała wolne, i przyszedłem tu po obiedzie dotrzymać jej towarzystwa. Tylko, niestety, nie dosłyszała mojego pukania.

— Niech pomyślę — zastanowiła się pani Upward.

— O tak, oczywiście, położyłam się z bólem głowy, a sypialnia wychodzi na ogród od tyłu.

— A na drugi dzień — ciągnęła Shelagh — kiedy się dowiedziałam, że ktoś zabił panią McGinty, pomyślałam: „Ooo! Mogłam się w ciemności minąć z mordercą”... bo na początku wszyscy myśleliśmy, że to się na pewno włamał jakiś włóczęga.

— Cóż, wciąż nie pamiętam, co ja robiłam — stwierdziła Maureen. — Ale pamiętam rano na drugi dzień. To piekarz nam powiedział. „Ktoś załatwił starą McGinty”, powiedział. A ja się właśnie zastanawiałam, dlaczego nie pojawiła się jak zwykle.

Wstrząsnęła się.

— Czyż to nie okropne? — dodała.

Pani Upward wciąż obserwowała Poirota.

„To bardzo inteligentna kobieta — pomyślał — i bezwzględna. A także egoistka. Cokolwiek by zrobiła, nie miałaby najmniejszych wyrzutów sumienia ani cienia żalu...”

Odezwał się jakiś cienki głos... nagły i kłótlivy.

— Nie ma pan żadnych poszlak, panie Poirot? Była to Shelagh RendeU.

Pociągnęła, ciemna twarz Johnniego Summerhayesa rozjaśniła się entuzjazmem.

— Właśnie, poszlaki — powiedział. — To lubię w kryminałach. Poszlaki, które tyle znaczą dla detektywa... a nic dla czytelnika... aż do samego końca, kiedy człowiek praktycznie puka się w czoło. Nie może nam pan dać jakiejś małej wskazówki, *monsieur* Poirot?

W stronę Poirota zwróciły się roześmiane, proszące twarze. Dla nich to zabawa (choć może z jednym wyjątkiem). Ale morderstwo nie jest zabawą... morderstwo jest niebezpieczne. Nigdy nic nie wiadomo.

Nieoczekiwanie, zienacka Poirot wydobyl z kieszeni cztery fotografie.

— Chcą państwo wskazówki? — powiedział. — *Voilà!*

I rzucił je dramatycznym gestem na stół. Skupili się wokoło, pochyleni, wykrzykując:

— Patrzcie!

— Ale straszdyła!

— Popatrz tylko na te róże! „Róże, róże, wszędzie róże!”

— Boże, co za kapelusz!

— Jaka okropna dziewczyna!

— Ale kim one są?

— Czyż moda nie jest śmieszna?

— Ta kobieta naprawdę musiała być kiedyś ładna!

— Ale jakaż to wskazówka?

— Kim one są?

Poirot rozejrzał się powoli po kręgu twarzy.

Nie zobaczył niczego, czego by się nie spodziewał.

— Nie znają państwo żadnej z nich?

— Znają?

— To znaczy, powinienem zapytać, czy nikt z państwa sobie nie przypomina, żeby kiedyś widział którąś z tych fotografii? Ależ tak... pani Upward? Którąś pani poznała, prawda?

Pani Upward zawahała się.

— Tak... zdaje mi się...

— Którą?

Palec pani Upward wysunął się i spoczął na dziecinnej twarzy Lily Gamboll w okularach.

— Widziała pani tę fotografię... kiedy?

— Całkiem niedawno... Ale gdzie... nie, nie mogę sobie przypomnieć. Ale na pewno widziałam zupełnie taką samą fotografię.

Siedziała zmarszczona, ze ściągniętymi brwiami. Obudziła się z zamyślenia, kiedy podeszła do niej pani Rendell.

— Do widzenia, pani Upward. Mam nadzieję, że wpadnie pani do mnie na herbatkę, jak tylko poczuje się pani na siłach.

— Dziękuję ci, moja droga. Jeśli Robin wepchnie mnie na wzgórze.

— Oczywiście, Mądre. Popychając ten wózek, wyrobiłem sobie potężne mięśnie. Pamiętasz ten dzień, kiedy szliśmy do Wetherbych i było takie błoto...

— Ach! — wykrzyknęła nagle pani Upward.

— Co się stało, Mądre? — Nic. Mów dalej.

— I też pchałem cię pod górę. Najpierw fotel się ślizgał, potem ja się ślizgałem. Myślałem, że nigdy nie dotrzemy do domu.

Ze śmiechem pożegnali się i wymaszerowali.

Alkohol rzeczywiście rozwiązuje języki, pomyślał Poirot.

Mądrze czy głupio postąpił, pokazując te fotografie? Czy ten gest też był skutkiem wypitego alkoholu?

Nie był pewien.

Ale wymruczawszy jakąś wymówkę, zawrócił.

Pchnął furtkę i podszedł pod dom. Przez otwarte okno na lewo usłyszał szmer dwóch głosów. Były to głosy Robina i pani Oliver. Niewiele pani Oliver i sporo Robina.

Poirot pchnął drzwi wejściowe i dalej drzwiami na prawo wszedł do pokoju, który opuścił chwilę temu. Pani Upward siedziała przed kominkiem. Jej twarz miała dosyć ponury wyraz. Tak głęboko była zamyślona, że jego wejście ją zaskoczyło.

Na odgłos przepaszającego chrząknięcia wydanego przez Poirota pani Upward gwałtownie podniosła wzrok i drgnęła.

— Och... — powiedziała. — To pan. Przestraszył mnie pan.

— Przepraszam, *madame*. Myślała pani, że to kto inny? Myślała pani, że kto?

Nie odpowiedziała na to, spytała tylko:

— Zapomniał pan czegoś?

— Złąkłem się, że zapomniałem o niebezpieczeństwie.

— Niebezpieczeństwie?

— Niebezpieczeństwie, jakie może pani grozić. Ponieważ przed chwilą rozpoznała pani jedną z tych fotografii.

— Trudno powiedzieć, że rozpoznałam. Wszystkie stare fotografie wyglądają dokładnie tak samo.

— Proszę posłuchać, *madame*. Pani McGinty także, przynajmniej tak sędzę, poznała jedną z tych fotografii. A pani McGinty nie żyje.

Z nieoczekiwanym błyskiem humoru w oczach pani Upward powiedziała:

— „Pani McGinty nie żyje. Umarła, ale jak? Nadstawiała karku jak ja, o tak.” To pan ma na myśli?

— Tak. Jeżeli o czymś pani wie... cokolwiek to jest, proszę mi zaraz powiedzieć. Tak będzie bezpieczniej.

— Drogi panie, to bynajmniej nie takie proste. Wcale nie jestem pewna, czy coś wiem... a już na pewno nie jest to żaden konkretny fakt. Mgliste wspomnienia to rzecz bardzo zawodna. Trzeba by mieć pojęcie jak, gdzie i kiedy, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli.

— Ale wydaje mi się, że to pojęcie już pan ma.

— Idzie tu o coś więcej. Trzeba wziąć pod uwagę różne czynniki. Niech mnie pan nie popędza, to na nic, *monsieur* Poirot. Nie należę do osób, które podejmują decyzję bez zastanowienia. Mam własny rozum i trzeba mi czasu, żeby się zdecydować. Kiedy się zdecyduję, przechodzę do czynu. Ale nie wcześniej. Muszę być gotowa.

— Jest pani pod wieloma względami osobą tajemniczą, *madame*.

— Może, do pewnego stopnia. Wiedzieć to mieć władzę. A władzy wolno używać tylko do słuszných celów. Wybacz pan, jeśli panu powiem, że nie docenia pan może reguł naszego angielskiego prowincjonalnego życia.

— Innymi słowy, mówi mi pani: „Jesteś tylko cholernym cudzoziemcem”.

Pani Upward uśmiechnęła się lekko.

— Nie byłabym taka niegrzeczna.

— Jeżeli nie chce pani rozmawiać ze mną, jest nadinspektor Spence.

— Drogi panie Poirot. Nie policja. Nie w tym stadium sprawy.

Wzruszył ramionami.

— Ostrzegłem panią — powiedział.

Teraz bowiem był już pewien, że pani Upward całkiem dobrze pamięta, kiedy i gdzie dokładnie widziała fotografię Lily Gamboll.

Rozdział czternasty

Już wiosna — powiedział do siebie Poirot na drugi dzień rano — stanowczo wiosna.

Własne obawy z poprzedniego wieczora wydały mu się wyjątkowo bezpodstawne. Pani Upward to rozumna kobieta, która potrafi zatroszczyć się o siebie.

Niemniej w jakiś dziwny sposób go intrygowała. Zupełnie nie rozumiał jej reakcji, ł wyraźnie sobie tego nie życzyła. Rozpoznała fotografię Lily Gamboll i była zdecydowana rozegrać to sama.

Kiedy przechadzał się ścieżką w ogrodzie oddany tym refleksjom, spłoszył go głos tuż za nim.

— *Monsieur* Poirot.

Pani Rendell podeszła tak cicho, że nic nie słyszał. Od wczoraj był wyjątkowo nerwowy.

— Proszę wybaczyć, *madame*. Zaskoczyła mnie pani. Pani Rendell uśmiechnęła się mechanicznie. Jeżeli on nerwy ma na wierzchu, to pani Rendell, pomyślał, już nad nimi nie panuje. Jedna powieka jej drgała i pani Rendell niespokojnie zaciskała dłonie.

— Mam... Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam. Może jest pan zajęty?

— Ależ nie, nie jestem zajęty. Jest piękny dzień. Rozkoszuję się wiosną. Dobrze jest być na dworze. W domu pani Summerhayes zawsze, ale to zawsze ciągnie. — Ciągnie...

— W Anglii nazywacie to przeciągiem.

— Tak, tak, chyba ciągnie.

— Te okna... okna się nie zamykają, a drzwi... drzwi się co chwila otwierają na oścież.

— Ten dom to po prostu ruina. A Summerhayesów, oczywiście, nie stać na to, żeby mogli coś zaradzić. Sprzedałabym go, gdybym była na ich miejscu. Wiem, że należy do rodziny od setek lat, ale dziś człowiek nie może się czegoś trzymać ze względów uczuciowych.

— Tak, nie jesteśmy dziś uczuciowi.

Zapadło milczenie. Kątem oka Poirot przyglądał się jej nerwowym dłoniom. Czekał, aż przejmie inicjatywę. Kiedy już przemówiła, zrobiła to obcesowo.

— Przypuszczam — powiedziała — że jak pan... hm... bada jakąś sprawę, zawsze musi pan mieć pretekst?

Poirot rozważył to pytanie. Mimo że nie patrzył na nią, był najzupełniej świadomy jej ukradkowego, niespokojnego, utkwionego w nim spojrzenia.

— Jak pani sama mówi, *madame* — odpowiedział wymijająco. — Tak jest wygodniej.

— Żeby wytłumaczyć powód swojej obecności i... zadawania pytań.

— Może to być wskazane.

— Po co... po co naprawdę jest pan w Broadhinny, *monsieur* Poirot?

Zwrócił na nią z lekka zdziwiony wzrok.

— Ależ, droga pani, mówiłem pani... żeby zbadać okoliczności śmierci pani McGinty.

Pani Rendell powiedziała ostro:

— Wiem, że tak pan mówi. Ale to śmieszne.

Poirot uniósł brwi.

— Śmieszne?

— Oczywiście. Nikt w to nie wierzy.

— A jednak zapewniam panią, że tak jest. Zamrugła jasnoniebieskimi oczyma i odwróciła wzrok.

— Nie chce mi pan powiedzieć.

— Powiedzieć... o czym, *madame!*

Znowu, jak się wydało, obcesowo zmieniła temat.

— Chciałam pana zapytać... o anonimowe listy.

— Tak — powiedział zachęcająco Poirot, kiedy zamilkła.

— W gruncie rzeczy to zwykle kłamstwa, prawda?

— To czasami kłamstwa — ostrożnie odpowiedział Poirot.

— Zwykle — powtórzyła uparcie.

— Chyba aż tak bym tego nie ujmował. Shelagh Rendell powiedziała gwałtownie:

— To tchórzliwe, podstępne, podłe rzeczy!

— Zgodziłbym się z każdym tym określeniem, tak. —1 nie wierzyłby pan ani jednemu z nich?

— To bardzo trudne pytanie — powiedział poważnie Poirot.

— Ja bym nie wierzyła. Niczemu takiemu bym nie wierzyła.

I dodała gwałtownie:

— Wiem, po co pan tu jest. Ale to nieprawda, zapewniam pana, że to nieprawda.

Raptownie odwróciła się i odeszła.

Herkules Poirot uniósł brwi z zainteresowaniem.

— I co teraz? — zadał sobie pytanie. — Próbuje mnie wywieść w pole? Czy to całkiem inny ptaszek?

Uznał, że trudno się w tym wszystkim połapać.

Pani Rendell przyznała się, że uważa, że przybył tu dla zupełnie innego powodu niż zbadanie okoliczności śmierci pani McGinty. Sugerowała, że to tylko pretekst.

Czy rzeczywiście tak uważa? Czy też, jak właśnie sobie powiedział, próbuje wywieść go w pole?

Co mają z tym wspólnego anonimowe listy?

Czy pani Rendell jest oryginałem fotografii, którą, jak powiedziała pani Upward: „niedawno widziała”?

Inaczej mówiąc, czy pani Rendell jest Lily Gamboll?

Lily Gamboll, rehabilitowanego członka społeczeństwa, widziano ostatnio w Eire. Czy doktor Rendell tam poznał i poślubił swoją żonę, nie znając jej historii? Lily Gamboll wyuczono stenografii. Drogi życia jej i doktora z łatwością mogły się przeciąć.

Poirot pokręcił głową i westchnął.

Wszystko to było najzupełniej możliwe. Ale musiał się upewnić.

Nagle zerwał się chłodny wiatr i słońce się schowało.

Poirot zadrżał i zwrócił swe kroki do domu.

Tak, musi się upewnić. Gdyby tylko udało mu się odnaleźć prawdziwe narzędzie zbrodni...

I w tej samej chwili z dziwnym poczuciem pewności... dojrzał je.

II

Potem zastanawiał się, czy podświadomie nie zauważył go dużo wcześniej. Leżało tu, przypuszczalnie, odkąd przybył do Na Smugach.

Na zagraconej biblioteczce przy oknie.

Pomyślał: „Dlaczego dotąd tego nie zauważyłem?”

Zdjął je, zważył w ręku, ujął i zamachnął się...

W tym momencie weszła Maureen w zwykłym pośpiechu i w towarzystwie dwóch psów. Jej głos, jasny i przyjazny, zapytał:

— Halo, bawi się pan toporkiem do cukru?

— Ach, więc to toporek do cukru?

— Tak. Toporek do cukru... czy też tłuczek do cukru... nie wiem, jak to się dokładnie nazywa. Prawda, że dosyć zabawny? Taki dziecinny z tym ptaszkiem u góry.

Poirot ostrożnie obrócił narzędzie w rękach. Wykonane z gęsto zdobionej miedzi, miało kształt toporka, było ciężkie i ostre. Tu i ówdzie wysadzone kolorowymi kamieniami, jasnoniebieskimi i czerwonymi. U góry miało frywolnego ptaszka z turkusowymi oczkami.

— Piękna rzecz, gdyby się chciało kogoś zabić, nie sądzi pani? — zapytała Maureen tonem lekkiej rozmowy. Wzięła od niego toporek i wymierzyła morderczy cios w jakiś punkt w przestrzeni.

— Strasznie łatwe — orzekła. — Jak to jest u Tennysona? „»Jak Marek« rzekł i ciął go aż do mózgu.” Zdaje mi się, że tym by można spokojnie każdemu rozłupać głowę aż do mózgu, nie uważa pan?

Poirot popatrzył na nią. Piegowata twarz była spokojna i wesoła.

Powiedziała:

— Ostrzegłam Johnniego, co go czeka, jak go będę miała dosyć. Nazywam to najlepszym przyjacielem żony!

Roześmiała się, odłożyła toporek do cukru i nawróciła do drzwi.

— Po co ja tu przyszedłam? — zastanowiła się. — Nie mogę sobie przypomnieć... Coś takiego! Lepiej pójdę zajrzeć, czy nic trzeba podlać wody do rondla z puddingiem.

Głos Poirota zatrzymał ją, nim doszła do drzwi.

— Pewno przywiozła go pani z Indii?

— O, nie — powiedziała Maureen. — To nabytek z bożonarodzeniowego PiK-u.

— PiK-u? — Poirot nic nie zrozumiał.

— Przynies i Kup — gładko wytłumaczyła Maureen. — Na plebanii. Przynosi się rzeczy już niepotrzebne i w zamian coś kupuje. Jeżeli się uda, coś niezbyt okropnego. Oczywiście, właściwie nie ma tam nigdy niczego naprawdę użytecznego. Ja kupiłam to i dzbanek do kawy. Podobał mi się dzióbek dzbanka do kawy i ten ptaszek na toporku.

Dzbanek do kawy był niedużym przedmiotem z miedzi.

Miał długi zakrzywiony dziób, w którym Poirota uderzyło coś znajomego.

— Chyba pochodzą z Bagdadu — powiedziała Maureen. —Przynajmniej tak utrzymywali państwo Wetherby. A może to była Persja.

— Więc te rzeczy pochodzą od Wetherbych?

— Tak, mają nieprawdopodobną kupę rupieci. Muszę iść. Ten pudding.

Wyszła. Drzwi trzasnęły. Poirot z powrotem ujął toporek i zaniósł go do okna.

Na ostrzu widoczne były słabe, bardzo słabe odbarwienia.

Poirot pokiwał głową.

Zawahał się chwilę, po czym zabrał toporek z pokoju i zaniósł go do swojej sypialni. Tam starannie zapakował go do pudełka, owinał porządnie papierem, owiązał sznurkiem i wyszedł z domu.

Nie sądził, żeby ktokolwiek zauważył zniknięcie toporka do cukru. Nie było to porządne gospodarstwo.

III

W Szczodrzeńcach współpraca posuwała się wyboistą drogą.

— Ale naprawdę uważam, że to nie w porządku robić z niego wegetarianina, kochanie — protestował Robin. — Za dziwaczne. I doprawdy nic fascynującego.

— Nic na to nie poradzę — twierdziła uparcie pani Oliver.

— Zawsze był wegetarianinem. Wszędzie obwoził się z tą swoją maszynką do rozdrabniania surowej marchwi i rzepy.

— Ale Ariadnę, najdroższa, po co?

— Skąd mam wiedzieć? — zapytała ze złością pani Oliver.

— Skąd mam wiedzieć, dlaczego w ogóle wymyśliłam tego obrzydliwego typu? Musiałam zwariować. Dlaczego Fina, kiedy nic nie wiem o Finlandii? Dlaczego wegetarianina? Po co te jego wszystkie dziwactwa? Takie rzeczy po prostu się zdarzają. Próbujesz czegoś... ludziom chyba się podoba... więc ciągniesz to dalej i zanim się zorientujesz, wleczesz za sobą do końca życia kogoś tak doprowadzającego do szału jak Sven Hjerson. A ludzie nawet piszą, jaki człowiek musi być do niego przywiązany. Przywiązany? Gdybym w życiu spotkała tego chudego pokrakę, tego trawożernego Fina, popełniłabym lepsze morderstwo, niż kiedykolwiek wymyśliłam.

Robin Upward wlepił w nią spojrzenie pełne szacunku.

— Wiesz, Ariadnę, to może być wspaniały pomysł. Prawdziwy Sven Hjerson... i ty go mordujesz. Możesz na ten temat napisać swoją ostatnią powieść, łabędzi śpiew... do publikacji po twojej śmierci.

— Nic ma obawy! — zawołała pani Oliver. — A co z pieniędzmi? Całe pieniądze zarobione na morderstwach są mi potrzebne teraz!

— Tak, tak. Tu już absolutnie się z tobą zgadzam. Znękany dramaturg przechadzał się tam i z powrotem.

— Ta idiotka Ingrid staje się dosyć nużąca — powiedział. — I po scenie w piwnicy, która naprawdę zapowiada się wspaniale, raczej nie widzę, jak możemy zapobiec, żeby następna scena nie przyniosła raczej spadku napięcia.

Pani Oliver milczała. Uważała, że sceny to już zmartwienie Robina Upwarda.

Robin obrzucił ją niezadowolonym spojrzeniem.

Tego ranka pod wpływem któregoś z często zmieniających się nastrojów pani Oliver przestała się podobać własna, dotychczas rozwiana fryzura. Szczotką zmoczoną w wodzie przylizła siwe pukle do czaszki. Ze swoim wysokim czołem, surowym wyrazem twarzy i w grubych okularach coraz bardziej przypominała Rubinowi nauczycielkę, która była postrachem jego wczesnej młodości. Coraz trudniej było mu zwracać się do niej per „kochanie” i zaczynał się nawet przy „Ariadnę”.

Powiedział kapryśnie:

— Wiesz, wcale się dziś nie czuję w nastroju. Cały ten dzień wczoraj, może to to. Zostawmy pracę i zajmijmy się obsadą. Gdybyśmy mogli dostać Denisa Callory’ego, byłoby to oczywiście wspaniale, ale on w tej chwili tkwi w filmach. A Jean Bellews byłaby idealna jako Ingrid... i co więcej — chce to zagrać. Eric... jak mówiłem, z Erikiem doznałem olśnienia. Pojedziemy jutro do Małego Repertuarowego, co? I powiesz mi, co myślisz o Cecilu w tej roli.

Pani Oliver zgodziła się na ten projekt pełna nadziei i Robin poszedł zadzwonić.

— No — powiedział po powrocie. — Wszystko załatwione

IV

Piękny ranek nie spełnił swoich obietnic. Zebrały się chmury i w powietrzu pachniało deszczem. Kiedy Poirot szedł przez gęste krzewy do frontowych drzwi Zagrody Myśliwego, skonstatował, że nie chciałby mieszkać w tej głębokiej kotlinie u stóp wzgórza. Sam dom otoczony był drzewami, a ściany dławił bluszcz. Trzeba by tu, pomyślał, drwała z siekierą. (Siekierą? Toporkiem do cukru?)

Nacisnął dzwonek i nie słysząc żadnej odpowiedzi, zadzwonił powtórnie.

Drzwi otworzyła mu Deirdre Henderson. Wydawała się zaskoczona.

— Och — powiedziała — to pan.

— Czy mogę wejść i porozmawiać z panią?

— Och... cóż, tak, chyba tak.

Wprowadziła go do małej, ciemnej bawialni, w której poprzednim razem czekał. Na kominku rozpoznał starszego brata małego dzbanka Maureen. Miało się wrażenie, że jego wielki zakrzywiony dziób dominuje nad tym niewielkim zachodnim pokojem z jakąś wschodnią drapieżnością.

— Obawiam się — powiedziała Deirdre przepaszającym tonem — że jesteśmy dzisiaj wytrąceni z równowagi. Nasza pomoc, ta Niemka... odchodzi. Była u nas zaledwie miesiąc. Wygląda na to, że przyjęła tę pracę tylko po to, żeby przyjechać do naszego kraju, bo ma tu kogoś, za kogo chce wyjść. Dogadali się już i odchodzi dziś wieczór bez wypowiedzenia. Poirot cmoknął.

— Doprawdy, żeby tak się z nikim nie liczyć.

— Prawda? Ojczym mówi, że to nielegalne. Ale nawet jeżeli to nielegalne, że rzuca pracę i wychodzi za mąż, nie wiem, co można na to poradzić. Nawet byśmy nie wiedzieli, że odchodzi, gdybym jej nie przyłapała na pakowaniu. Po prostu wyszłaby z domu bez słowa.

— Niestety, w tych czasach nikt się z nikim nie liczy.

— Tak — przytaknęła tępo Deirdre. — Chyba tak. Otarła czoło grzbietem dłoni.

— Jestem zmęczona — powiedziała. — Bardzo zmęczona.

— Tak — powiedział Poirot łagodnie. — Sądzę, że może pani być bardzo zmęczona.

— Czego pan sobie Tyczy, *monsieur* Poirot?

— Chciałem panią zapytać o toporek do cukru.

— Toporek do cukru?

Twarz miała bez wyrazu, nie zrozumiała.

— Takie narzędzie z brązu, z ptaszkiem u góry, wysadzone niebieskimi, czerwonymi i zielonymi kamieniami — opisał Poirot starannie,

— Ach tak, wiem.

Ton jej głosu nie zdradzał najmniejszego zainteresowania czy ożywienia.

— Jeżeli dobrze rozumiem, pochodzi z tego domu?

— Tak. Matka kupiła go na bazarze w Bagdadzie. To jedna z rzeczy, jakie zanieśliśmy na kiermasz na plebanii.

— Na wyprzedaż Przynies i Kup, czy tak?

— Tak, mamy ich tu mnóstwo. Trudno kogoś namówić na kupno, ale zwykle znajdzie się coś do oddania.

— Więc znajdował się tu, w tym domu, aż do świąt Bożego Narodzenia, a potem oddała go pani na wyprzedaż Przynies i Kup? Zgadza się?

Deirdre zmarszczyła czoło.

— Nie na bożonarodzeniowe Przynies i Kup. Na to wcześniejsze. Dożynkowe.

— Dożynkowe... to by było... kiedy? Październik? Wrzesień?

— Koniec września.

W niewielkim pokoju było bardzo cicho. Poirot spojrzał na dziewczynę, a ona na niego. Twarz miała spokojną, bez wyrazu, nie zdradzającą zainteresowania. Próbował się domyślić, co się dzieje za tą ślepą ścianą jej apatii. Pewno nic. Może, tak jak powiedziała, jest po prostu zmęczona...

Powiedział cichym głosem, z naciskiem:

— Jest pani całkowicie pewna, że to była wyprzedaż dożynkowa? Nie bożonarodzeniowa?

— Zupełnie pewna.

Jej oczy były spokojne, nawet nie mrugnęła. Herkules Poirot zaczekał. I czekał dalej... Ale to, na co czekał, nie nastąpiło. Powiedział formalnym tonem:

— Nie mogę pani dłużej zatrzymywać, *mademoiselle*. Odprowadziła go do frontowych drzwi. Wkrótce znów odchodził podjazdem.

Dwa sprzeczne zeznania... zeznania, których w żaden sposób nic da się pogodzić.

Kto ma rację? Maureen Summerhayes czy Deirdre Henderson?

Jeżeli toporkiem do cukru posłużono się do tego, do czego, jak sądził, się posłużono, była to sprawa o żywotnym znaczeniu. Dożynki odbyły się pod koniec września. Pomiędzy tą datą a Bożym Narodzeniem, dwudziestego drugiego listopada, zginęła pani McGinty. Do kogo wtedy należał toporek do cukru?

Poszedł na pocztę. Pani Sweetiman zawsze służyła pomocą, i to najlepiej, jak potrafiła. Była na obu wyprzedających, powiedziała. Zawsze na nie chodzi. I tyle ładnych rzeczy tam się trafia. Pomagała je przedtem ułożyć. Na ogół jednak każdy przynosi je ze sobą, nie przysyłał ich wcześniej.

Tłuczek z brązu podobniejszy do toporka, z kolorowymi kamykami i ptaszkiem? Nie, dokładnie sobie nie przypomina. Było takich mnóstwo rzeczy i tyle zamieszania, i niektóre rzeczy ludzie rozdrapali od razu. No, może coś takiego sobie przypomina, wycenione na pięć szylingów, i to razem z miedzianym dzbankiem na kawę, ale dzbanek miał dziurę w dnie... nie nadawał się do użytku, chyba jako ozdoba. Ale nie mogła sobie przypomnieć, kiedy to było... już jakiś czas temu. Może na Boże Narodzenie, może wcześniej. Nie zapamiętała...

Przyjęła paczkę Poirota. Polecona? Tak.

Spisała adres, zauważył tylko bystry błysk zainteresowania w jej przenikliwych czarnych oczach, kiedy mu podawała dowód nadania.

Hercules Poirot powoli ruszył pod górę, zastanawiając się w duchu.

Z nich dwu Maureen Summerhayes, roztrzepana, wesoła, niedokładna, prędzej mogła się mylić. Dożynki czy Boże Narodzenie, nie robiłoby to dla niej różnicy.

Jest bardziej prawdopodobne, że Deirdre Henderson, powolna, niezręczna, potrafiła ściślej określić czas i datę.

Ale zostawało to niepokojące pytanie.

Dlaczego po wysłuchaniu jego pytań nie zainteresowała się, dlaczego chce wiedzieć? Z pewnością byłoby to naturalne, nieuniknione pytanie.

Ale Deirdre Henderson go nie zadała.

Rozdział piętnasty

I

Ktoś do pana dzwonił! — zawołała Maureen z kuchni, kiedy Poirot wszedł do domu.

— Ktoś dzwonił? Kto? Był z lekka zdziwiony.

— Nie wiem, ale zapisałam numer na bloczku żywnościowym.

— Dziękuję, *madame*.

Wszedł do pokoju stołowego i podszedł do biurka. Wśród nieporządknie porozrzucanych papierów znalazł przy telefonie bloczek żywnościowy z notatką: „Kilchester 350”.

Podniósłszy słuchawkę, wykręcił numer.

Natychmiast się odezwał kobiecy głos: — Breather i Scuttle.

Poirot szybko się domyślił.

— Czy mogę mówić z panną Maude Williams? Nastąpiła chwila przerwy, po czym kontrakt powiedział:

— Panna Williams przy telefonie.

— Tu Herkules Poirot. Zdaje się, że pani do mnie dzwoniła.

— Tak... tak, dzwoniłam. To w sprawie domu, o który pan mnie pytał przedwczoraj.

— Domu? — Poirot na chwilę stracił głowę. Potem zrozumiał, że ktoś słucha rozmowy Maude. Pewno wcześniej, kiedy do niego dzwoniła, była w biurze sama.

— Chyba panią rozumiem. To w sprawie Jamesa Bentleya i morderstwa pani McGinty.

— Tak jest. Czy możemy panu w czymś służyć?

— Chce pani pomóc... Nie jest pani sama tam, gdzie pani jest?

— Tak jest.

— Rozumiem. Proszę słuchać uważnie. Czy naprawdę chce pani pomóc Jamesowi Bentleyowi?

— Tak.

— Czy może pani zrezygnować z obecnej pracy? Nie wahała się ani chwili.

— Tak.

— Czy zechce pani przyjąć posadę pomocy domowej? Może u niezbyt sympatycznych ludzi?

— Tak.

— Może pani odejść od razu? Od jutra, na przykład?

— O tak, *monsieur* Poirot. Myślę, że to się da załatwić.

— Rozumie pani, czego od pani chcę. Będzie pani pomocą domową... z mieszkaniem. Umie pani gotować?

Lekkie rozbawienie zabarwiło jej głos.

— Bardzo dobrze.

— *Bon Dieu*, co za rzadkość! Proszę teraz posłuchać. W tej chwili jadę do Kilchester. Spotkam się z panią w tej samej kafejce co wtedy, w porze lunchu.

— Tak, oczywiście. Poirot rozłączył się.

— Podziwu warta młoda kobieta — zauważył. Bystra, wie, czego chce... a może nawet umie gotować.

Z pewnymi trudnościami wygrzebał miejscową książkę

telefoniczną spod traktatu o hodowli świń i znalazł numer Wetherbych.

Odezwał się głos pani Wetherby.

— *Allô, allô*. Tu Herkules Poirot... pamięta pani, *madame*?

— Nie sędzę, abym...

— Herkules Poirot.

— O, tak, oczywiście... proszę wybaczyć. Mamy pewne domowe kłopoty...

— To właśnie z tego powodu dzwonię. Jestem niepokieszony, słysząc o pani trudnościach.

— Taka niewdzięczność... te cudzoziemki. Zapłaciliśmy jej przejazd tutaj i w ogóle. Nienawidzę niewdzięczności.

— Tak, tak. Doprawdy, współczuję pani. To okropne... Dlatego śpieszę panią powiadomić, że być może znalazłem rozwiązanie. Zupełnie przypadkiem znam młodą kobietę, która szuka domowej posady. Obawiam się, że nie jest w pełni przyuczona.

— Och, czegoś takiego jak przyuczona służba dzisiaj się nie spotyka. Czy zechce gotować?... Przeważnie nie chce im się gotować.

— Tak, tak, gotuje. Czy przysłać ją pani... przynajmniej na próbę? Nazywa się Maude Williams.

— O, bardzo proszę, panie Poirot. Jest pan niezwykle uprzejmy. Lepsze to niż nic. Mąż jest taki wymagający i tak się denerwuje na Deirdre, kiedy w gospodarstwie coś się zacina. Trudno oczekiwać, żeby mężczyźni rozumieli, jakie są dzisiaj ze wszystkim trudności... ja...

Coś jej przerwało. Pani Wetherby zwróciła się do kogoś wchodzącego do pokoju i choć zakryła mikrofon dłonią, Poirot dosłyszał jej lekko stłumione słowa:

— To ten mały detektyw. Zna kogoś, kto mógłby przyjść na miejsce Friedy. Nie, nie cudzoziemka... dzięki Bogu, Angielka. To naprawdę uprzejme z jego strony, wygląda na to, że się mną przejął. Och, kochanie, nie rób trudności. Cóż to przeszkadza? Wiesz, jaki absurdalny jest Roger. No, myślę, że to bardzo uprzejme... i mam nadzieję, że nie będzie okropna.

Skończywszy te uwagi na stronie, pani Wetherby przemówiła z największą uprzejmością:

— Bardzo panu dziękuję, panie Poirot. Jesteśmy niezmiernie wdzięczni.

Poirot odłożył słuchawkę i spojrział na zegarek. Poszedł do kuchni.

— *Madame*, nie będę na lunchu. Musze jechać do Kilchester.

— Dzięki Bogu — powiedziała Maureen. — Nie zdążyłam do tego puddingu. Wygotował się do sucha. Myślę, że w gruncie rzeczy jest w porządku... może tylko trochę przypalony. Gdyby był niesmaczny, miałam otworzyć słoik malin, które robiłam w zeszłym roku w lecie. Zebrało się trochę pleśni na wierzchu, ale dzisiaj się twierdzi, że to nie przeszkadza. A raczej dobrze robi... praktycznie to penicylina.

Poirot wyszedł z domu zadowolony, że nie dostanie dziś przypalonego puddingu i surowca na penicylinę. Lepiej... o wiele lepiej... zjeść makaron z kremem mlecznym i śliwkami w Niebieskim Kocie niż improwizowane menu Maureen Summerhayes.

II

W Szczodrzeńcach doszło do wielkiej sprzeczki.

— Doprawdy, Robinie, kiedy pracujesz nad sztuką, o niczym już nie pamiętasz.

Robin był pełen skruchy.

— Mądre, strasznie mi przykro. Zupełnie zapomniałem, że Janet ma dziś wolny wieczór.

— Nie mówmy już o tym — powiedziała chłodno pani Upward.

— Ależ mówmy. Zadzwonię do teatru i powiem, że przyjedziemy zamiast tego jutro.

— Nic takiego nie zrobisz. Umówiłeś się na dzisiaj i dzisiaj pojedziesz.

— Ależ, doprawdy...

— To załatwione.

— Czy mam poprosić Janet, żeby wyszła innego wieczora?

— Nie. Nie znosi, jak się jej psuje plany.

— Na pewno w gruncie rzeczy nie miałaby nic przeciw temu. Gdybym jej wytłumaczył...

— Nic takiego nie zrobisz, Robinie. Proszę cię, nie denerwuj Janet. I nie mów już o tym. Nic chcę się czuć kłopotliwą staruszką, która psuje zabawę innym.

— Mądre, najdroższa...

— Dosyć... Jedźcie i bawcie się dobrze. Wiem, kogo poproszę, żeby mi dotrzymał towarzystwa.

— Kogo?

— To moja tajemnica — powiedziała pani Upward, odzyskując dobry humor. — Nie rób już zamieszania, Robinie.

— Zadzwonię do Shelagh Rendell...

— Sama zadzwonię, do kogo zechcę, dziękuję. Wszystko załatwione. Zrób kawę, zanim wyjedziesz, i postaw maszynkę przy mnie, gotową do włączenia. Aha, i możesz wyjąć dodatkową filiżankę... gdybym miała gościa.

Rozdział szesnasty

Siedząc przy lunchu w Niebieskim Kocie, Poirot kończył z grubsza instruowanie Maude Williams.

— Więc rozumie pani, czego ma pani szukać? Maude Williams skinęła głową.

— Załatwiła pani sprawy w biurze? Roześmiała się.

— Ciocia jest poważnie chora! Przysłałam sobie telegram.

— Dobrze. Jeszcze jedno. Gdzieś w tej miejscinie hula na wolności morderca. To niezbyt bezpieczne.

— Ostrzega mnie pan? — Tak.

— Potrafię się zatroszczyć o siebie — powiedziała Maude Williams.

— To — oświadczył Herkułes Poirot — można by umieścić pod nagłówkiem „Słynne ostatnie słowa ofiary”.

Znowu się roześmiała i był to wyraz szczerego rozbawienia. Przy najbliższych stolikach parę osób odwróciło głowy w kierunku Maude Williams.

Poirot przyłapał się na tym, że sam uważnie taksuje ją wzrokiem. Silna, pewna siebie młoda kobieta, pełna życia, nadziei i zapału, by spróbować sił w niebezpiecznym zadaniu. Dlaczego? Znowu pomyślał o Jamesie Bentleyu, jego łagodnym głosie pełnym rezygnacji, jego martwej apatii. Natura doprawdy jest ciekawa i zastanawiająca. Maude powiedziała:

— Przecież chce pan, żebym ja to zrobiła? Dlaczego raptem próbuje mnie pan od tego odwieść?

— Ponieważ powierzając komuś zadanie, trzeba dokładnie przedstawić, co się z tym zadaniem łączy.

— Nie sądzę, żeby mi coś groziło — powiedziała z pewnością siebie Maude.

— W tej chwili też tak nie sądzę. Nikt pani nie zna w Broadhinny?

Maude zastanowiła się nad tym.

— Nnie... chyba nie.

— Była tam pani kiedy?

— Raz czy dwa... z ramienia firmy, oczywiście... ostatnio tylko raz... jakieś pięć miesięcy temu.

— Kto panią widział? U kogo pani była?

— Pojechałam zobaczyć się z pewną starszą panią... panią Carstairs... albo Carlisle... nie pamiętam dobrze nazwiska. Kupowała w okolicy małą posiadłość i zawoziłam jej dokumenty, miałam też parę pytań i raport dozorca, który dla niej zdobyliśmy. Mieszkała w tym niby gościnnym domu, w którym pan teraz mieszka.

— Na Smugach?

— Tak to się nazywało. Dom z wyglądu niewygodny, z mnóstwem psów.

Poirot skinął głową.

— Widziała pani panią Summerhayes albo majora Sum—merhayesa?

— Zdaje mi się, że widziałam panią Summerhayes. Zaprowadziła mnie na górę do sypialni. Staruszka leżała w łóżku.

— Czy pani Summerhayes mogłaby panią pamiętać?

— Nie przypuszczam. Nawet gdyby pamiętała, przecież nie ma to znaczenia. Ostatecznie dzisiaj często zmienia się pracę. Ale nie sądzę, żeby na mnie bodaj spojrzała. To niepodobne do takich jak ona.

W tonie głosu Maude Williams zabrzmiała leciutka gorycz.

— Widziała się pani z kimś jeszcze w Broadhinny? Maude odpowiedziała z lekkim zmieszaniem:

— No, widziałam się z panem Bentleyem.

— Ach, widziała się pani z panem Bentleyem. Przypadkiem?

Maude zaczęła wiercić się na krześle.

— Nie, prawdę mówiąc nie, wysłałam mu pocztówkę. Zapowiadając, że będę tego dnia. Właściwie poprosiłam go, żeby się ze mną spotkał. Co nie znaczy, żeby tam było dokąd pójść. Zupełna dziura. Ani kafejki, ani kina, nic. Właściwie pogadaliśmy tylko na przystanku autobusowym. Kiedy czekałam na autobus z powrotem.

— To było przed śmiercią pani McGinty?

— O, tak. Ale niedługo przed tym. Bo już parę dni później wszystko znalazło się w prasie.

— Czy pan Bentley w ogóle wspominał coś pani o swojej gospodyni?

— Chyba nie.

— I z nikim innym z Broadhinny pani nie rozmawiała?

— No... tylko z panem Robinem Upwardem. Słyszałam go w radiu. Zobaczyłam, jak wychodzi z domu, poznałam ze zdjęć i poprosiłam o autograf.

— I dał go pani?

— O, tak. Był bardzo miły. Nie miałam przy sobie albumu, ale znalazłam kawałek papieru, a on wyciągnął pióro i zaraz mi się wpisał.

— Zna pani jeszcze kogoś z Broadhinny z widzenia?

— No, znam Carpenterów, oczywiście. Często bywają w Kilchester. Mają piękny samochód i ona ładnie się ubiera. Otwierała jakiś kiermasz mniej więcej miesiąc temu. On ma być podobno naszym nowym posłem do parlamentu.

Poirot skinął głową. Potem wyjął z kieszeni kopertę, którą stale nosił przy sobie. Rozłożył na stoliku cztery fotografie.

— Poznaje pani którąś z... Co się stało?

— Pan Scuttle. Właśnie wychodził. Mam nadzieję, że nie widział pana ze mną. Mogłoby się to wydać trochę dziwne. Wie pan, ludzie gadają o panu. Mówią, że przysłali pana z Paryża... z Surety, czy jak tam się to nazywa.

— Jestem Belgiem, nie Francuzem, ale nieważne.

— O co chodzi z tymi fotografiami? — Nachyliła się, żeby przyjrzeć się im z bliska. — Dostyc staroświeckie, nie?

— Najstarsza ma trzydzieści lat.

— Okropnie śmieszne te staroświeckie suknie. Kobiety tak głupio w nich wyglądają.

— Nie widziała pani kiedyś którejs z nich?

— Pyta pan, czy poznaję którąś z tych kobiet, czy też chodzi panu o fotografie?

— O jedno i drugie.

— Zdaje mi się, że tę widziałam. — Palec jej spoczął na Janice Courtland w kapeluszu *cloche*. — W jakimś piśmie, ale nie pamiętam kiedy. I ta mała wygląda znajomo. Ale nie mogę sobie przypomnieć, kiedy je widziałam. Jakiś czas temu.

— Wszystkie te fotografie ukazały się w „Sunday Comet” w niedzielę poprzedzającą śmierć pani McGinty.

Maude spojrzała na niego bystro.

— I mają z tym coś wspólnego? Dlatego pan chce, żebym...

Nie dokończyła zdania.

— Tak — powiedział Herkules Poirot. — Dlatego.

Wyjął z kieszeni coś jeszcze i pokazał jej. Był to wycinek z „Sunday Comet”.

— Lepiej niech pani to przeczyta — powiedział.

Przeczytała uważnie. Jasna złota głowa pochyliła się nad wyblakłym skrawkiem gazetowego papieru. Potem Maude Williams podniosła oczy.

— Więc to takie...? I ten artykuł dał panu do myślenia?

— Trudno by to lepiej wyrazić.

— Ale mimo to nie widzę... — Umilkła na chwilę, zamyślona.

Poirot się nie odzywał. Jakkolwiek mógł być przywiązany do własnych pomysłów, zawsze był gotów wysłuchać cudzych.

— Myśli pan, że któraś z nich jest w Broadhinny?

— Czyżby to było niemożliwe?

— Oczywiście. Mogą być wszędzie... — Kładąc palec na sztucznie uśmiechniętej ładnej twarzy Evy Kane, podjęła:

— Byłaby już teraz całkiem stara... mniej więcej w wieku pani Upward.

— Mniej więcej tak.

— O czym pomyślałam, to... w wypadku takiej kobiety jak ona... na pewno znalazłoby się parę osób, które jej tego nie zapomniły.

— To też jest punkt widzenia — powiedział powoli Poirot.

— Tak, można na to i tak spojrzeć. — Dodał: — Pamięta pani sprawę Craiga?

— Kto jej nie pamięta? — powiedziała Maude Williams. — Przecież on jest w muzeum *madame* Tussaud! Byłam wtedy dzieckiem, ale w gazetach wciąż od nowa o nim piszą i porównują jego sprawę z innymi. Nie sądzi pan chyba, że można o czymś takim zapomnieć?

Poirot gwałtownie podniósł głowę. Zastanowił się, co tak nagle wywołało w jej głosie ton zawziętości.

Rozdział siedemnasty

Pani Oliver w stanie najwyższego oszołomienia starała się skurczyć w kącie maleńkiej teatralnej garderoby. Będąc jednak znacznej postury, w rezultacie tym bardziej rzucała się w oczy. Od czasu do czasu ożywieni młodzi ludzie usuwający ręcznikami tłustą szminkę z twarzy wmuszali w nią ciepłe piwo.

Pani Upward, całkowicie już odzyskawszy dobry humor, wyprawiła ich w drogę z najlepszymi życzeniami. Robin przed odjazdem skrupulatnie zatroszczył się o jej wygodę, dwa razy jeszcze, kiedy już wsiedli do wozu, wbiegając do domu, żeby sprawdzić, czy wszystko jest jak należy.

Za ostatnim razem wrócił szeroko uśmiechnięty.

— Mądre właśnie kończyła rozmowę telefoniczną i paskudna staruszka jeszcze mi nie chciała powiedzieć, do kogo dzwoniła. Ale założę się, że wiem.

— Ja też wiem — powiedziała pani Oliver.

— No, do kogo według ciebie?

— Do Herkulesa Poirota.

— Tak, ja też tak przypuszczam. Będzie chciała coś z niego wyciągnąć. Mądre uwielbia mieć swoje małe sekrety, zauważyłaś? Teraz, kochanie, co do dzisiejszej sztuki. To bardzo ważne, żebyś mi uczciwie powiedziała, co naprawdę sądzisz o Cecilu... i czy odpowiada twojej wizji Erica...

Nie trzeba dodawać, że Cecil Leech okazał się daleki od wizji Erica pani Oliver. A nawet nikt by nie mógł być od niej dalszy. Sama sztuka podobała się jej, ale z późniejszymi obrzędami „rundki za kulisami” wiązały się wszystkie zwykłe w takim wypadku okropności.

Robin, oczywiście, był w swoim żywiole. Cecila (przynajmniej pani Oliver przypuszczała, że to był Cecil) przyparł do ściany i na śmierć zagadał. Pani Oliver była przerażona Cecilem i o wiele bardziej podobał jej się ktoś imieniem Michael, kto właśnie w tej chwili uprzejmie z nią rozmawiał. Michael przynajmniej nie oczekiwał od niej wzajemności, a nawet sprawiał wrażenie, że woli monolog. Od czasu do czasu do rozmowy wtrącał się ktoś imieniem Peter, ale na ogół zlewało się to z potokiem trochę zabawnych złośliwości Michaela.

— ...tak miło ze strony Robina — mówił. — Nalegaliśmy, żeby przyjechał i zobaczył przedstawienie. Ale on, oczywiście, jest całkiem pod pantoflem tej okropnej baby, czyż nie tak? Tańczy, jak ona mu zagra. A Robin to naprawdę geniusz, nie sądzi pan? Absolutny geniusz. Nie powinien się poświęcać na ołtarzu matriarchatu. Kobiety potrafią być straszne, no nie? Wie pani, jaki numer ona wycięła temu biednemu Alexowi Roscoffowi? Wręcz mu się narzucała blisko rok, a potem odkryła, że on wcale nie jest rosyjskim emigrantem. Oczywiście, opowiadał jej różne piramidalne

bdzury, ale raczej zabawne, i wszyscy wiedzieliśmy, że nie w tym prawdy, cóż to zresztą komu szkodzi?... A potem, kiedy wykryła, że jest synem zwyczajnego drobnego krawca z East Endu, rzuciła go, droga pani. Chcę powiedzieć, że naprawdę nie lubię snobów, a pani? W gruncie rzeczy Alex dziękował Bogu, że się od niej uwolnił. Mówił, że chwilami naprawdę miał pietra... uważa, że ona ma trochę nie po kolei. Jej napady wściekłości!... Kochany Robinie, mówimy o twojej cudownej Mądre. Co za szkoda, że nie mogła przyjechać dziś wieczór. Ale cudowne jest mieć tu panią Oliver. Wszystkie te wspaniałe morderstwa.

Jakiś starszy mężczyzna z głębokim basem złapał panią Oliver za rękę i przytrzymał w gorącym, lepkiem uścisku.

— Jakże zdołam pani podziękować? — zaintonował tonem głębokiej melancholii. — Uratowała mi pani życie... uratowała mi pani życie wiele razy.

Potem wszyscy wyszli na świeże nocne powietrze i przenieśli się Pod Łeb Kuca, gdzie czekały kolejne drinki i dalsze rozmowy o teatrze.

Zanim pani Oliver i Robin wyruszyli do domu, pani Oliver była dosyć wyczerpana. Oparła się o siedzenie wozu

I zamknęła oczy. Robin jednak nie milkł ani na chwilę.

— ...i uważasz naprawdę, że to jest myśl, co? — zakończył wreszcie.

— Co?

Pani Oliver gwałtownie otworzyła oczy.

Zapamiętała się w nostalgicznym marzeniu o domu. Na ścianach egzotyczne kwiaty i liście. Stół z surowego drewna, własna maszyna do pisania, czarna kawa, wszędzie jabłka... Co za raj, co za wspaniały raj samotności! Cóż za błąd ze strony pisarki opuszczać swoją twierdzę intymności! Pisarze to nieśmiałe, samotnicze istoty, kompensują sobie brak towarzyskiego wyrobienia wymyślonym przez siebie towarzystwem i rozmowami.

— Obawiam się, że jesteś zmęczona — powiedział Rabin.

— Właściwie nie. Chodzi o to, że niezbyt jestem towarzyska.

— Ja uwielbiam ludzi, a ty? — zapytał Robin radośnie.

— Nie — odpowiedziała zdecydowanie pani Oliver.

— Ależ musisz. Popatrz na tych wszystkich ludzi w swoich książkach.

— To co innego. Uważam, że drzewa są miłsze od ludzi i nie tak męczące.

— Ja potrzebuję ludzi — powiedział Robin, stwierdzając fakt oczywisty. — Stymulują mnie.

Podjechał pod furtkę Szczodrzeńców.

— Wejdz — powiedział. — Ja odstawię wóz.

Pani Oliver wydobyła się z wozu ze zwykłymi trudnościami i ruszyła ścieżką.

— Drzwi są otwarte! — zawołał Robin.

Pani Oliver pchnęła je i weszła. Lampy były pogaszone i uderzyło ją to jako niezbyt uprzejme ze strony gospodyni. Ale może szło o oszczędności? Bogaci ludzie często są oszczędni. W przedpokoju unosił się zapach perfum, raczej egzotycznych i drogich. Przez moment pani Oliver zastanowiła się, czy jest we właściwym domu, po czym znalazła kontakt i przekręciła.

Niski czworokątny przedpokój z dębowymi belkami do sufitu zalało światło. Drzwi od bawialni otwarte były na oścież i widać było za nimi czyjąś stopę i nogę. Pani Upward, ostatecznie, jeszcze się nie położyła. Musiała zasnąć w fotelu, a ponieważ wszystkie światła były pogaszone, zapewne spała już od dawna.

Pani Oliver podeszła do drzwi i zapaliła światło w bawialni.

— Jesteśmy z powro... — zaczęła i urwała.

Dłoń uniosła się jej do gardła. Poczwała tam ciasny supeł i wzbierający krzyk, którego nie mogła wydać. Wydobyła z siebie szept:

— Robin... Robin...

Minęło trochę czasu, nim usłyszała, jak, pogwizdując, nadchodzi ścieżką, a wtedy szybko zawróciła i wybiegła mu na spotkanie do przedpokoju.

— Nie wchodź tam... nie wchodź. Twoja matka... nie... nie żyje... Chyba... została zabita...

Rozdział osiemnasty

Czysta robota — powiedział nadinspektor Spence.

Jego czerwona twarz wieśniaka była wściekła. Spojrzał tam, gdzie poważnie słuchając, siedział Herkules Poirot.

— Czysta i paskudna — stwierdził. — Została uduszona —ciągnął. — Jedwabny szalik... jeden z jej własnych, ten, w którym była tego dnia... po prostu owinięty wokół szyi, końce skrzyżowane i zaciągnięte. Gładko, szybko, skutecznie. Tak to robią duszyciele w Indiach. Ofiara nie walczy ani nie krzyczy... ucisk na tętnicę szyjną.

— Specjalna wiedza?

— Może być... ale nie musi. Kto ma zamiar to zrobić, może przestudiować temat. Praktycznie bez trudu. Szczególnie w wypadku ofiary, która nic nie podejrzewa... a ona nic nie podejrzewała.

Poirot przytaknął skinieniem głowy.

— Ktoś, kogo znała.

— Tak, wypili razem kawę... filiżanka przed nią, a druga naprzeciwko... przed gościem. Z filiżanki gościa wytarto bardzo starannie odciski palców, ale ze szminką było trudniej... zostały jeszcze słabe ślady szminki.

— A więc kobieta?

— Spodziewał się pan kobiety, prawda?

— O, tak. Wszystko na to wskazywało. Spence ciągnął dalej.

— Pani Upward rozpoznała jedną z tych fotografii... fotografię Lily Gamboll. Wiąże się to zatem z morderstwem pani McGinty.

— Tak — przyznał Poirot. — Wiąże się to z morderstwem pani McGinty.

Przypominał sobie lekko rozbawiony wyraz twarzy pani Upward, kiedy wyrecytowała:

Pani McGinty nie żyje. Umarła, ale jak?

Nadstawiając karku jak ja, o tak.

Spence mówił dalej:

— Skorzystała, jak się jej wydawało, ze sprzyjającej okazji... jej syn i pani Oliver jechali do teatru. Zadzwoiła do tej osoby i poprosiła, aby przyszła ją odwiedzić. Tak pan to widzi? Bawiła się w detektywa.

— Coś w tym sensie. Ciekawość. Zachowała dla siebie, co wiedziała, ale chciała się dowiedzieć więcej. W najmniejszym stopniu nie zdawała sobie sprawy, że to, co robi, może być niebezpieczne. — Poirot westchnął.

— Iluż ludzi uważa, że morderstwo to zabawa. To nie zabawa. Powiedziałem jej to. Ale nie chciała słuchać.

— Tak, wiemy o tym. Cóż, to całkiem dobrze pasuje. Kiedy młody Robin odjeżdżał z panią Oliver i wpadł do domu, matka właśnie skończyła rozmawiać z kimś przez telefon. Nie chciała powiedzieć z kim. Zabawiła się w tajemnicę. Robin i pani Oliver myśleli, że to mógł być pan.

— Żałuję, że nie byłem — powiedział Herkules Poirot. — Nie ma pan pojęcia, do kogo telefonowała?

— Najmniejszego. Tu wszędzie telefon łączy automatycznie.

— Służąca nie mogła przyjść panu z pomocą?

— Nie. Wróciła około pół do jedenastej... ma klucz do kuchennych drzwi. Poszła prosto do swojego pokoju, do którego wchodzi się z kuchni, i położyła się spać. W domu było ciemno, więc uznała, że pani Upward poszła spać, a tamci jeszcze nie wrócili.

Spence dodał:

— Jest głucha i trochę zdziwaczała. Prawie nie dostrzega, co się dzieje... i wyobrażam sobie, że pracuje, jak może najmniej, gderając, ile się da.

— Wcale nie żadna stara wierna sługa?

— O, nie! Jest u Upwardów dopiero od paru lat. W drzwiach ukazała się głowa konstabla.

— Jakaś młoda pani do pana, sir — powiedział. — Mówi, że ma coś, o czym pan powinien wiedzieć. O zeszłym wieczorze.

— O zeszłym wieczorze? Poproś ją.

Weszła Deirdre Henderson. Była blada i napięta, i jak zwykle dosyć niezręczna.

— Pomyślałam, że lepiej może przyjdę — powiedziała. — Jeżeli panom nie przeszkadzam — dodała przeproszająco.

— Nic a nic, panno Henderson.

Spence wstał i przysunął jej krzesło. Usiadła na nim sztywno i bez wdzięku, jak uczennica.

— Coś o zeszłym wieczorze? — powiedział Spence zachęcająco. — To znaczy, o pani Upward?

— Tak. Czy ta prawda, że została zamordowana? To znaczy, tak mówią na poczcie i u piekarza. Matka oczywiście twierdzi, że to nie może być prawda... — Urwała.

— Obawiam się, że pani matka niezupełnie ma tu rację... To jednak prawda. Ale chciała pani złożyć... coś nam powiedzieć?

Deirdre potakująco skinęła głową.

— Tak — powiedziała. — Widzi pan, ja tam byłam.

Jakaś zmiana zaszła w sposobie bycia Spence'a. Stał się może nawet łagodniejszy, ale w głębi oficjalnie surowy.

— Pani tam była — powiedział. — W Szczodrzeńcach. O której godzinie?

— Dokładnie nie wiem — odpowiedziała Deirdre. Przypuszczam, że między pół do dziewiątej a dziewiątą. Pewno bliżej dziewiątej. W każdym razie po kolacji. Widzi pan, dzwoniła do mnie.

— Pani Upward do pani dzwoniła?

— Tak. Powiedziała, że pani Oliver z Robinem jadą do teatru w Cullenquay i będzie sama, i czy nie przyszedłabym do niej na kawę.

— I pani poszła? — Tak.

— I... piła pani z nią kawę? Deirdre pokręciła głową.

— Nie. Przyszłam i zapukałam. Ale nikt nie odpowiadał. Więc otworzyłam drzwi i weszłam do przedpokoju. Było zupełnie ciemno i z zewnątrz widziałam, że światło w ba—wialni się nie pali. Więc nie wiedziałam, co myśleć. Raz czy dwa zawołałam: „pani Upward!”, ale nikt nie odpowiedział. Więc pomyślałam, że to na pewno jakaś pomyłka.

— Jak pani sądziła, jaka to mogła być pomyłka?

— Pomyślałam, że może ostatecznie pojechała z nimi do teatru.

— Nie dając pani znać.

— Rzeczywiście, to mi się wydało dziwne.

— Nie przychodzi pani na myśl żadne inne wyjaśnienie?

— No, pomyślałam, że może Frieda przekreśliła wiadomość. Czasami zdarza się jej coś pokręcić. Jest cudzoziemką. Sama była wczoraj podekscytowana, bo odchodziła.

— Co pani zrobiła, panno Henderson?

— Po prostu wyszłam.

— Wróciła pani do domu?

— Tak. To jest... najpierw poszłam się przejść. Było całkiem ładnie.

Spence milczał chwilę lub dłużej, przyglądając się jej. Patrzył, jak zauważył Poirot, na jej usta. Potem powiedział z ożywieniem:

— No, to dziękuję pani, panno Henderson. Miała pani słuszość, przychodząc i mówiąc nam o tym. Bardzo jesteśmy pani wdzięczni.

Wstał i podał jej rękę.

— Pomyślałam, że powinnam — powiedziała Deirdre. — Matka nie chciała, żebym szła.

— Doprawdy?

— Ale pomyślałam, że lepiej przyjść.

— Całkiem słusznie. Wyprowadził ją i wrócił.

Usiadł i bębniąc w stół, spojrzał na Poirota.

— Nie miała szminki — powiedział. — Ale może tylko dziś rano?

— Nie, to nie tylko dzisiaj rano. Nigdy jej nie używa.

— To dzisiaj dziwne, no nie?

— Jest raczej dziwną dziewczyną... niedojrzałą.

— I żadnych perfum, jak na mój węch. To pani Oliver mówi, że był wyraźny zapach perfum... drogich perfum, powiada... zeszłej nocy w domu. Robin Upward to potwierdza. Żaden z zapachów, jakich używała jego matka.

— Myślę, że ta dziewczyna nie używa perfum — powiedział Poirot.

— I ja tak myślę — powiedział Spence. — Wygląda raczej jak kapitan drużyny hokejowej ze staroświeckiej szkoły żeńskiej... ale musi mieć trzydziestkę jak byk, że tak powiem.

— No właśnie.

— Zahamowana w rozwoju, mówi pan?

Poirot zastanowił się. Potem orzekł, że to wcale nie takie proste.

— Nie pasuje — oświadczył Spence marszcząc brwi.

— Brak szminki, brak perfum. A ponieważ z jej matką jest wszystko w porządku, a matkę Lily Gamboll ktoś załatwił w pijackiej burdzie w Cardiff, kiedy miała dziewięć lat, nie wiem, jakby mogła być Lily Gamboll. Ale... pani Upward zadzwoniła do niej wczoraj wieczorem, żeby przysłała... na to nie można zamknąć oczu. — Potarł nos.

— To nieproste.

— Co z orzeczeniem lekarskim?

— Niewiele daje. Wszystko, co lekarz policyjny może stanowczo stwierdzić, to że prawdopodobnie nie żyła o pół do dziesiątej.

— Więc mogła już nie żyć, kiedy Deirdre Henderson przysłała do Szczodrzeńców?

— Prawdopodobnie już nie żyła, jeśli dziewczyna mówi prawdę. Albo mówi prawdę, albo to chytra sztuka. Twierdzi, że matka nie chciała, żeby do nas przychodziła. Widzi pan w tym coś?

Poirot rozważył sprawę.

— Nic szczególnego. Dla niej jest ważne, czego chce matka. Rozumie pan, ona jest z tych, którzy unikają nieprzyjemności.

Spence westchnął.

— Więc mamy Deirdre Henderson... na miejscu zbrodni. Albo kogoś, kto tam był przed Deirdre Henderson. Kobietę, która używa szminki i drogich perfum. Poirot mruknął:

— Będzie pan prowadził przesłuchania... Spence mu przerwał:

— Już prowadzę przesłuchania! Tylko na razie dyskretnie. Nic chcemy nikogo spłoszyć. Co wczoraj wieczorem robiła Eve Carpenter? Co wczoraj wieczorem robiła Shelagh Rendell? Dziesięć do jednego, że spokojnie siedziały w domu. Carpenter, o ile wiem, miał zebranie polityczne.

— Eve — powiedział w zamyśleniu Poirot. — Moda na imiona się zmienia, prawda? Ostatnio prawie się nie słyszy,

żeby ktoś nosił imię Eva. Wyszło z mody. Ale Eve jest popularne.

— Ją stać na kosztowne perfumy — powiedział Spence, podążając biegiem własnych myśli.

Westchnął.

— Musimy głębiej sięgnąć w jej przeszłość. To takie wygodne być wojenną wdową. Można zjawić się wszędzie ze smutną miną i w żałobie po jakimś dzielnym młodym lotniku. Nikt nie śmie zadawać pytań.

Zmienił temat.

— Ten toporek do cukru czy coś tam, co mi pan przysłał... myślę, że trafił pan w dziesiątkę. Tym narzędziem posłużono się, mordując panią McGinty. Doktor potwierdza, że idealnie nadaje się do tego rodzaju uderzenia. I znaleziono na nim krew. Została, oczywiście, zmyta... ale oni nie wiedzą, że dzisiaj mikroskopijna ilość krwi da się wykryć przy zastosowaniu najnowszych odczynników. Tak, to na pewno ludzka krew. I znowu wracamy do rodziny Wether—by i tej Henderson. Może nie?

— Deirdre Henderson wyraźnie stwierdziła, że toporek do cukru dali na kiermasz Przynies i Kup w święto dożynek.

— A pani Summerhayes równie wyraźnie stwierdziła, że to był kiermasz bożonarodzeniowy.

— Pani Summerhayes niczego nigdy wyraźnie nie twierdzi — powiedział przygnębiony Poirot. — To urocza osoba, ale organicznie niezdolna do jakiegokolwiek porządku i systematyczności. I coś panu powiem... ja, który mieszkam Na Smugach... drzwi i okna zawsze tam stoją otworem. Każdy, absolutnie każdy mógł wejść, coś zabrać, a potem wrócić i odnieść, i ani major Summerhayes, ani pani Summerhayes nawet by nie zauważyli. Jeżeli pani Summerhayes nie znajduje pewnego dnia toporka, myśli, że mąż go wziął, żeby rozebrać królika albo narąbać drewna... a on by pomyślał, że żona wzięła go do siekania mięsa dla psów.

W tym domu nikt nie używa właściwych narzędzi... łapią, co jest pod ręką, i nie odkładają na miejsce. I nikt nic nie pamięta. Gdybym miał tak żyć, byłbym w stanie ciągłej obawy... ale oni... im to chyba nie przeszkadza. Spence westchnął.

— Cóż... jedno na tym wszystkim zyskaliśmy... nie wykonają egzekucji na Jamesie Bentleyu, póki ta sprawa się nie wyjaśni. Wystosowaliśmy list do sekretarza spraw wewnętrznych. Daje nam to coś, czego nam brakowało... czas.

— Myślę — powiedział Poirot — że raz jeszcze chciałbym się zobaczyć z Bentleyem... teraz, kiedy trochę więcej wiemy.

II

Niewielka zaszła zmiana w Jamesie Bentleyu. Może trochę zeszczupłał, ręce miał bardziej niespokojne — poza tym pozostał tak samo cichy i bezradny.

Herkules Poirot mówił ostrożnie. Są świeże dowody. Policja otwiera sprawę od nowa. Jest zatem nadzieja...

Ale Jamesa Bentleya nie pociągała nadzieja.

Powiedział:

— To wszystko na nic. Co jeszcze mogą znaleźć?

— Pańscy przyjaciele — powiedział Herkules Poirot — bardzo się starają.

— Moi przyjaciele? — Wzruszył ramionami. — Nie mam przyjaciół.

— Nie powinien pan tak mówić. Ma pan przynajmniej dwoje przyjaciół.

— Dwoje przyjaciół? Chciałbym wiedzieć, kogo?

Jego ton wcale nie wyrażał tej chęci, jedynie zmęczenie pełne niewiary.

— Po pierwsze nadinspektora Spence'a...

— Spence'a? Spence'a? Tego nadinspektora policji, który doprowadził do rozprawy przeciw mnie? To prawie śmieszne.

— To nic śmiesznego. To pomyślne. Spence to bardzo wnikliwy i sumienny policjant. Lubi mieć niezachwianą pewność, że dostał właściwego człowieka.

— Jest tego w wystarczającym stopniu pewny.

— To raczej dziwne, ale nie. Dlatego, jak mówię, jest pańskim przyjacielem.

— Też mi przyjaciel!

Herkules Poirot czekał. Nawet James Bentley, pomyślał, musi mieć jakieś cechy ludzkie. Nawet James Bentley nie może być całkowicie pozbawiony zwykłej ludzkiej ciekawości.

I rzeczywiście, niedługo James Bentley zapytał:

— Cóż, a kto jest tym drugim?

— Tym drugim jest Maude Williams. Bentley nie okazał żadnej reakcji.

— Maude Williams? Kto to?

— Pracowała w biurze Breather i Scuttle.

— Och... ta panna Williams.

— Predsement, ta panna Williams.

— Ale co ona ma do tego?

Zdarzały się chwile, kiedy osobowość Jamesa Bentleya była dla Poirota tak irytująca, że serdecznie żałował, iż nie może uwierzyć, że to James Bentley winien jest śmierci pani McGinty. Niestety, im bardziej James Bentley go złościł, tym bardziej się przekonywał do zdania Spence'a. Coraz trudniej mu było sobie wyobrazić Bentleya mordującego kogokolwiek. Poirot czuł pewność, że stosunek Bentleya do morderstwa kazałby mu uważać, że i tak niewiele by z niego przyszło. Jeżeli cechą morderców, jak utrzymywał Spence, jest zarozumiałość i fanfaronada, Bentley z pewnością nie był mordercą.

Opanowując się, Poirot powiedział:

— Panna Williams interesuje się tą sprawą. Jest przekonana o pańskiej niewinności.

— Nie widzę, skąd miałaby to wiedzieć.

— Zna pana.

James Bentley zamrugał. Powiedział gderliwie:

— Przypuszczam, że w jakimś sensie mnie zna, ale nie na tyle.

— Przecież pracowaliście razem w tym biurze? Czasami jadaliście razem?

— No, tak... raz czy dwa. W Niebieskim Kocie, to bardzo wygodna kafejka, zaraz przez ulicę.

— Nigdy nie chodził pan z nią na spacer?y?

— Prawdę mówiąc tak, raz. Przeszliśmy się na wydmy. Herkules Poirot wybuchnął.

— *Ma foi*, zupełnie jakbym z pana wywlekał przyznanie się do zbrodni! Czyż to nienaturalne dotrzymywać towarzystwa ładnej dziewczynie? Czyż to nie jest przyjemność'? Nie potrafi się pan tym cieszyć?

— Nie widzę powodu — powiedział James Bentley.

— W pana wieku to naturalne i właściwe lubić towarzystwo dziewcząt.

— Nie znam wielu dziewcząt.

— *Ça se voit!* Ale powinien się pan tego wstydzicie, zamiast się tym szczycie! Poznał pan pannę Williams. Pracował pan z nią, rozmawiał, czasami razem coś jadał i raz poszedł pan z nią na spacer na wydmy. A kiedy o niej mówię, nawet nie pamięta pan jej nazwiska!

James Bentley zarumienił się.

— No, widzi pan... nigdy nie miałem wiele do czynienia z dziewczętami. I pannę Williams niezupełnie można by nazwać' damą, zgadza się pan? Och, bardzo miła... i tak dalej... ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że matka uznałaby ją za prostytutkę.

— Pan sądzi, że to ma znaczenie? James Bentley znowu się zarumienił.

— Jej włosy — powiedział. — I to, w co się ubiera... Matka, oczywiście, miała staroświeckie poglądy...

Urwał.

— Ale pan znalazł w pannie Williams... jak to powiedzieć?... bratniego ducha?

— Zawsze była bardzo dobra — powiedział powoli James Bentley. — Ale tak naprawdę... nic nie rozumiała. Widzi pan, jej matka umarła, kiedy ona była dzieckiem.

— A potem stracił pan pracę — powiedział Poirot. — Nie mógł pan znaleźć innej. Panna Williams spotkała się z panem raz w Broadhinny, jeżeli dobrze rozumiem?

James Bentley wyglądał na przygnębionego.

— Tak... tak. Wybierała się tam w interesach i przysłała mi kartkę. Prosiła, żebym się z nią spotkał. Nie mam pojęcia po co. Właściwie nigdy dobrze jej nie znałem.

— Ale spotkał się pan z nią?

— Tak. Nie chciałem być niegrzeczny. — I zabrał pan ją do kina czy coś zjeść? James Bentley wyglądał na zgorzonego.

— O, nie. Nic w tym rodzaju. Eee... porozmawialiśmy tylko, kiedy czekała na autobus.

— Ach, cóż to musiała być za przyjemność dla biedaczki! James Bentley powiedział popędliwie:

— Nie miałem ani grosza. O tym musi pan pamiętać. Ani

grosza.

— Oczywiście. Było to na parę dni przed tym, jak pani

McGinty została zabita, prawda?

James Bentley skinął głową. Nieoczekiwanie powiedział:

— Tak. To było w poniedziałek. Została zabita w środę.

— Jeszcze o coś pana zapytam, panie Bentley. Pani McGinty czytywała „Sunday Comet”?

— Tak.

— Przeglądał pan kiedy jej „Sunday Comet”?

— Czasami mi proponowała, ale rzadko z tego korzystałem. Matka nie miała dobrej opinii o tego rodzaju gazetach.

— Więc nie przeglądał pan „Sunday Comet” z tego tygodnia?

— Nie.

— I pani McGinty nie wspomniała o niej ani o czymś, co w niej znalazła?

— Och tak, mówiła — powiedział nieoczekiwanie James Bentley. — Usta jej się nie zamykały!

— O, la, la. Więc usta jej się nie zamykały. I co mówiła? Niech pan uważa. To ważne.

— Teraz dobrze nie pamiętam. Wszystko to dotyczyło jakiegoś dawnego morderstwa. Sprawy Craiga, jak myślę... nie, może to nie chodziło o Craiga. Tak czy owak mówiła, że ktoś wmieszany w tę sprawę mieszka teraz w Broadhinny. Nie milkła. Nie pojmowałem, jakie to miało dla niej znaczenie.

— Nie mówiła, kto to jest... w Broadhinny? James Bentley powiedział niepewnie:

— Chyba ta pani, której syn pisze sztuki.

— Wymierała ją z nazwiska?

— Nie... ja... to naprawdę tak dawno...

— Błagam pana... niech pan pomyśli. Chce pan przecież wyjść na wolność?

— Na wolność? — w głosie Bentleya zabrzmiało zdumienie. — Ja... tak, chyba chcę...

— Niech pan pomyśli. Co powiedziała pani McGinty?

— Hm... coś w tym sensie: „Taka zadowolona z siebie i taka dumna. Nie będzie miała z czego być dumna, jak wszystko wyjdzie na jaw”. I jeszcze: „Nikt by nie pomyślał, że to ta sama kobieta, jak popatrzeć na fotografię”. Ale oczywiście fotografia była zrobiona dawno temu.

— Ale co pana upewniło, że mówiła o pani Upward?

— Naprawdę nie wiem... Takie odniosłem wrażenie. Mówiła o pani Upward... a potem straciłem zainteresowanie i przestałem słuchać... no, jak teraz o tym pomyślę, to naprawdę nie wiem, o kim mówiła. Wie pan, była gadatliwa.

Poirot westchnął.

— Co do mnie — powiedział — nie sędzę, żeby mówiła o pani Upward. Myślę, że o kim innym. Byłoby absurdem uważać, że jeśli pana powieszają, stanie się to dlatego, że nie słucha pan z należną uwagą ludzi, którzy z panem rozmawiają... Czy pani McGinty dużo panu mówiła o domach, w których pracowała, albo o swoich paniach?

— Tak, w pewnym sensie... ale na próżno by mnie pan

o to pytał. Zdaje się, że pan nie rozumie, panie Poirot, że musiałem wtedy myśleć o własnym życiu. Byłem w poważnych kłopotach.

— Nie w tak poważnych jak teraz! Czy pani McGinty mówiła o pani Carpenter... wtedy jeszcze była panią Selkirk... albo o pani Rendell?

— Carpenter to ten, który ma ten nowy dom na wzgórzu?

1 duży samochód? Był zareczony z panią Selkirk... Pani McGinty zawsze się czepiała pani Selkirk. Nie wiem dlaczego. Mówiła o niej, że „się podszywa”. Nie wiem, co chciała przez to powiedzieć.

— A o Rendellach?

— To ten doktor, co? Nie pamiętam, żeby mówiła o nich coś szczególnego.

— A o Wetherbych?

— Pamiętam, co o nich powiedziała. „Nie mam cierpliwości do ich fochów i kaprysów”, mówiła. A o nim: „Od niego człowiek słowa nie usłyszy, dobrego ani złego”. — Urwał. — Mówiła, że to smutny dom.

Herkules Poirot podniósł oczy. Przez moment w głosie Bentleya zabrzmiał ton, którego dotychczas Poirot w nim nie słyszał. Nie powtarzał posłusznie tego, co sobie zdołał przypomnieć. Jego umysł na krótką chwilę wydobył się z apatii. James Bentley myślał o Zagrodzie Myśliwego, o życiu w tym domu, o tym, czy jest to dom szczęśliwy, czy smutny. James Bentley zajmował własne stanowisko.

Poirot powiedział cichym głosem:

— Zna ich pan? Matkę? Ojca? Córkę?

— Właściwie nie. To był pies. Terier. Złapał się w pułapkę. Nie mogła jej otworzyć. Pomogłem jej.

Znów było coś nowego w głosie Bentleya. „Pomogłem jej”, powiedział i w tych słowach zabrzmiało dalekie echo dumy.

Poirot przypomniał sobie, co mu mówiła pani Oliver o swojej rozmowie z Deirdre Henderson.

Powiedział łagodnym tonem:

— Rozmawialiście?

— Tak. Ona... powiedziała mi, że jej matka wiele przecierpiała. Bardzo kocha swoją matkę.

— I powiedział jej pan o swojej.

— Tak — odpowiedział po prostu James Bentley. Poirot nic nie mówił. Czekał.

— Życie jest bardzo okrutne — powiedział James Bentley. — Bardzo nie fair. Wygląda na to, że niektórzy nie mają za grosz szczęścia.

— To możliwe — przyświadczył Herkules Poirot.

— Nie myślę, żeby ona go wiele zaznała. Panna Wetherby.

— Henderson.

— Och, tak. Mówiła mi, że ma ojczyma.

— Deirdre Henderson — powiedział Poirot. — Smutna Deirdre. — Piękne imię... ale dziewczyna, jak się wydaje, niepiękna?

James Bentley zarumienił się.

— Mnie — powiedział — wydała się całkiem ładna...

Rozdział dziewiętnasty

Teraz posłuchaj, co ci powiem — powiedziała pani Sweetiman. Edna siąknęła nosem. Już jakiś czas słuchała pani Sweetiman. Była to beznadziejna rozmowa, obracała się wokół tego samego. Pani Sweetiman kilka razy powtarzała to samo, trochę inaczej za każdym razem, ale i tak bez wielkich zmian. Edna siąkała nosem, od czasu do czasu coś bełkotała i raz po raz powtarzała swoje dwa przyczynki do rozmowy: po pierwsze: „nigdy w życiu!”, a po drugie, że tata obedrze ją ze skóry, jak dwa razy dwa.

— To się zobaczy — mówiła pani Sweetiman — ale morderstwo jest morderstwem i co widziałaś, to widziałaś, nic nie poradzisz.

Edna pociągała nosem.

— A co powinnaś zrobić, to...

Pani Sweetiman urwała i zajęła się panią Wetherby, która przyszła po druty do robótek i dodatkowy motek wełny.

— Dawno pani nie widziałam, proszę pani — powiedziała pogodnie pani Sweetiman.

— Tak, nie czułam się ostatnio za dobrze — przyznała pani Wetherby. — Wie pani, moje serce. — Głęboko westchnęła. — Muszę dużo leżeć.

— Słyszałam, że nareszcie dostała pani jakąś pomoc — powiedziała pani Sweetiman. — Do tej jasnej wełny będą pani potrzebne ciemne druty.

— Tak. Jak na razie nieźle sobie radzi i niezgorzej gotuje. Ale to zachowanie! I jej wygląd! Farbowane włosy i te zupełnie niestosowne obcisłe sweterki.

— Ach — powiedziała pani Sweetiman. — Nikt dzisiaj jak należy nie przyucza dziewcząt do służby. Moja matka zaczynała, jak miała trzynaście lat, i dzień w dzień wstawiała kwadrans przed piątą. Skończyła jako starsza pokojowa z trzema pokojówkami pod sobą. I przyuczyła je jak należy. Ale dziś tego nie ma, dziewczyn się nie przyucza, tylko edukuje, jak tę Ednę.

Obydwie spojrzały na Ednę, która oparta o kontuar pocztowy siąkała nosem i ssała miętówkę z wyjątkowo nieprzytomną miną. Jako przykład edukacji nie przynosiła bynajmniej zaszczytu systemowi kształcenia.

— To straszne z panią Upward, nieprawda? — ciągnęła tonem pogawędki pani Sweetiman w czasie, kiedy pani Wetherby przerzucała różnokolorowe druty.

— Okropne — przyznała pani Wetherby. — Ledwie się odważyli mi powiedzieć. A kiedy

powiedzieli, dostałam okropnych palpacji. Jestem taka wrażliwa.

— To był szok dla nas wszystkich, bez wątpienia — powiedziała pani Sweetiman. — A jeśli idzie o młodego pana Upwarda, przyjął to strasznie. Nie mogła sobie z nim dać rady, to znaczy ta pisarka, zanim przyszedł doktor i dał mu jakiś środek sedatywny czy jak to tam. Przeniósł się teraz Na Smugi jako płatny gość, nie czuł się na siłach zostać w domu... i wcale mu się nie dziwię. Janet Groom, ta znów pojechała do domu, do siostrzenicy, i klucze ma policja. Ta pani, co pisze książki o morderstwach, wróciła do Londynu, ale na rozprawę przyjedzie.

Pani Sweetiman podzieliła się wszystkimi tymi informacjami z przyjemnością. Szczyciła się tym, że zawsze jest dobrze poinformowana. Pani Wetherby, w której chęć nabycia drutów zrodziła się, być może z chęci dowiedzenia się, co słyhać, zapłaciła za zakup.

— To zupełnie wyprowadza człowieka z równowagi — powiedziała. — Całe miasteczko stało się takie niebezpieczne. Chyba grasuje jakiś maniak. Kiedy pomyślę, że moja własna córka wychodziła tego wieczora z domu, że ona sama mogła zostać napadnięta, może zabita... — Pani Wetherby zamknęła oczy i zachwiała się na nogach. Pani Sweetiman obserwowała ją z zainteresowaniem, ale bez obawy. Pani Wetherby otworzyła oczy z powrotem i powiedziała z godnością: — Miejscowość powinna być patrolowana. Młodzi nie powinni wychodzić po zapadnięciu zmroku. A wszystkie drzwi powinno się zamykać i ryglować. Wie pani, że Na Smugach pani Summerhayes nigdy nie zamyka żadnych drzwi? Nawet na noc. Drzwi kuchenne i okno do bawialni zostawia otwarte, żeby psy i koty mogły wchodzić i wychodzić. Ja uważam, że to zupełne wariactwo, ale ona mówi, że zawsze tak robiła i że jak włamywacz chce wejść, to zawsze może.

— Widzi mi się, że włamywacz niewiele miałby do zabrania Na Smugach — powiedziała pani Sweetiman.

Pani Wetherby ze smutkiem pokiwała głową i odeszła z zakupem.

Pani Sweetiman i Edna podjęły sprzeczkę.

— Na nic się nie zda, jak się będziesz upierała, że ty wiesz najlepiej — powiedziała pani Sweetiman. — Co należy, to należy, a morderstwo to morderstwo. Mów prawdę, do licha ze wstydem. To moja rada.

— Tata obedrze mnie ze skóry, obedrze jak nic — powiedziała Edna.

— Pogadam z twoim tatą — obiecała pani Sweetiman.

— Nigdy w życiu — powiedziała Edna.

— Pani Upward nie żyje — powiedziała pani Sweetiman.

— A ty widziałaś coś, o czym policja nie wie. Jesteś zatrudniona na poczcie czy nie? Jako urzędniczka państwowa. Musisz spełniać swój obowiązek. Musisz iść do Berta Haylinga... Edna od początku się rozszłochała.

— Nie do Berta, nigdy w życiu. Jak bym mogła iść do Berta? Wszyscy by się dowiedzieli.

Pani Sweetiman napomknęła raczej bez przekonania:

— Jest ten cudzoziemiec...

— Nie do cudzoziemca, nigdy w życiu. Nie do cudzoziemca.

— No, może w tym masz rację.

Przed pocztą z piskiem hamulców zatrzymał się jakiś wóz.

Twarcz pani Sweetiman się rozjaśniła.

— To major Summerhayes. Powiedz wszystko jemu, a on ci poradzi, co zrobić.

— Nigdy w życiu — powtórzyła Edna, ale już z mniejszym przekonaniem.

Na pocztę wszedł Johnnie Summerhayes, potykając się pod ciężarem trzech kartonowych pudeł.

— Dzień dobry, pani Sweetiman — powiedział pogodnie. — Mam nadzieję, że nie będą miały nadwagi.

Pani Sweetiman zajęła się paczkami z całą kompetencją zajmowanego stanowiska. W czasie gdy Summerhayes lizał znaczki, powiedziała:

— Proszę mi wybaczyć, sir, chciałabym prosić o radę.

— Tak, pani Sweetiman?

— Zważywszy, że pan jest stąd, sir, i najlepiej będzie pan wiedział, co zrobić.

Summerhayes skinął głową. Zawsze go wzruszał wciąż żywy duch feudalnej Anglii po wsiach. Wieśniacy mało o nim samym wiedzieli, ale ponieważ jego ojciec, dziadek i wielu pradziadków żyło w Na Smugach, ludzie uważali to za naturalne, że powinien im służyć radą i wskazówką, ilekroć go poproszą.

— Chodzi o naszą Ednę — powiedziała pani Sweetiman.

Edna pociągnęła nosem.

Johnnie Summerhayes popatrzył z niedowierzaniem na Ednę. W życiu, pomyślał, nie widział równie mało pociągającej dziewczyny. Zupełnie jak obdarty ze skóry królik. I do tego niezbyt rozgarnięta. Z pewnością nie mogła się znaleźć, jak to się oficjalnie nazywało, „w kłopotach”. Ale nie, pani Sweetiman wówczas by się do niego nie zwracała z prośbą o radę.

— Tak — powiedział uprzejmie — z czym kłopot?

— Chodzi o to morderstwo, sir. O wieczór tego morderstwa. Edna coś widziała.

Johnnie Summerhayes przeniósł spojrzenie swoich bystrych ciemnych oczu z Edny na panią Sweetiman i z powrotem na Ednę.

— Co widziałaś, Edna? — zapytał.

Edna rozszlochała się. Sprawę przejęła pani Sweetiman.

— Oczywiście, ludzie mówią to i owo. Po części to plotki, a po części prawda. Ale podobno to rzecz pewna, że była tam tego wieczora dama, która piła kawę z panią Upward. Tak było, sir, prawda?

— Tak, tak sędzę.

— Wiem, że to prawda, bo słyszałyśmy o tym od Berta

Haylinga.

Albert Hayling był miejscowym konstabłem i Summer—hayesowie dobrze go znali. Mówiąc, cedził słowa i miał wielkie poczucie własnego znaczenia.

— Rozumiem — powiedział Summerhayes.

— Ale nie wiadomo, prawda, co to za dama? Otóż nasza

Edna ją widziała.

Johnnie Summerhayes popatrzył na Ednę. Ściągnął wargi, jakby chciał gwizdnąć.

— Naprawdę ją widziałaś, Edna? Jak wchodziła... czy jak wychodziła?

— Jak wchodziła — powiedziała Edna. Budzące się poczucie ważności rozwiązało jej język. — Stałam po drugiej stronie ulicy, pod drzewami. Zaraz za zakrętem, gdzie jest ciemno. Zobaczyłam ją. Weszła przez furtkę, podeszła do drzwi i postąła, a potem... a potem weszła.

Czoło Johnniego Summerhayesa rozchmurzyło się.

— To w porządku — powiedział. — To była panna Henderson. Policja wszystko o tym wie. Poszła do nich i powiedziała.

Edna pokręciła głową.

— To nie była panna Henderson — oświadczyła.

— Nie była... więc kto to był?

— Nie wiem. Nie widziałam jej twarzy. Była tyłem do mnie, tyłem, kiedy szła ścieżką, i tyłem, kiedy tam stała. Ale to nie była panna Henderson.

— Ale skąd wiesz, że to nie była panna Henderson, jak nie widziałaś twarzy?

— Bo miała jasne włosy. Panna Henderson ma ciemne. Johnnie Summerhayes zrobił niedowierzającą minę.

— Noc była bardzo ciemna. Trudno by ci było dojrzeć kolor włosów.

— Ale widziałam. Na ganku paliło się światło. Nie było zgaszone, bo pan Robin i pani detektywka pojechali do teatru. A ona stała pod samą lampą. Była w ciemnym płaszczu, bez kapelusza i włosy jej błyszczały — takie jasne, że nie wiem. Widziałam.

Johnnie gwizdnął przeciągle. Oczy miał teraz poważne.

— O której to było godzinie? — zapytał. Edna siąknęła nosem.

— Dokładnie nie wiem.

— Wiesz mniej więcej — powiedziała pani Sweetiman.

— Nie było jeszcze dziewiątej. Usłyszałabym z kościoła. I było po pół do dziewiątej.

— Między pół do dziewiątej a dziewiątą. Jak długo tam stała?

— Nie wiem, psze pana. Bo ja już dłużej nie czekałam. I nic nie słyszałam. Żadnych jęków, krzyków, nic takiego.

Zabrzmiało to tak, jakby Edna tego żałowała. Ale żadnych jęków, ani krzyków być nie mogło. Johnnie Summerhayes wiedział o tym. Powiedział z powagą:

— No, pozostaje nam jedno. Musimy zawiadomić policję. Edna znowu wybuchła zdławionym łkaniem.

— Tata obedrze mnie ze skóry — zaskamlą. — Jak nic obedrze.

Rzuciła błagalne spojrzenie pani Sweetiman i uciekła na zaplecze. Pani Sweetiman przejęła sprawę w swoje kompetentne ręce.

— To jest tak, sir — powiedziała w odpowiedzi na pytające spojrzenie Summerhayesa. — Edna postępuje niemądrze. Jej tata jest surowy, może nawet trochę za surowy, ale trudno powiedzieć, co dziś lepsze. Jest taki przyzwoity chłopak z Cullavon i on z Edną chodzili ze sobą jak Pan Bóg przykazał, i jej tata był zadowolony, ale Reg jest z tych powolnych, a wie pan, jakie są dziewczyny. Edna zeszła się ostatnio z Charliem Mastersem.

— Mastersem? To jeden z ludzi farmera Cole'a?

— Tak jest, sir. Robotnik rolny. Żona i dwoje dzieciaków. Zawsze latał za dziewczynami i w ogóle nic dobrego. Edna ma pusto w głowie i jej tata położył temu koniec. Miał świętą rację. Więc widzi pan, Edna wybierała się tego wieczora do Cullavon, do kina z Regiem... a przynajmniej tak powiedziała tacie. Ale naprawdę szła na spotkanie z Mastersem. I czekała na niego na rogu ulicy, bo tam się chyba spotykali. No i on nie przyszedł. Może żona go zatrzymała w domu albo może lata za inną, w każdym razie tak wyszło. Edna czekała, ale na koniec dała za wygraną. Ale niezręcznie jej, jak pan sam widzi, tłumaczyć się, co tam robiła, kiedy powinna była pojechać autobusem do Cullavon.

Johnnie Summerhayes skinął głową. Tłumiąc poczucie skądinąd zdumienia, że dziewczyna tak mało pociągająca jak Edna może mieć tyle seksapilu, żeby przyciągać uwagę dwóch mężczyzn, zajął się praktyczną stroną sytuacji.

— Nie chce z tym iść do Berta Haylinga — powiedział, szybko pojmując, w czym rzecz.

— O to chodzi, proszę pana. Summerhayes szybko się zastanowił.

— Obawiam się, że policji trzeba powiedzieć — orzekł łagodnie.

— Właśnie to jej mówię, proszę pana — powiedziała pani Sweetiman.

— Ależ oni na pewno zachowają dyskrecję na ten temat... hm... na temat tych okoliczności. Może nie będzie musiała stawać przed sądem. I zatrzymają dla siebie to, co im powie. Mogli zadzwonić do Spence'a i poprosić, żeby tu przyjechał... nie, jeszcze lepiej, mogę zabrać Ednę do Kilchester samochodem. Jeżeli pojedzie na tamtejszy posterunek, tu nikt nie musi się o niczym dowiadywać. Najpierw zadzwonię, żeby ich uprzedzić, że jedziemy.

I tak po krótkiej rozmowie telefonicznej siąkająca nosem Edna, w płaszczu zapiętym na wszystkie guziki i dla dodania ducha poklepywana przez panią Sweetiman po plecach, wsiadła do półciężarówki i została szybko uwięziona w kierunku Kilchester.

Rozdział dwudziesty

Herkules Poirot znajdował się w gabinecie nadinspektora Spence'a w Kilchester. Siedział odchyłony na oparcie krzesła, z zamkniętymi oczyma i złączonymi pakami rąk.

Nadinspektor przyjął kilka raportów, wydał instrukcje sierżantowi i wreszcie spojrzał na gościa.

— Ma pan natchnienie, *monsieur* Poirot? — zapytał.

— Zastanawiam się — powiedział Poirot. — Robię przegląd.

— Zapomniałem pana, zapytać. Czy wydobył pan coś przydatnego z Jamesa Bentleya, kiedy był pan u niego?

Poirot pokręcił głową. Zmarszczył brwi.

Rzeczywiście myślał o Jamesie Bentleyu. To irytujące, myślał Poirot, rozdrażniony, że w takiej sprawie, kiedy oferował swoje usługi bez zapłaty, z czystej przyjaźni i szacunku dla prawego oficera policji, ofiara okoliczności tak jest pozbawiona wszelkiego romantyzmu. Mogłaby to być piękna młoda dziewczyna, zbłąkana, lecz niewinna, albo świetnie się zapowiadający młodzieniec, również zbłąkany, z „czołem splamionym krwią”, lecz nieugięty, myślał Poirot, który naczytał się ostatnio angielskiej poezji z jakiejś antologii. Zamiast tego miał Jamesa Bentleya, niewątpliwie przypadek patologiczny, egocentryka, który nikomu poza sobą nie poświęcił jednej myśli. Człowieka niewdzięcznego za wysiłki, jakie podejmowano, aby go ratować... a właściwie, można by powiedzieć, zupełnie nimi niezainteresowanego.

Doprawdy, myślał Poirot, z powodzeniem można by pozwolić, żeby go powieszono, skoro tak mu na tym nie zależy...

Nie, tak daleko by się nie posunął.

W te refleksje wdarł się głos nadinspektora Spence'a.

— Widzenie z nim — powiedział Poirot — jeśli wolno tak to określić, było wyjątkowo bezowocne. Nie pamięta nic przydatnego... a to, co pamięta, jest tak mgliste i niepewne, że nic można się na tym oprzeć. Jedno wydaje się raczej bezsporne, że pani McGinty była podekscytowana artykułem z „Sunday Comet” i mówiła o nim z Bentleyem, szczególnie wspominając o „kimś związanym z tą sprawą”, kto mieszka w Broadhinny.

— Z jaką sprawą? — zapytał ostro nadinspektor Spence.

— Nasz przyjaciel nie był pewien — powiedział Poirot. — Oświadczył, dosyć niepewnie, że ze sprawą Craiga... ale ponieważ sprawa Craiga jest jedyną, o jakiej kiedykolwiek słyszał, byłaby

prawdopodobnie również jedyną, o jakiej mógł pamiętać. Tym kimś jednak była kobieta. Nawet przytoczył słowa pani McGinty. Kobieta, która „nie miałaby z czego być taka dumna, gdyby się wszystko wydało”.

— Dumna?

— *Mais oui* — Poirot skinął głową potakująco. — Wiele mówiące słowo, nieprawda?

— Żadnej wskazówki, kto może być tą kobietą?

— Bentley sugerował panią Upward... ale nie sędzę, żeby miał jakiś konkretny powód!

Spence potrząsnął głową.

— Pewno dlatego, że była dumną, władczą kobietą... powiedziałbym, wyjątkowo władczą. Ale to nie mogła być pani Upward, ponieważ pani Upward nie żyje, i to nie żyje z tego samego powodu, dla którego zginęła pani McGinty... z tego powodu, że rozpoznała fotografię.

Poirot powiedział ze smutkiem:

— Ostrzegalem ją. Zirytowany Spence mruknął:

— Lily Gamboll! Jeśli idzie o wiek, są tylko dwie możliwości. Pani Rendell i pani Carpenter. Nie liczę tej Hender—son... jej przeszłość znamy.

— A tamtych nie znamy? Spence westchnął.

— Wie pan, jak to dzisiaj jest. Wojna wszystko i wszystkich poruszyła. Ta renomowana szkoła, w której była Lily Gamboll, razem z wszystkimi archiwami stała się od jednego trafienia kupą gruzów. A weźmy ludzi. Najtrudniej na świecie sprawdzić ludzi. Weźmy Broadhinny. Jedyni ludzie w Broadhinny, o których coś wiemy, to Summerhayesowie, którzy są tu od trzystu lat, Guy Carpenter z firmy Carpenterów. Wszyscy pozostali to... jak to powiedzieć?... element napływowy? Doktor Rendell widnieje w spisie lekarzy i wiemy, gdzie się kształcił i gdzie praktykował, ale nie znamy jego pochodzenia. Jego żona wywodzi się spod Dublina. Eve Selkirk, jak się nazywała, zanim wyszła za Guya Carpentera, była ładną wojenną wdówką. Weźmy Wetherbych... wygląda na to, że nosiło ich po całym świecie, tu i tam, wszędzie. Dlaczego? Czy mieli jakieś powody? Zdefraudował jakieś bankowe pieniądze? Byli powodem jakiegoś skandalu? Nie twierdzą, że o ludziach nie da się zasięgnąć informacji. Da się... ale na to trzeba czasu. Sami w tym nie dopomogą.

— Bo mają coś do ukrycia... choć nie musi to być morderstwo — powiedział Poirot.

— Właśnie, mogą to być kłopoty z prawem albo niskie urodzenie, albo najzwyczajniejszy skandal. Ale cokolwiek to było, nie szczędzą trudu, żeby to ukryć... stąd tak trudno czegokolwiek się dogrzebać.

— Ale nie jest to niemożliwe.

— O nie, to możliwe. Tylko trzeba na to czasu. Tak jak powiedziałem, jeżeli to Lily Gamboll jest

w Broadhinny, będzie nią Eve Carpenter albo Shelagh Rendell. Przesłuchałem je... czynność rutynowa... jak to ująłem. Obie utrzymują, że były w domu... same. Pani Carpenter to ucieleśnienie niewinności. Pani Rendell była zdenerwowana... ale to w ogóle nerwowa osoba, na tym nie można się oprzeć.

— Tak — powiedział Poirot w zamyśleniu. — To nerwowa osoba.

Myślał o pani Rendell w ogródku Na Smugach. Pani Rendell otrzymała anonimowy list, a przynajmniej tak mówiła. Zastanowił się, jak wtedy, nad tym oświadczeniem.

Spence ciągnął dalej.

— I musimy być ostrożni... bo jeśli nawet któraś z nich jest winna, to druga jest niewinna.

— A Guy Carpenter to kandydat na posła i ważna miejscowa osobistość.

— To by mu nie pomogło, gdyby był winien morderstwa lub udzielania pomocy w morderstwie — orzekł ponuro Spence.

— Wiem o tym. Ale przecież musimy mieć pewność.

— Racja. Ale zgodzi się pan przecież, że to na pewno jedna z nich.

Poirot westchnął.

— Nie... nie... tego bym nie powiedział. Są inne możliwości.

— Na przykład?

Poirot chwilę milczał, po czym zapytał innym, niemal niedbałym tonem:

— Dlaczego ludzie przechowują fotografie?

— Dlaczego? Bóg jeden wie! Dlaczego ludzie przechowują różne rzeczy... różne szpargały, śmiecie, takie tam głupstwa. Przechowują, i tyle.

— Do pewnego stopnia zgadzam się z panem. Niektórzy ludzie przechowują rzeczy. Inni wszystko, co już nie jest im potrzebne, wyrzucają. Tak jest, to sprawa charakteru. Ale mówię teraz szczególnie o fotografiach. Dlaczego ludzie przechowują właśnie fotografie?

— Jak powiedziałem — dlatego że nic nie wyrzucają. Albo może dlatego, że im coś przypominają...

Poirot wypowiedział te słowa ze szczególnym naciskiem.

— Właśnie. Przypominają. I powtórzmy pytanie... dlaczego? Dlaczego jakaś kobieta przechowuje swoją fotografię z młodości? Odpowiem, że pierwszym powodem jest zasadniczo próżność. Była

ładną dziewczyną i przechowuje swoją fotografię, żeby jej przypominała, jaka była ładna. Dodaje jej otuchy, kiedy już nie może patrzeć na siebie w lustrze. Mówi może do przyjaciółki: „To ja, jak miałam osiemnaście lat...”, i wzdycha... Zgodzi się pan ze mną?

— Tak... tak. Chyba można powiedzieć, że to prawda.

— A zatem mamy powód numer jeden. Próżność. Dalej powód numer dwa: sentyment.

— To nie to samo?

— Nie, nie, niezupełnie. Bo sentyment skłania do przechowywania nie tylko swojej fotografii, ale i fotografii kogoś innego... Fotografii zamężnej córki... jako dziewczynki siedzącej przed kominkiem w tiulowej sukience.

— Widywałem takie — skrzywił się Spence.

— Tak. Czasami bardzo żenujące dla osoby ze zdjęcia, ale matki chętnie je przechowują. A synowie i córki często przechowują zdjęcia matek, szczególnie, powiedzmy, kiedy te matki młodo zmarły. „To moja matka jako młoda dziewczyna!”

— Zaczynam dostrzegać, do czego, pan zmierza, Poirot.

— Może być jeszcze trzecia kategoria. Nie próżność, nie sentyment, nie miłość... może być nienawiść... co pan na to?

— Nienawiść?

— Tak. Aby podsycać pragnienie zemsty. Można przecież przechowywać fotografię kogoś, kto nas skrzywdził, żeby nam o tym przypominała.

— Ale tak nie może być w tym wypadku!

— Naprawdę nie?

— O czym pan myśli? Poirot mruknął:

— Doniesienia gazetowe często są niedokładne. „Sunday Comet” twierdziła, że Eva Kane pracowała u Craigów jako bona do dziecka. Czy tak rzeczywiście było?

— Tak. Tak było. Ale opieramy się na założeniu, że osoba, której szukamy, to Lily Gamboll.

Poirot nagle wyprostował się na krześle jak struna. Rozkazująco pokiwał palcem przed nosem Spence’a.

— Niech się pan przyjrzy. Niech pan popatrzy na fotografię Lily Gamboll. Nie jest ładna... nie! Prawdę mówiąc, jest obrzydliwa z tymi zębami i w tych okularach. Więc nikt tej fotografii nie przechowywał dla pierwszego z naszych powodów. Żadna kobieta nie przechowywałaby tej

fotografii z próżności. Gdyby to była fotografia Eve Carpenter albo Shelagh Rendell, obu ładnych kobiet, szczególnie Eve Carpenter, każda z nich szybko podarłaby ją na strzępy, żeby ich przypadkiem nikt nie zobaczył!

— No, coś w tym jest.

— Więc powód numer jeden odpada. Teraz weźmy sentyment. Czy ktoś kochał Lily Gamboll w tym wieku? Od tego się zaczyna w wypadku Lily Gamboll, że nie. Była dzieckiem niechcianym i niekochanym. Osobą, która najbardziej ją lubiła, była jej ciotka, ale ciotka zginęła od tasaka. Więc to nie z sentymentu zachowano tę fotografię. A zemsta? Nikt jej również nie nienawidził. Zamordowana ciotka była osobą samotną, nie miała ani męża, ani bliskich przyjaciół. Nikt nie czuł nienawiści do tego nieszczęsnego dzieciaka... jedynie litość.

— Niech pan posłucha panie Poirot, z tego, co pan mówi, wynika, że nikt by nie zachował tego zdjęcia.

— Dokładnie tak... taki jest wynik moich rozmyślań.

— Ale ktoś je zachował. Ponieważ pani Upward je widziała.

— Naprawdę?

— Do licha. Wiem o tym od pana. Sama tak powiedziała.

— Tak, tak powiedziała — potwierdził Poirot. — Ale świętej pamięci pani Upward była pod pewnymi względami kobietą tajemniczą. Lubiła załatwiać sprawy po swojemu. Pokazałem fotografię, a ona jedną z nich rozpoznała. Ale potem, z jakiegoś powodu zapragnęła zatrzymać dla siebie, kogo rozpoznała. Chciała, powiedzmy, zachować się w pewnej sytuacji tak, jak jej się podobało. A więc będąc osobą bystrą, celowo wskazała nie to zdjęcie, nie zdradzając w ten sposób tego, co wiedziała.

— Ale po co?

— Bo, jak już mówiłem, chciała to rozegrać sama.

— Chyba nie chciała nikogo szantażować? Była kobietą bardzo bogatą, wie pan, wdową po przemysłowcu z północy.

— O nie, nie chciała nikogo szantażować. Zrobiła to raczej z dobroci. Powiedzmy, że dosyć lubiła daną osobę i nie chciała wydawać jej sekretu. Niemniej jednak była ciekawa. Zamierzała prywatnie z nią porozmawiać. I wtedy rozstrzygnąć, czy maczała, czy nie maczała palców w śmierci pani McGinty. Coś w tym rodzaju.

— W ten sposób dochodzą nam pozostałe trzy fotografie?

— Dokładnie tak. Pani Upward zamierzała przy najbliższej okazji wejść w kontakt z daną osobą. Okazja się nadarzyła, kiedy jej syn i pani Oliver pojechali do Teatru Repertuarowego w Cullenauay.

— I zadzwoniła do Deirdre Henderson. W ten sposób z powrotem mamy do czynienia z Deirdre Henderson. I z jej matką!

Nadinspektor Spence ze smutkiem pokiwał głową nad Poirotem.

— Zdaje się, że lubi pan utrudniać sprawy, *monsieur* Poirot — powiedział.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Pani Wetherby wracała z poczty do domu krokiem zdumiewająco sprężystym jak na osobę rzekomo przykutą do łóżka.

Dopiero kiedy znalazła się za frontowymi drzwiami, znowu bezsilnie zwlokła się do bawialni i padła na sofę.

Dzwonek miała w zasięgu ręki i zadzwoniła. Ponieważ nic przyniosło to skutku, zadzwoniła powtórnie, tym razem przez jakiś czas nie odrywając palca od dzwonka.

Po chwili zjawiła się Maude Williams. Była w kombinezonie w kwiatki i ze ściereczką do kurzu w ręce.

— Pani dzwoniła?

— Dwa razy. Jak dzwonię, oczekuję, że ktoś natychmiast przyjdzie. Mogę być niebezpiecznie chora.

— Przepraszam panią. Byłam na górze.

— Wiem, że byłaś. Byłaś w moim pokoju. Słyszałam cię tam. Suwałaś tam i z powrotem szufladami. Nie pojmuję, po co. Grzebanie w moich rzeczach nie należy do twoich obowiązków.

— Nie grzebałam. Układałam rzeczy, które pani zostawiła porozrzucane.

— Nonsens. Wszystkie wężycie. Do tego nie dopuszczę. Czuję się bardzo słaba. Czy panienka Deirdre jest w domu?

— Wyszła z psem.

— Cóż za głupota. Mogłaby wiedzieć, że będzie mi potrzebna. Przynieś mi ukręcone jajko z mlekiem i odrobiną brandy. Brandy jest na kredensie w stołowym pokoju.

— Zostały tylko trzy jajka na śniadanie na jutro.

— Więc ktoś się obejdzie bez jajka. Pośpiesz się. Nie stój tu i nie gap się na mnie. Jesteś za bardzo umalowana. To nie przystoi.

W hallu odezwało się szczekanie i weszła Deirdre z terierem.

— Usłyszałam twój głos — powiedziała zdyszana Deirdre. — O czym z nią mówiłaś?

— O niczym.

— Wyglądała jak burza z piorunami.

— Pokazałam jej, gdzie jest jej miejsce. Impertynentka.

— Och, mamu kochana, czy musiałaś? Tak trudno kogoś dostać. A ona naprawdę dobrze gotuje.

— I przypuszczam, że to nieważne, że jest bezczelna wobec mnie! No cóż, niedługo już z wami zostanę — pani Wetherby przewróciła oczyma i parę razy złapała trzepotliwy oddech. — Za daleko szłam — szepnęła.

— Nie powinnaś była wychodzić, kochanie. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że wychodzisz?

— Myślałam, że trochę powietrza dobrze mi zrobi. Tu tak duszno. To nieważne. W gruncie rzeczy nie chce się żyć... jeśli jest się tylko kłopotem dla innych.

— Nie jesteś żadnym kłopotem, kochanie. Umarłabym bez ciebie.

— Dobra z ciebie dziewczyna... ale widzę, jak cię męczę i działam ci na nerwy.

— Skądże znowu... skądże znowu — powiedziała z przejęciem Deirdre.

Pani Wetherby westchnęła i pozwoliła opaść powiekom.

— Nie mogę... nie mogę dużo mówić — wyszeptała. — Muszę tylko spokojnie poleżeć.

— Popędzę Maude z tym kogłem—mogłem.

Deirdre wybiegła z pokoju. W pośpiechu zahaczyła łokciem o stół i na ziemię spadł bożek z brązu.

— Co za niezdara — mruknęła pani Wetherby, krzywiąc się.

Drzwi się otworzyły i wszedł pan Wetherby. Postał w nich przez chwilę. Pani Wetherby otworzyła oczy.

— Ach, to ty, Rogerze?

— Zastanawiałem się, co to za hałas. W tym domu nie można spokojnie poczytać.

— To tylko Deirdre, kochanie. Wróciła z psem.

Pan Wetherby schylił się i podniósł z podłogi brązowego potworka.

— Chyba Deirdre jest już na tyle duża, żeby cały czas czegoś nie zrzucić.

— Jest dosyć niezgrabna.

— No, to absurd być niezgrabną w jej wieku. I nie może pilnować, żeby ten pies nie szczekał?

— Pomówię z nią, Rogerze.

— Jeżeli tu mieszka, musi brać pod uwagę nasze życzenia i nie zachowywać się tak, jakby dom należał do niej.

— Może byś wolał, żeby się wyniosła — mruknęła pani Wetherby. Obserwowała męża spod półprzymkniętych powiek.

— Ależ nie, skądże. Oczywiście, że nie.. Jej dom jest przy nas, naturalnie. Proszę tylko o trochę więcej rozsądku i dobrych manier. — Dodał: — Wychodziłaś, Edith?

— Tak. Byłam tylko na poczcie.

— Nic nowego na temat biednej pani Upward?

— Policja wciąż nie wie, kto to był.

— Wygląda na to, że są całkiem bezradni. Jaki motyw? Kto dostanie po niej pieniądze?

— Syn, jak przypuszczam.

— Tak... tak, wobec tego rzeczywiście musiał to być jakiś włóczęga. Powinnaś powiedzieć tej dziewczynie, żeby była ostrożna i zamykała drzwi od frontu. I jak się zmierzchnie, otwierała je tylko z założonym łańcuchem. Ludzie są dziś bardzo bezczelni i brutalni.

— Zdaje się, że u pani Upward nic nie zabrano.

— Dziwne.

— Nie jak u pani McGinty — dodała pani Wetherby.

— McGinty? Och! Tej sprzątaczkii. Co ma wspólnego pani McGinty z panią Upward?

— Pracowała u niej, Rogerze.

— Nie bądź niemądra, Edith.

Pani Wetherby znowu przymknęła oczy. Kiedy pan Wetherby wyszedł z pokoju, uśmiechnęła się do siebie.

Drgnęła i kiedy otworzyła oczy, ujrzała nad sobą Maude ze szklanką w ręku.

— Pani kogel-mogel, proszę pani — powiedziała Maude. Jej głos był donośny i czysty. Zbyt głośno się rozlegał w tym przytłumionym domu.

Pani Wetherby podniosła oczy z niejasnym poczuciem niepokoju.

Jaka wysoka i harda jest ta dziewczyna. Stała nad panią Wetherby jak... jak przeznaczenie,

pomyślała pani Wetherby, po czym się zdumiała, skąd jej przychodzą do głowy takie niezwykle określenia.

Uniosła się na łokciu i wzięła od Maude szklanę.

— Dziękuję ci, Maude — powiedziała. Maude zawróciła i wyszła z pokoju.

Pani Wetherby, nie wiadomo dlaczego, poczuła się zdenerwowana.

Rozdział dwudziesty drugi

Herkules Poirot w drogę powrotną do Broadhinny wynajął auto.

Był zmęczony, ponieważ myślał. Myślenie zawsze jest wyczerpujące. Dzisiejszy wysiłek umysłowy nie przyniósł mu pełnego zadowolenia. Zupełnie jakby na kawałku materiału widniał jakiś wzór, a on nie mógł go dojrzeć, mimo że trzymał tę tkaninę w ręku.

Ale wzorowi nic nie brakowało. W tym rzecz. Wzór był pełny. Tylko że był to jeden ze wzorów w kolorze naturalnym i dyskretnym, które niełatwo dostrzec.

Niedaleko za Kilchester jego wóz napotkał półciężarówkę Summerhayesów jadącą w przeciwną stronę. Prowadził Johnnie i miał pasażera. Poirot ledwie ich zauważył. Wciąż pochłonięty był myśleniem.

Po powrocie do domu Na Smugach wszedł do bawialni. Z naj wygodniejszego fotela w pokoju zajął dur szlak pełen szpinaku i usiadł. Z góry dobiegało lekkie stukanie maszyny do pisania. To Robin Upward zmagał się ze sztuką. Trzy wersje już podarł, jak powiedział Poirotowi. Nie mógł się jakoś skoncentrować.

Robin mógł poważnie przeżyć śmierć matki, ale pozostał Robinem Upwardem, zajęтым głównie sobą.

— Mądre — oznajmił uroczyście — życzyłaby sobie, żebym nie przerywał pracy.

Herkules Poirot od wielu już osób słyszał podobne rzeczy. Przekonanie, że się wie, czego życzyliby sobie zmarli, było niezwykle wygodnym założeniem. Osieroceni nie mają najmniejszych wątpliwości co do życzeń swoich ukochanych i życzenia te zazwyczaj pokrywają się z ich własnymi skłonnościami.

W tym wypadku była to zapewne prawda. Pani Upward bardzo wierzyła w pracę Robina i była z niego nadzwyczaj dumna.

Poirot usiadł w fotelu i zamknął oczy.

Myślał o pani Upward. Zastanawiał się, jaka naprawdę była. Przypomnił sobie zdanie, które wypowiedział kiedyś pewien policjant. „Rozbierzemy go na części i zobaczymy, na jakiej zasadzie działa.”

Na jakiej zasadzie działała pani Upward?

Rozległ się huk i weszła pani Summerhayes. Włosy jej powiewały jak szalone.

— Pojęcia nie mam, co się stało z Johnniem — powiedziała. Pojechał tylko na pocztę z tymi

przesyłkami poleconymi. Powinien wrócić wieki temu. Chciałam, żeby naprawił drzwi od kurnika.

Prawdziwy dżentelmen, przypuszczał Poirot, rycersko by zaproponował, że on naprawi kurnik. Ale Poirot nie zaproponował. Pragnął dalej rozmyślać o tych dwóch morderstwach i o charakterze pani Upward.

— I nie mogę znaleźć tego formularza z Ministerstwa Rolnictwa — ciągnęła Maureen. — Szukałam wszędzie.

— Szpinak leży na sofie — z nadzieją podsunął Poirot. Maureen nie martwiła się o szpinak.

— Ten formularz, przyszedł w zeszłym tygodniu — zastanawiała się. — I musiałam go gdzieś wetknąć. Może wtedy, jak cerowałam pulower Johnniego.

Przemknęła do biurka i zaczęła wyciągać szuflady. Zawartość ich po większej części bezwzględnie wymiatała na podłogę. Obserwowanie jej było dla Poirota prawdziwą udręką.

Nagle wydała okrzyk tryumfu.

— Mam go!

Zachwycana wypadła z pokoju.

Herkules Poirot westchnął i powrócił do rozmyślań.

Ułożyć w porządku i dokładnie...

Zmarszczył brwi. Rozpraszała go niechlujna sterta rzeczy na podłodze koło biurka. Cóż za sposób szukania czegokolwiek!

Porządek i metoda. Tego trzeba. Porządku i metody.

Mimo że odwrócił się na fotelu w drugą stronę, bałagan na podłodze kłuł go w oczy. Przybory do szycia, sterta skarpet, listy, włóczka, pisma ilustrowane, воск do pieczętowania, fotografie, pulower...

To było nie do zniesienia!

Poirot wstał, podszedł do biurka i szybkimi, wprawnymi ruchami zaczął te rzeczy wkładać do wysuniętych szuflad.

Pulower, skarpety, włóczka. Potem, do następnej szuflady воск, fotografie, listy.

Zadzwonił telefon.

Na dźwięk ostrego dzwonka aż podskocz}’!

Podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

— *Allô, allô, allô* — powiedział.

Głos, który się do niego odezwał, należał do nadinspektora Spence'a.

— Ach, to pan, panie Poirot. Właśnie z panem chciałem mówić.

Głos Spence'a był niemal nie do rozpoznania. Człowiek ciężko zatroskany ustąpił miejsca człowiekowi pewnemu siebie.

— Karmi mnie pan różnymi bałamuctwami na temat nie tej fotografii — powiedział z naganą i oburzeniem.

— Mamy nowe zeznania. Dziewczyny z poczty z Broadhinny. Pan Summerhayes właśnie ją przywiózł. Wygląda na to, że akurat tego wieczora stała praktycznie naprzeciwko domu i widziała, jak weszła tam jakaś kobieta. Trochę po pół do dziewiątej, a przed dziewiątą. I to nie była Deirdre Henderson. Była to jasnowłosa kobieta. To nas sprowadza z powrotem tam, gdzie byliśmy... to znaczy zostają one dwie, Eve Carpenter i Shelagh Rendell. Pytanie tylko, która?

Poirot otworzył usta, ale nic nie powiedział. Uważnie, ostrożnie odłożył słuchawkę na widełki.

I stał, wpatrując się niewidzącym spojrzeniem przed siebie.

Telefon zadzwonił znowu.

— *Allô, allô, allô?*

— Czy mogę mówić z panem Poirotem?

— Herkules Poirot przy telefonie.

— Tak też myślałam. Tu Maude Williams. Za kwadrans na poczcie?

— Będę.

Odłożył słuchawkę.

Rzucił okiem na stopy. Zmienić buty? Stopy trochę go bolały. Ach, nieważne.

Zdecydowanie narzucił na głowę kapelusz i wyszedł z domu.

Kiedy schodził ze wzgórza, pozdrowił go jeden z ludzi nadinspektora Spence'a, właśnie wychodzący ze Szczodrzericów.

— Dzień dobry, *monsieur* Poirot.

Poirot odpowiedział uprzejmie. Zauważył, że sierżant Fletcher wygląda na podekscytowanego.

— Szef mnie przysłał, żebym wszystko dokładnie sprawdził — wyjaśnił. — Wie pan, szczegóły, których mogliśmy się nie dopatrzeć. Nigdy nie wiadomo. Przeszukaliśmy biurko, oczywiście, ale szefowi przyszło do głowy, że może mieć jakąś ukrytą szufladę... musiał się nacytać powieści szpiegowskich. Cóż, ukrytej szuflady nie było. Ale potem zabrałem się do książek. Czasami ludzie wsuwają listy do czytanej książki, wie pan.

Poirot przyznał, że wie.

— I coś pan znalazł? — zapytał uprzejmie.

— Żadnego listu ani czegoś takiego. Ale coś ciekawego znalazłem... przynajmniej myślę, że to ciekawe. Proszę spojrzeć.

Rozwinął z gazety starą i dosyć wystrzępioną książkę.

— Stała na jednej z półek. Stara książka, wydana dawno temu. Ale niech pan popatrzy. — Otworzył książkę i pokazał pierwszą stronę. W poprzek niej wypisane były słowa „Evelyn Hope”.

— Ciekawe, nie sądzi pan? Jeżeli pan nie pamięta, to jest nazwisko...

— Nazwisko, które przyjęła Eva Kane, wyjeżdżając z Anglii. Pamiętam — powiedział Poirot.

— Wygląda na to, że jak pani McGinty wypatrzyła w Broadhinny kogoś z tych zdjęć, to była nim pani Upward. Trochę to komplikuje sprawę, prawda?

— Rzeczywiście — potwierdził z uczuciem Poirot. Mogę pana zapewnić, że jak pan wróci do nadinspektora Spence’a z tą wiadomością, wyrwie sobie wszystkie włosy z głowy... co do jednego.

— Mam nadzieję, że tak źle nie będzie — powiedział sierżant Fletcher.

Poirot nic więcej nie powiedział. Ruszył dalej w dół. Przestał myśleć. Nic już nie miało sensu.

Wszedł na pocztę. Była tam Maude Williams oglądająca wzory robótek. Poirot nie odezwał się do niej. Podszedł do kontuaru ze znaczkami. Kiedy Maude dokonała swojego zakupu, pani Sweetiman przeszła do niego i kupił parę znaczków. Maude wyszła ze sklepu.

Pani Sweetiman wyglądała na zajętą i nie była usposobiona do pogawędki. Poirot mógł dość szybko podążyć za Maude. Dogonił ją niedaleko na ulicy i zrównał z nią krok.

Pani Sweetiman, wyglądając przez okno poczty, wykrzyknęła sama do siebie z dezaprobatą:

— Ci cudzoziemcy! Zawsze tacy sami. Toć mógłby być jej dziadkiem!

II

— *Eh bien* — powiedział Poirot — ma pani coś dla mnie?

— Nie wiem, czy to ważne. Ktoś próbował dostać się przez okno do pokoju pani Wetherby.

— Kiedy?

— Dziś rano. Ona wyszła, a dziewczyna była na spacerze z psem. Ten śnięty wieloryb jak zwykle siedział zamknięty w swoim gabinecie. Normalnie byłabym w kuchni... wychodzi na inną stronę, tak jak gabinet... ale pomyślałam, że właśnie nadarza się okazja, żeby... wie pan?

Poirot skinął głową.

— Zakradłam się więc na górę, do sypialni tej skwaśniałej primadonny. Do okna była przystawiona drabina i ktoś majstrował przy zamku. Od czasu tego morderstwa ona się barykaduje. Nie wpuszcza świeżego powietrza. Kiedy tamten mnie zobaczył, zleciał w dół i w nogi. Drabina była ogrodnika... przycinał bluszcz i poszedł na drugie śniadanie.

— Kto to był? Może go pani opisać?

— Ledwie mi mignął. Zanim podeszłam do okna, już zszedł z drabiny i uciekł, a pierwszy raz, jak go zobaczyłam, stał pod słońce, więc nie widziałam twarzy.

— Jest pani pewna, że to był mężczyzna? Maude zastanowiła się.

— Ubrany jak mężczyzna... w starym pilśniowym kapeluszu. Oczywiście to mogła być kobieta.

— Interesujące — powiedział Poirot. — Bardzo interesujące... Coś jeszcze?

— Na razie nic. Co za szpargały ta kobieta trzyma! Chyba ma nie po kolei! Dziś rano weszła tak, że nie słyszałam, i skrzyczała mnie za szperanie. Na drugi raz ją zamorduję. Jeżeli ktoś się tego naprasza, to ona. Wredna baba!

Poirot mruknął po cichu: — Evelyn Hope...

— A to co?

Okręciła się na pięcie w jego stronę.

— Więc zna pani to nazwisko?

— No... Tak... ta Eva Jak–jej–tam przyjęła to nazwisko, jak wyjeżdżała do Australii. Było... w tej gazecie... w „Sunday Comet”.

— W „Sunday Comet” było wiele rzeczy, ale tego nie było. Policja znalazła to nazwisko w książce w domu pani Upward.

Maude wykrzyknęła:

— Więc to była ona... i nie umarła tam... Michael miał rację.

— Michael?

Maude oświadczyła zniecierpliwiona:

— Nie mogę dłużej zostać. Spóźnię się z podawaniem lunchu. Wszystko mam w piecu, ale obeschnie.

Ruszyła biegiem. Poirot stał i patrzył za nią.

W oknie poczty pani Sweetiman z nosem przylepionym do szyby zastanawiała się, czy ten stary cudzoziemiec nie robił pewnego rodzaju propozycji...

III

Wróciwszy do domu Na Smugach, Poirot zdjął buciki i włożył ranne pantofle. Nie były sztywne ani, jego zdaniem, *comme il faut*... ale potrzebował wytchnienia.

Usiadł z powrotem w fotelu i od razu powrócił do rozmyślań. Teraz już miał dużo do myślenia.

O drobiazgach — rzeczach, których nie dopatrzył.

Wzór już był. Brakowało mu tylko spójności.

Maureen z kieliszkiem w ręce, mówiąca coś sennym głosem — o coś pytała... Sprawozdanie pani Oliver z wieczoru w teatrze. Cecil? Michael? Był niemal pewny, że wspominała jakiegoś Michaela... Eva Kane, guwernantka do dziecka u Craigów...

Evelyn Hope...

Oczywiście! Evelyn Hope!

Rozdział dwudziesty trzeci

I

Eve Carpenter weszła do domu Summerhayesów mimochodem, jak większość wchodzących tu osób, posługując się, czym było wygodniej, drzwiami wejściowymi lub balkonowymi.

Szukała Herkulesa Poirota i kiedy go znalazła, przystąpiła do rzeczy, niczego nie owijając w bawełnę.

— Proszę pana — powiedziała. — Jest pan detektywem, i podobno dobrym. W porządku, najmuje pana.

— Powiedzmy, że nie jestem do wynajęcia, Mon Dieu, nie jestem taksówką!

— Jest pan prywatnym detektywem, a prywatni detektywi pracują za pieniądze, może nie?

— Taki jest zwyczaj.

— No, tak też mówię. Zapłacę panu. Dobrze panu zapłacę.

— Za co? Co pani chce, żebym zrobił? Eve Carpenter powiedziała bez ogródek:

— Żeby mnie pan chronił przed policją. Zwariowali. Myślą, zdaje się, że to ja zabiłam tę Upward. I węższą wszędzie, wypytują... wygrzebują różne rzeczy. To mi się nie podoba. Doprowadza mnie do szaleństwa.

Poirot przyjrzał jej się. Część z tego, co mówiła, była prawdą. Wyglądała o wiele starszej niż wtedy, kiedy parę tygodni temu zobaczył ją po raz pierwszy. Podkrążone oczy świadczyły o bezsenności. Od nosa do podbródka zarysowały jej się bruzdy, a ręka, którą zapalała papierosa, okropnie się trzęsła.

— Musi pan położyć temu kres — powiedziała. — Musi pan.

— Co mogę zrobić, *madame!*

— Tak czy inaczej ich odsunąć. Co za cholerna bezczelność! Gdyby Guy był mężczyzną, sam by z tym skończył. Nie pozwoliłby im mnie prześladować.

— A on... nic nie robi? Wyznała nadąsana:

— Nie powiedziałam mu. On tylko deklamuje o udzielaniu policji wszelkiej możliwej pomocy. Jemu to nie przeszkadza. Był na jakimś upiornym zebraniu politycznym tego wieczora.

— A pani?

— Ja siedziałam w domu. Akurat słuchałam radia.

— Ale jeżeli może pani tego dowieść...

— Jak mogę tego dowieść? Zaproponowałam Croftom bajeczną sumę, żeby zeznali, że się kręcili i widzieli mnie... Te świnię odmówiły.

— Było to bardzo niemądre posunięcie z pani strony.

— Nie rozumiem dlaczego. To by załatwiło sprawę.

— Prawdopodobnie przekonała pani służących, że naprawdę popełniła pani to morderstwo.

— No... i tak zapłaciłam Croftowi za...

— Za co?

— Za nic.

— Proszę pamiętać, potrzebuje pani mojej pomocy.

— Och. To nie było nic ważnego. Ale Croft przyjął jej telefon.

— Pani Upward?

— Tak. Z prośbą, żebym do niej przyszła tego wieczora.

— I mówi pani, że pani nie poszła?

— Dlaczego miałabym iść? Cholerna, okropna starucha. Miałam iść i trzymać ją za rękę, po co? Ani przez chwilę nie śniło mi się tam iść.

— Kiedy dzwoniła?

— Jak mnie nie było w domu. Nie wiem dokładnie kiedy... między piątą a szóstą, zdaje się. Telefon przyjął Croft.

— I zapłaciła mu pani, żeby zapomniał, że odbierał telefon. Dlaczego?

— Niech pan nie będzie niemądry. Nie chcę być w to zamieszana.

— I potem proponuje mu pani pieniądze, żeby dał pani alibi? Jak pani sobie wyobraża, co pomyślą on i jego żona?

— Kogo obchodzi, co sobie pomyślą?

— Może to obchodzić ławę przysięgłych — powiedział ze śmiertelną powagą Poirot.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

— Nie mówi pan poważnie?

— Mówię poważnie.

— Będą słuchali służby... nie mnie? Poirot przyjrzał się jej.

Co za bezczelność i głupota! Zrażać sobie ludzi, którzy by mogli być pomocni. Głupia, krótkowzroczna polityka. Krótkowzroczna...

Takie piękne, duże, błękitne oczy.

Zapytał spokojnie:

— Dlaczego nie nosi pani szkieł, *madame*? Są pani potrzebne.

— Co? Och, czasami noszę. Nosłam jako dziecko. — I nosiła pani wtedy aparat na zębach? Wytrzeszczyła oczy.

— Prawdę mówiąc, tak. Po co to wszystko?

— Brzydkie kaczątko staje się łabędziem?

— Rzeczywiście byłam brzydka.

— Tak uważała pani matka? Powiedziała ostro:

— Nie pamiętam matki. O czym zresztą, u diabła, mówimy? Podejmie się pan tej pracy?

— Żałuję, ale nie mogę.

— Dlaczego pan nie może?

— Bo w tej sprawie reprezentuję Jamesa Bentleya.

— Jamesa Bentleya? Och, ma pan na myśli tego półgłówka, który zabił sprzątaczkę? Co on ma wspólnego z Upwardami?

— Może... nic.

— No, proszę! Chodzi o pieniądze? Ile?

— Tu pani popełnia wielki błąd, *madame*. Myśli pani zawsze kategoriami pieniędzy. Ma pani pieniądze i uważa, że tylko one się liczą.

— Nie zawsze miałam pieniądze.

— Nie — powiedział Poirot. — Tak też myślałem. — Łagodnie pokiwał głową. — To wiele tłumaczy. I wyjaśnia różne rzeczy...

II

Eve Carpenter wyszła tą samą drogą, którą przyszła, potykając się trochę w świetle, tak jak ją Poirot zapamiętał wcześniej.

Poirot powtórzył sam do siebie po cichu:

— Evelyn Hope...

Więc pani Upward dzwoniła zarówno do Eve Carpenter jak do Deirdre Henderson. Może jeszcze do kogoś. Może...

Weszła z hukiem Maureen.

— Teraz nożyce. Przepraszam, że lunch się opóźnia. Mam trzy pary i żadnych nie mogę znaleźć.

Rzuciła się do biurka i powtórzył się tak dobrze już znany Poirotowi proces. Tym razem Maureen znalazła przedmiot swoich poszukiwań dużo szybciej. Z okrzykiem radości wyszła.

Niemal automatycznie Poirot podszedł i zaczął układać rzeczy w szufladzie. Wosk, papier listowy, koszyczek do robótek, fotografie...

Fotografie...

Stał i wytrzeszczał oczy na trzymane w ręku zdjęcie.

Usłyszał kroki na korytarzu.

Poirot potrafił się poruszać bardzo szybko mimo swego wieku. Rzucił fotografię na sofę, przykrył ją poduszką i usiadł na niej, zanim Maureen ponownie weszła.

— Gdzież, u licha, położyłam dur szlak pełen szpinaku?

— Leży tu, madame.

I wskazał na durszlak leżący obok niego na sofie.

— Więc tu go zostawiłam. — Chwyciła durszlak. — Wszystko dziś opóźnione... — Wzrok jej padł na siedzącego na baczność Poirota. — Po co pan tu siada? Nawet na poduszce to najbardziej niewygodne miejsce w tym pokoju. Wszystkie sprężyny połamane.

— Wiem, madame. Ale... podziwiam ten obraz na ścianie.

Maureen podniosła wzrok na stary obraz przedstawiający oficera marynarki w pełnym rynsztunku, łącznie z teleskopem.

— Tak, jest niezły. Chyba jedyna dobra rzecz w tym domu. Nie jesteśmy pewni, czy to nie Gainsborough. — Westchnęła. — Ale Johnnie nie chce go sprzedać. To jego pra-pra-, a może jeszcze starszy praszczur. Poszedł na dno wraz z okrętem czy też popełnił coś innego, równie rycerskiego. Johnnie jest z niego strasznie dumny.

— Tak — powiedział łagodnie Poirot. — Pani mąż ma z czego być dumny.

III

Była trzecia, kiedy Poirot przybył do domu doktora Rendella.

Zjadł potrawkę z królika, szpinak, twarde ziemniaki i dosyć dziwny pudding, tym razem nie przypalony. Za to teraz pudding „wciągnął w siebie wodę”, jak wyjaśniła Maureen. Poirot wypił pół filiżanki mętnej kawy. Nie czuł się dobrze.

Drzwi otworzyła stara gosposia, pani Scott, i Poirot zapytał o panią Rendell.

Siedziała w bawialni przy nastawionym radiu i aż podskoczyła, kiedy zaanonsowano Poirota.

Zrobiła na nim takie samo wrażenie jak za pierwszym razem. Czujna, ostrożna, wystraszona na jego widok albo też wystraszona na myśl o tym, co on reprezentuje.

Wydała się bledsza i wyglądała bardziej podejrzanie niż przedtem. Poirot był niemal pewny, że jest szczuplejsza.

— Chcę pani zadać jedno pytanie, madame. — Pytanie? Och. O, tak.

— Czy pani Upward dzwoniła do pani w dniu swojej śmierci?

Wytrzeszczyła na niego oczy. Skinęła głową potakująco.

— O jakiej porze?

— Telefon odebrała pani Scott. Myślę, że około szóstej.

— O co chodziło? Prosiła, żeby pani tam przyszła wieczorem?

— Tak. Powiedziała, że pani Oliver i Robin jadą do Kilchester i będzie zupełnie sama, bo Janet miała wieczorem wychodne. Czy mogłabym przyjść i dotrzymać jej towarzystwa.

— Czy proponowała jakąś godzinę?

— Dziewiątą albo po dziewiątej. — I poszła pani?

— Miałam zamiar. Naprawdę miałam zamiar. Nie wiem, jak to się stało, ale tego wieczora po obiedzie twardo zasnęłam. Było po dziesiątej, kiedy się obudziłam. Pomyślałam, że już za późno.

— Nie mówiła pani policji o telefonie pani Upward? Źrenice jej się rozszerzyły. Ich spojrzenie było raczej dziecięco niewinne.

— A powinnam była? Skoro nie poszłam, uznałam, że to bez znaczenia. Może się nawet czułam trochę winna. Gdybym poszła, może by teraz żyła. — Nagle gwałtownie zaczerpnęła tchu. — O, że

też tak to wyszło!

— Niezupełnie tak — powiedział Poirot. Urwał i zapytał:

— Czego się pani boi, *madame!* Gwałtownie nabrała tchu.

— Boję się? Nie.

— Ależ tak.

— Co za nonsens. Czego... czego miałabym się bać? Poirot odczekał chwilę, zanim odpowiedział.

— Pomyślałem, że może się pani boi mnie...

Nie odpowiedziała. Ale jej oczy się rozszerzyły. Powoli pokręciła głowę gestem zaprzeczenia.

Rozdział dwudziesty czwarty

To nas prowadzi prosto do domu wariatów — powiedział Spence.

— Tak źle nie jest — uspokoił go Poirot.

— To pan tak mówi. Najmniejsza nowa informacja wszystko jeszcze bardziej utrudnia. Teraz mi pan mówi, że pani Upward dzwoniła do trzech kobiet. Prosiła, żeby przyszły wieczorem. Dlaczego do trzech? Czyż nie wiedziała, która z nich jest Lily Gamboll? A może w ogóle nie chodzi i Lily Gamboll? Niech pan weźmie tę książkę z nazwiskiem Evy Kane. Przecież z tego wynika, że pani Upward i Eva Kane to jedna i ta sama osoba.

— Co się dokładnie zgadza z wrażeniem, jakie odniósł James Bentley z tego, co mu powiedziała pani McGinty.

— Zdawało mi się, że nie był pewien.

— Nie był pewien. To niemożliwe, aby James Bentley był czegoś pewien. Nie słuchał uważnie, co mówi pani McGinty. Ale jeżeli James Bentley odniósł wrażenie, że pani McGinty mówi o pani Upward, to może być prawda. Wrażenia często się potwierdzają.

— Nasze najnowsze informacje otrzymane z Australii (bo nawiasem mówiąc, to do Australii wyjechała, nie do Ameryki) sprowadzają się chyba do tego, że rzeczona pani Hope zmarła dwadzieścia lat temu.

— Już to słyszałem — powiedział Poirot.

— Zawsze pan wszystko wie, panie Poirot?

Poirot nie zwrócił uwagi na ten sarkazm. Powiedział:

— Z jednej strony znamy „panią Hope” zmarłą w Australii... a z drugiej...?

— Z drugiej mamy panią Upward, wdowę po bogatym przemysłowcu z Północy. Mieszkała z nim w pobliżu Leeds i miała syna. Wkrótce po przyjściu na świat syna mąż zmarł. Chłopiec był skłonny do gruźlicy i od śmierci męża mieszkała głównie za granicą.

— A gdzie się ta saga zaczyna?

— Saga się zaczyna w cztery lata po wyjeździe Evy Kane z Anglii. Upward poznał swoją przyszłą żonę gdzieś za granicą i po ślubie przywiózł do kraju.

— Więc właściwie pani Upward mogłaby być Evą Kane. Jak się nazywała z domu?

— Hargraves, o ile wiem. Ale co nam da nazwisko?

— Rzeczywiście, co? Eva Kane czy Evelyn Hope mogła umrzeć w Australii... ale mogła sobie zorganizować jakąś wygodną chorobę, zmartwychwstać jako Hargraves i dobrze wyjść za mąż.

— Wszystko to stare dzieje — powiedział Spence. — Ale przypuśćmy, że to prawda. Przypuśćmy, że zachowała swoje zdjęcie i że pani McGinty je zobaczyła... wtedy można tylko przyjąć, że to ona zamordowała panią McGinty.

— Czyż to niemożliwe? Robin Upward występował tego wieczora w radiu. Pani Rendell przypomina sobie, że wybrała się do niej tego wieczora, niech pan pamięta, i że nie była w stanie nikogo się dowołać. Według pani Sweetiman Janet Groom jej mówiła, że pani Upward wcale nie jest taka niedołączna, jaką udaje.

— Wszystko to pięknie, Poirot, ale pozostaje fakt, że ona lama została zabita... po rozpoznaniu fotografii. A pan chce teraz dowieść, że te dwa morderstwa się nie łączą.

— Nie, nie. Tego nie twierdzę. Jak najbardziej się łączą.

— Rezygnuję.

— Evelyn Hope. Tu leży klucz do sprawy.

— Evelyn Carpenter? To ma być pana pomysł? Nie Lily Gamboll... ale córka Evy Kane? Ależ na pewno by nie zabiła własnej matki!

— Nie, nie, to nie matkobójstwo.

— Irytuje mnie pan jak diabli, Poirot. Zaraz pan powie, że me wszystkie mieszkają w Broadhinny, Eva Kane i Lily Gamboll, i Janice Courtland, a także Vera Blake. Wszystkie podejrzane.

— Mamy ich więcej niż cztery. Eva Kane była guwernantką dziecka Craigów, niech pan pamięta.

— Co to ma do rzeczy?

— Tam gdzie jest guwernantka, muszą być dzieci... albo przynajmniej jedno dziecko. Co się stało z dziećmi Craiga?

— Zdaje się, że miał dziewczynkę i chłopca. Wzięli je jacyś krewni.

— Trzeba więc brać w rachubę jeszcze dwie osoby. Dwie osoby, które mogły zachować fotografię z trzeciego wymienionego przeze mnie powodu... chęć zemsty.

— Nie wierzę w to — powiedział Spence. Poirot westchnął.

— Mimo wszystko trzeba brać to pod uwagę... Myślę, że :nam prawdę.... choć istnieje jeden fakt, który zbija mnie : tropu.

— Cieszę się, że coś pana zbija z tropu — powiedział Spence.

— Niech mi pan potwierdzi jeden fakt, *mon cher* Spence. Eva Kane wyjechała z kraju przed straceniem Craiga, to prawda?

— Całkowita.

— I w tym czasie oczekiwała dziecka?

— To pewne.

— *Bon Dieu*, jaki byłem głupi — powiedział Herkules Poirot. — Przecież sprawa jest całkiem prosta.

Po tej uwadze omal nie doszło do trzeciego morderstwa — popełnionego na Herkulesie Poirocie przez nadinspektora Spence'a z Komendy Policji w Kilchester.

II

— Proszę — powiedział Herkules Poirot — o rozmowę z przywołaniem. Z panią Ariadną Oliver.

Rozmowy z przywołaniem pani Ariadnę Oliver nie dało się uzyskać bez trudu. Pani Oliver pracowała i nie życzyła sobie, by jej przeszkadzano. Poirot jednak nie zważał na żadne odmowy. Po jakimś czasie usłyszał głos autorki.

Głos był wściekły i raczej zdyszany.

— Tak, o co chodzi? — zapytała pani Oliver. — Musi pan dzwonić? Właśnie teraz? Przyszedł mi do głowy cudowny pomysł morderstwa w sklepie z tekstyliami. Wie pan, takim staroświeckim, gdzie się sprzedaje kombinezony i takie śmieszne kaftaniki z długimi rękawami.

— Nie wiem — powiedział Poirot. — A zresztą mam pani do powiedzenia coś dużo ważniejszego.

— To niemożliwe — orzekła pani Oliver. — W każdym razie dla mnie. Pomysł mi ucieknie, jak nie zanotuję z grubsza pierwszego szkicu.

Poirot nie zwracał uwagi na te męki twórcze. Zadał kilka krótkich i niecierpiących odmowy pytań, na które pani Oliver odpowiedziała cokolwiek mgliście.

— Tak... tak... To Mały Teatr Repertuarowy... Nie wiem, jak się nazywa... No, jeden z nich to był Cecil Coştam, a ten, z którym rozmawiałam, na imię ma Michael.

— Wspaniale, to wszystko, co muszę wiedzieć.

— Ale dlaczego Cecil i Michael?

— Niech pani wraca do swoich kombinezonów i kaftaników z długimi rękawami, madame.

— Pojęcia nie mam, dlaczego nie aresztujecie doktora Rendella — powiedziała pani Oliver. — Zrobiłabym to, gdybym ja była szefem Scotland Yardu.

— Bardzo możliwe. Życzę pani powodzenia z morderstwem w sklepie z tekstyliami.

— Cały pomysł już mi uciekł — powiedziała pani Oliver. — To przez pana.

Poirot uprzejmie przeprosił.

Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do Spence'a.

— Idziemy teraz, a przynajmniej ja idę przeprowadzić wywiad z młodym aktorem, któremu na chrzcie świętym dano imię Michael i który gra mniejsze role w Teatrze Repertuarowym w

Cullenquay. Modłę się tylko, żeby to był ten Michael.

— Co, u diabła...

Poirot zřęcznie odwrócił od siebie wzrastającą wściekłość nadinspektora Spence'a.

— Czy wie pan, *mon ami*, co to jest *secret de Polichinelle*?

— Czy to lekcja francuskiego? — zagrzmał gniewnie nadinspektor.

— *Secret de Polichinelle* to tajemnica, którą wszyscy znają. Z tego powodu ludziom, którzy jej nie znają, nikt o niej nie mówi... bo jeśli wszyscy myślą, że pan o czymś wie, nikt panu o tym nie mówi.

— Sam nie wiem, jak mi się udaje w pana obecności trzymać ręce przy sobie — powiedział nadinspektor Spence.

Rozdział dwudziesty piąty

Przesłuchanie u koronera dobiegło końca — werdykt brzmiał: morderstwo dokonane przez osobę lub osoby nieznane.

Po przesłuchaniu wszyscy, którzy tam byli, na zaproszenie Herkulesa Poirota udali się do domu Na Smugach.

Przyłożywszy się pilnie, Poirot zaprowadził w podłużnej bawialni coś na kształt porządku. Krzesła stanęły równym półkolem, aczkolwiek z trudem przyszło się pozbyć psów, a Herkules Poirot jako samozwańczy przewodniczący zajął miejsce w głębi pokoju i przystąpił do rzeczy, odchrząkując lekkim zmieszaniem.

— *Messieurs et mesdames...* — Urwał. Następne jego słowa zabrzmiały nieoczekiwanie i niemal farsowo:

Pani McGinty nie żyje. Umarła, ale jak?

Na kolanach jak ja, o tak.

Pani McGinty nie żyje. Umarła, ale jak?

Wyciągając rękę jak ja, o tak.

Pani McGinty nie żyje. Umarła, ale jak?

O tak...

Widząc ich grobowe miny, ciągnął dalej: — Nie. Nie zwariowałem. To, że powtarzam państwu dziecinną rymowanąkę, nie znaczy, że popadłem w starcze zdziecinnienie. Niektórzy z państwa bawili się w tę grę jako dzieci. Bawiła się w nią pani Upward. Nawet mi tę rymowanąkę powtórzyła... z pewną zmianą. Powiedziała: „Pani McGinty nie żyje. Umarła, ale jak? Nadstawiając karku jak ja, o tak”. Tak powiedziała i tak postąpiła. Nadstawiła karku... a zatem i ona, jak pani McGinty, zginęła...

W naszym wypadku musimy się cofnąć do samego początku... do pani McGinty... na kolanach szorującej cudze domy. Pani McGinty została zabita, a pewien człowiek, James Bentley, aresztowany, osądzony i skazany. Z pewnych powodów nadinspektor Spence, oficer policji prowadzący tę sprawę, nie był przekonany o winie Bentleya, choć dowody wyraźnie świadczyły przeciw niemu. Przyznałem mu rację. Przyjechałem tu, by odpowiedzieć na pytanie: „Jak umarła pani McGinty i dlaczego umarła?”.

Nie będę państwu opowiadał długich i skomplikowanych historii. Powiem tylko, że wskazówkę dała mi rzecz tak prosta jak buteleczka atramentu. W „Sunday Comet”, gazecie, którą pani McGinty

przeczytała w niedzielę przed śmiercią, opublikowano cztery fotografie. Teraz już wszyscy państwo o tym wiedzą, powiem więc tylko, że pani McGinty rozpoznała w jednej z nich fotografię, którą widziała w którymś z domów, gdzie sprzątała.

Powiedziała o tym Jamesowi Bentleyowi, choć on wtedy, a zresztą tak samo i potem, nie przywiązał do tego najmniejszej wagi. Właściwie prawie jej nie słuchał. Ale odniósł wrażenie, że pani McGinty widziała tę fotografię u pani Upward i że wspominając o kobiecie, która nie byłaby taka dumna, gdyby wszystko się wydało, mówiła o pani Upward. Nie możemy opierać się na tym jego oświadczeniu, ale z pewnością użyła zwrotu o dumie, a że pani Upward była kobietą dumną i nie znoszącą sprzeciwu, nie ulega wątpliwości.

Jak wszyscy państwo wiedzą — jedni byli przy tym obecni, a inni później się dowiedzieli — pokazałem cztery fotografie u pani Upward. W wyrazie jej twarzy ujrzałem błysk zaskoczenia i rozpoznania i powiedziałem jej o tym. Musiała mi przyznać rację. Potwierdziła, że „jedną z tych fotografii gdzieś widziała, ale nie może sobie przypomnieć gdzie”. Zapytana którą, wskazała na zdjęcie małej Lily Gamboll. Ale to, pozwolą sobie państwo powiedzieć, nie było prawdą. Z jakichś powodów pani Upward wolała zachować dla siebie, kogo rozpoznała. Wskazała na inną fotografię, żeby mnie zwieść.

Jednej osoby wszakże nie zwiodła... mordercy. Jedna osoba wiedziała, którą fotografię rozpoznała pani Upward. I w tej sprawie nie będę się rozwodził — ta fotografia przedstawiała Evę Kane, kobietę, która była współniczką, ofiarą czy też złym duchem w słynnej sprawie Craiga o morderstwo.

Na drugi dzień wieczorem zostali zabita pani Upward. Została zabita z tego samego powodu, z którego zginęła pani McGinty. Pani McGinty wyciągnęła rękę, a pani Upward nadstawiła karku... skutek był ten sam.

Otóż zanim pani Upward zginęła, ktoś zadzwonił do trzech kobiet. Do pani Carpenter, pani Rendell i panny Henderson. Wszystkie trzy telefony przekazywały prośbę pani Upward, aby dane osoby przyszły ją odwiedzić tego wieczora. Tego dnia jej służąca miała wychodne, a syn z panią Oliver jechali do Cullenauay. Wyglądaloby więc na to, że pani Upward chce prywatnie porozmawiać z każdą z tych trzech kobiet.

Otóż dlaczego właśnie trzy kobiety? Czy pani Upward wiedziała, gdzie widziała fotografię Ewy Kane? Czy wiedziała, że ją widziała, ale nie pamiętała gdzie? Czy te trzy kobiety mają ze sobą coś wspólnego? Wydawałoby się, że nic poza wiekiem. Wszystkie mają mniej więcej około trzydziestki.

Może czytali państwo ten artykuł w „Sunday Comet”. Maluje on prawdziwie sentymentalny obraz córki Ewy Kane w przyszłości. Kobiety, które pani Upward zaprosiła, by przyszły się z nią zobaczyć, były wszystkie we właściwym wieku, aby być córką Ewy Kane.

Wydawałoby się więc, że w Broadhinny mieszka młoda kobieta, która jest córką słynnego mordercy Craiga i jego kochanki Ewy Kane, a także że ta młoda kobieta gotowa jest na wszystko, byleby nikt się o tym nie dowiedział. Posunie się w istocie do dwukrotnego morderstwa. Gdyż kiedy panią Upward znaleziono martwą, na stoliku stały dwie filiżanki po kawie, a na filiżance gościa były słabe ślady szminki.

Teraz wróćmy do trzech kobiet, które otrzymują telefoniczne zaproszenie. Otrzymuje je pani Carpenter, ale ona twierdzi, że nie poszła do Szczodrzeńców tego wieczora. Pani Rendell miała zamiar to uczynić, ale zasnęła w fotelu. Panna Henderson poszła do Szczodrzeńców, ale w domu było ciemno, na jej wołania nikt nie odpowiadał, więc odeszła.

Tak wyglądają relacje tych trzech kobiet, ale istnieją świadectwa, które im przeczą. Jest ta druga filiżanka po kawie ze śladami szminki i świadek z zewnątrz; ta dziewczyna, Edna, która twierdzi stanowczo, że widziała, jak jakaś jasnowłosa kobieta weszła do domu. Świadczy o tym także zapach perfum... kosztownych i egzotycznych perfum, jakich spośród zainteresowanych używa tylko pani Carpenter.

Eve Carpenter przerwała mu:

— To kłamstwo! To ohydne, podłe kłamstwo! To nie byłam ja! Wcale tam nie chodziłam! Nie zbliżałam się do tego miejsca. Guy, nic nie możesz zaradzić na te kłamstwa?

Guy Carpenter był biały z wściekłości.

— Pozwoli pan sobie powiedzieć, panie Poirot, że istnieje prawo przeciw obmowie i wszyscy tu obecni są świadkami.

— Czy obmową jest stwierdzenie, że pańska żona używa pewnego rodzaju perfum... a także, pozwoli pan dodać, pewnego rodzaju szminki?

— To śmieszne! — zawołała Eve. — Absolutnie śmieszne! Każdy mógł rozpylić moje perfumy. — Nieoczekiwanie Poirot uśmiechnął się do niej promiennie.

— *Mais oui*, właśnie! Każdy mógł to zrobić. Nic skomplikowanego, najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. Niezręczna i niewybredna. Tak niezręczna, że jeśli o mnie chodzi, decydująca o niepowodzeniu. Co więcej, dała mi ona, jak to się mówi, do myślenia. Tak, dała mi do myślenia.

Perfumy... i ślady szminki na filiżance. Ależ bardzo łatwo usunąć ślady szminki z filiżanki... zapewniam państwa, że można ją zetrzeć bez śladu z najwyższą łatwością. Można też usunąć i umyć same filiżanki. Dlaczego nie? W domu nie było nikogo. Ale tego nie zrobiono. Postawiłem sobie pytanie: dlaczego? I wydaje się, że odpowiedzią na to jest rozmyślnie podkreślenie kobiecości, zaakcentowanie faktu, że to morderstwo popełnione przez kobietę. Zastanowiłem się nad telefonami do tych trzech kobiet... wszystkie one zostały przekazane. W żadnym z trzech wypadków ich odbiorczynie nie rozmawiały same z panią Upward. Więc może to nie pani Upward telefonowała? Był to ktoś, komu zależało na tym, żeby wmieszać w zbrodnię kobietę... jakąkolwiek kobietę. I znów zadałem sobie pytanie: dlaczego? A na to może być tylko jedna odpowiedź, że to nie kobieta zabiła panią Upward... lecz mężczyzna.

Rozejrzał się po zebranych. Wszyscy siedzieli w zupełnym milczeniu. Zareagowały tylko dwie osoby.

Eve Carpenter powiedziała z westchnieniem:

— Teraz mówi pan z sensem.

Pani Oliver, energicznie kiwając głową, rzekła:

— Oczywiście.

— Doszedłem więc do tego punktu... mężczyzna zabił panią Upward i mężczyzna zabił panią McGinty! Kto? Powód morderstwa musiał być wciąż ten sam — wszystko się wiąże z fotografią. W czym posiadaniu znajdowała się ta fotografia? To pierwsze pytanie. I dlaczego ją przechowywano?

No, może to nie jest takie trudne. Powiedzmy, że na początku zachowano ją z powodów sentymentalnych. Skoro tylko pani McGinty została... usunięta, fotografii nie trzeba było niszczyć. Ale po drugim morderstwie było inaczej. Tym razem fotografię stanowczo powiązano z morderstwem. Zachować fotografię jest teraz rzeczą niebezpieczną. A zatem wszyscy państwo się zgodzą, że na pewno zostanie zniszczona.

Rozejrzał się po otaczających go głowach, które mu przytaknęły.

— A mimo wszystko fotografia nie została zniszczona! Nie, nie została zniszczona! Wiem o tym, bo ją znalazłem. Znalazłem ją parę dni temu. Znalazłem ją w tym domu. W szufladzie biurka, które państwo widzą tu pod ścianą. Mam ją tutaj.

I wydobył spłowiałą fotografię pretensjonalnie uśmiechniętej dziewczyny z różami.

— Tak — powiedział Poirot. — To Eva Kane. I na odwrocie napisane są ołówkiem dwa słowa. Mam państwu powiedzieć, co to za słowa? „Moja matka”...

Jego oczy, poważne i oskarżające, spoczęły na Maureen Summerhayes. Odgarnęła włosy z twarzy i patrzyła się w niego szeroko otwartymi, nieprzytomnymi oczami.

— Nie rozumiem. Nigdy...

— Tak, pani Summerhayes, nie rozumie pani. Mogą być tylko dwa powody zachowania tej fotografii po drugim morderstwie. Pierwszy z nich to niewinny sentyment. Pani nie poczuwa się do żadnej winy, a zatem może pani zachować fotografię. Sama nam pani kiedyś powiedziała, któregoś dnia u Carpenterów, że pani jest adoptowanym dzieckiem. Wątpię, czy wiedziała pani kiedy, jak się nazywała pani rodzona matka. Ale kto inny wiedział. Ktoś, kto dziedziczy dumę całego rodu... Dumę, która mu każe trwać przy domu ojców, dumę swoich przodków i pochodzenia. Ten człowiek prędzej umrze, niż dopuści, aby ludzie... i jego dzieci... dowiedzieli się, że Maureen Summerhayes jest córką mordercy Craiga i Evy Kane. Ten człowiek, jak powiedziałem, prędzej by umarł. Ale to by się na nic nie zdało. Zamiast tego więc, powiedzmy, gotów jest sam zabić.

Johnnie Summerhayes wstał z krzesła. Jego głos, kiedy się odezwał, zabrzmiał spokojnie, niemal przyjaźnie.

— Opowiada nam pan tu jakieś głupstwa. Bawi się pan snuciem teorii? Bo to teorie, i tyle! Opowiada pan o mojej żonie rzeczy...

Nagle w przypiływie gniewu wybuchnął:

— Ty cholerna, brudna świnio...

Szybkość, z jaką skoczył przez pokój, wszystkich zaskoczyła. Poirot zręcznie uskoczył, a nadinspektor Spence błyskawicznie znalazł się między Summerhayesem a Poirotem.

— No, no, majorze Summerhayes, spokój... spokój... Summerhayes opanował się, wzruszył ramionami, powiedział:

— Przepraszam. Rzeczywiście śmieszne! Ostatecznie... każdy może wsunąć fotografię do szuflady.

— Dokładnie tak — powiedział Poirot. — A co ciekawe w tej fotografii, to że nie ma na niej odcisków palców.

Urwał, po czym łagodnie pokiwał głową.

— A powinny być — dodał. — Gdyby to pani Summerhayes ją przechowywała, robiłaby to z całą niewinnością, a wtedy powinny być na niej ślady jej odcisków palców.

Maureen wykrzyknęła:

— Chyba pan zwariował! Nigdy w życiu nie widziałam tej fotografii... nie licząc tego dnia u pani Upward!

— Ma pani szczęście — powiedział Poirot — że wiem, że mówi pani prawdę. Tę fotografię włożono do szuflady na parę minut przedtem, nim ją tam znalazłem. Dwa razy dziś rano wyrzucano zawartość tej szuflady na podłogę i dwa razy wkładałem wszystko z powrotem. Za pierwszym razem nie było fotografii w szufladzie, za drugim razem była. Ktoś ją tam tymczasem podłożył... i wiem kto.

W jego głosie pojawił się nowy ton. Nie był już śmiesznym człowieczkiem z absurdalnym wąsem i farbowanymi włosami, był myśliwym bliskim schwytania swojej zwierzyny.

— Te zbrodnie popełnił mężczyzna i popełnił je dla najprostszej z przyczyn... dla pieniędzy. W domu pani Upward znaleziono książkę, a na pierwszej stronie tej książki wypisane są słowa „Evelyn Hope”. Hope to nazwisko, które przyjęła Eva Kane, kiedy wyjeżdżała z Anglii. Jeżeli jej prawdziwym imieniem było Evelyn, to według wszelkiego prawdopodobieństwa dała imię Evelyn swemu dziecku, kiedy się urodziło. Ale Evelyn jest tak samo imieniem męskim jak żeńskim. Dlaczego byliśmy przekonani, że dziecko Evy Kane było dziewczynką? Głównie dlatego, że tak pisała „Sunday Comet”. Ale „Sunday Comet” głębiej się tym nie interesowała. Przyjęła to na podstawie romantycznego wywiadu przeprowadzonego z Evą Kane. A Eva Kane wyjechała z Anglii przed urodzeniem dziecka... nikt więc nie mógł wiedzieć, jakiej będzie płci.

To tu dałem się zwieść. Romantycznej niedokładności prasy.

Evelyn Hope, syn Evy Kane, przyjeżdża do Anglii. Jest utalentowanym człowiekiem i zwraca na siebie uwagę bardzo bogatej kobiety, która nic nie wie o jego pochodzeniu... zna tylko romantyczną

historyjkę, jaką on uznaje za stosowne opowiedzieć. (Była to piękna historyjka... o tragicznej młodej tancerce umiejącej na gruzlicę w Paryżu!)

Jest samotną kobietą, która niedawno straciła własnego syna. Utalentowany młody dramaturg jednostronnym aktem prawnym dostaje jej nazwisko.

Ale pańskie prawdziwe nazwisko brzmi Evelyn Hope, prawda, panie Upward?

Robin Upward wrzasnął piskliwie:

— Nic podobnego! Nie wiem, o czym pan mówi!

— Trudno panu naprawdę liczyć, że się pan tego wyprze. Są ludzie, którzy pana znają pod dawnym nazwiskiem. Podpis w książce, Evelyn Hope, zrobiony jest pana ręką... tym samym charakterem pisma co słowa „Moja matka” na odwrocie tej fotografii. Pani McGinty zobaczyła fotografię i napis na niej, kiedy sprzątała pańskie rzeczy. Powiedziała panu o tym po przeczytaniu „Sunday Comet”. Pani McGinty przypuszczała, że to fotografia pani Upward, kiedy była młoda, ponieważ nie miała pojęcia, że pani Upward nie jest pana rodzoną matką. Ale pan wiedział, że jeśli tylko piśnie o tej sprawie i rzecz dojdzie do uszu pani Upward, będzie to oznaczało koniec wszystkiego. Pani Upward fanatycznie wierzyła w prawo dziedziczości. Nie tolerowałaby ani przez chwilę adoptowanego syna, który jest synem znanego mordercy. I nie wybaczyłaby panu kłamstwa na ten temat.

Tak więc za wszelką cenę należało uciszyć panią McGinty. Obiecał jej pan może jakiś mały prezent za dyskrecję. Na drugi dzień wieczorem odwiedził ją pan w drodze do radia... i zabił! O tak...

Poirot gwałtownym ruchem chwycił toporek do cukru z półki, zamachnął się nim i opuścił, jakby miał zadać Robinowi Upwardowi cios w głowę.

Gest ten był tak groźny, że parę osób z kręgu słuchaczy krzyknęło.

Robin Upward wrzasnął. Wysokim, przerażonym głosem.

— Nie! — krzyczał. — To był wypadek! Przysięgam, że to był wypadek. Nie chciałem jej zabić. Straciłem głowę. Przysięgam!

— Zmył pan krew i odłożył toporek na miejsce w tym pokoju, gdzie pan go znalazł. Ale są nowe naukowe sposoby wykrywania śladów krwi... i wywoływania zatartych odcisków palców.

— Mówię panu, że wcale nie miałem zamiaru jej zabijać... wszystko to pomyłka... A zresztą to nie moja wina... nie ponoszę odpowiedzialności. Mam to we krwi. Nic na to nie poradzę. Nie możecie mnie powiesić za coś, co nie jest moją winą...

Spence mruknął pod nosem:

— Nie możemy? Przekona się pan, czy nie możemy! A głośno powiedział poważnym, oficjalnym tonem:

— Muszę pana ostrzec, panie Upward, że cokolwiek pan powie...

Rozdział dwudziesty szósty

Naprawdę nie pojmuję, *monsieur* Poirot, jak pan w ogóle wpadł na to, żeby podejrzewać Robina Upwarda.

Poirot z zadowoleniem popatrzył na zwrócone ku sobie twarze.

Zawsze lubił wyjaśnienia.

— Powinienem go być zacząć podejrzewać dużo wcześniej. Wskazówką, taką jasną wskazówką, było zdanie wypowiedziane przez panią Summerhayes tamtego dnia na koktajlu. Powiedziała do Robina Upwarda: „Nie lubię być w sytuacji adoptowanego dziecka, a ty?”. Te dwa słowa „a ty” były wiele mówiące. Znaczyły, i tylko to mogły znaczyć, że pani Upward nie jest rodzoną matką Robina.

Samej pani Upward chorobliwie zależało na tym, aby nikt się nie dowiedział, że Robin nie jest jej rodzonym synem. Pewnie za wiele się nasłuchiwała plugawych uwag o zdolnych młodych ludziach mieszkających ze starszymi kobietami i na ich koszt. I rzeczywiście mało kto wiedział, tylko nieliczna teatralna *coterie*, w której po raz pierwszy się na niego natknęła. Miała w kraju niewielu bliskich znajomych, tak długo mieszkając za granicą, ale i tak wołała przyjechać i zamieszkać tutaj, z dala od rodzinnego Yorkshire. Nawet spotykając przyjaciół z dawnych czasów, nie wyprowadzała ich z błędu, kiedy zakładali, że Robin jest tym samym Robinem, którego znali jako małego chłopca.

Ale od samego początku coś mnie uderzyło jako nie całkiem naturalne w Szczodrzeńcach. Stosunek Robina do pani Upward nie był ani stosunkiem psutego dziecka, ani stosunkiem oddanego syna. Był to stosunek protegowanego do protektorki. W tym dość wymyślnym tytule „Mądre” było coś teatralnego. Pani Upward, mimo że wyraźnie lubiła Robina, podświadomie traktowała go jako cenną własność, którą nabyła za pieniądze.

Mamy więc Robina Upwarda, wygodnie urządzonego, z sakiewką Mądre wspierającą jego próby literackie, kiedy w tym niebezpiecznym świecie zjawia się pani McGinty, która rozpoznaje fotografię przechowywaną przez niego w szufladzie — fotografię z wypisanymi na odwrocie słowami „Moja matka”. Jego matka, która, jak powiedziała pani Upward, była utalentowaną tancerką zmarłą na gruźlicę! Pani McGinty, oczywiście, myśli, że jest to fotografia młodej pani Upward, przyjmuje bowiem, że pani Upward jest rodzoną matką Robina. Nie sądzę, żeby szantaż praktycznie w ogóle przyszedł pani McGinty do głowy, mogła jednak liczyć na „jakiś mały prezencik” w nagrodę za trzymanie języka za zębami na temat przebrzmiałej już historii, która nie byłaby miła kobiecie tak dumnej jak pani Upward.

Ale Robin Upward nie zamierzał ryzykować. Kradnie toporek do cukru, o którym pani Summerhayes ze śmiechem mówi jako o idealnym narzędziu zbrodni, i na drugi dzień wieczorem po drodze do radia wpada do pani McGinty. Ona wprowadza go do bawialni, nic nie podejrzewając, a on ją zabija. Wie, gdzie trzymała oszczędności — wiedziało o tym chyba całe Broadhinny — i aranżuje włamanie, ukrywając pieniądze poza domem. Podejrzenie pada na Bentleya i on zostaje

aresztowany. Teraz sprytny Robin Upward jest zupełnie bezpieczny.

Ale nagle ja pokazuję cztery fotografie i pani Upward rozpoznaje fotografię Evy Kane jako identyczną z fotografią tancerki, matki Robina! Niewiele jej trzeba czasu, żeby wszystko to przemyśleć. Idzie o morderstwo. Czy to możliwe, aby Robin...? Nie, nie chce w to uwierzyć.

Jakie by na koniec podjęła kroki, nie wiemy. Ale Robin nie ryzykuje. Aranżuje całą misę *en scene*. Wyjazd do Teatru Repertuarowego wieczorem, kiedy Janet ma wychodne, telefony, filiżankę starannie umazaną szminką zabraną z torebki Evy Carpenter, kupuje nawet buteleczkę jej łatwych do identyfikacji perfum. Projektuje całą scenografię i dostarcza rekwizyty. Kiedy pani Oliver czekała w wozie, Robin dwa razy wbiegał do domu. Morderstwo było kwestią sekund. Pozostawało już potem szybkie rozmieszczenie rekwizytów. Ze śmiercią pani Upward dziedziczył na podstawie testamentu wielki majątek i nie padło na niego najmniejsze podejrzenie, gdyż wszystko wskazywało, że zbrodni dokonała kobieta. Przy trzech kobietach odwiedzających tego wieczora dom, podejrzenie z całą pewnością padłoby na jedną z nich. I tak się rzeczywiście stało.

Ale Robin, jak wszyscy zbrodniarze, był nieostrożny i zbyt pewny siebie. W domu nie tylko została książka z jego prawdziwym nazwiskiem, ale zatrzymał też, dla swoich własnych celów, tę fatalną fotografię. Dużo bezpieczniej dla niego byłoby ją zniszczyć, ale wciąż liczył na to, że w odpowiednim momencie będzie się mógł nią posłużyć dla zrzucenia podejrzeń na kogo innego.

Przypuszczalnie myślał wtedy o pani Summerhayes. To mogło być powodem, dla którego przeniósł się do domu Na Smugach. Ostatecznie toporek do cukru należał do niej i jak wiedział, pani Summrrhayes była adoptowanym dzieckiem i mogła mieć trudności z dowiedzeniem, że nie jest córką Evy Kane.

Kiedy jednak Deirdre Henderson się przyznała, że była na miejscu zbrodni, wpadł na pomysł, żeby podrzucić fotografię między jej rzeczy. Spróbował to zrobić, posługując się drabiną zostawioną przez ogrodnika pod oknem. Ale pani Wetherby to osoba nerwowa i nalegała, aby wszystkie okna w domu pozostawały zamknięte, toteż to się Robinowi nie udało. Wrócił prosto tutaj i wsunął fotografię do szuflady, którą, nieszczęściem dla niego, tuż przedtem przeszukałem.

Wiedziałem więc, że fotografia została podrzucona, i wiedziałem przez kogo; mogła to zrobić jedna tylko osoba w tym domu, osoba, która pracowicie pisała na maszynie nad moją głową.

Ponieważ nazwisko Evelyn Hope wypisane było na pierwszej stronie książki znalezionej w Szczodrzeńcach, Evelyn Hope musiała być albo pani Upward, albo Robin Upward...

Zwiodło mnie imię Evelyn... łączyłem je z panią Carpenter, ponieważ ma ona na imię Eve. Ale Evelyn jest imieniem zarówno żeńskim, jak męskim.

Przypomniałem sobie rozmowę w Małym Teatrze Repertuarowym, o której opowiedziała mi pani Oliver. Trzeba było, żeby ten młody aktor, który z nią rozmawiał, potwierdził moją teorię — teorię, że Robin Upward nie jest rodzonym synem pani Upward. Z tego bowiem, co mówiła pani Oliver, jasno wynikało, że zna prawdę. I wiele mówiące byty jego słowa o rychłej zemście pani Upward na młodym człowieku, który ją oszukał co do swego pochodzenia.

To prawda, że powinienem był dużo szybciej przejrzeć całą mistyfikację. Przeszkadzał mi pewien poważny błąd. Uważałem, że ktoś mnie rozmyślnie popchnął, żebym wpadł pod pociąg... i że osobą, która to zrobiła, jest morderca pani McGinty. Otóż Robin Upward był praktycznie jedyną osobą w Broadhinny, która w tym czasie nie mogła być w Kilchester.

Rozległ się stłumiony chichot Johnniego Summerhayesa.

— Pewno jakaś staruszka z koszem. Te się rozpychają. Poirot powiedział:

— Robin Upward był właściwie zbyt zarozumiały, żeby w ogóle się mnie obawiać. To typowe dla morderców. Może na szczęście. Gdyż w tym wypadku mało było dowodów.

Poruszyła się pani Oliver.

— Chce pan powiedzieć — wtrąciła z niedowierzaniem — że Robin zamordował matkę, kiedy siedziałam w wozie przed domem? I nie miałam o tym najmniejszego pojęcia? Nie zdążyłby!

— Och, owszem, mógł zdążyć. Nasza ocena czasu jest na ogół zupełnie niedorzeczna. Niech pani tylko zwróci kiedy uwagę, jak szybko można zmienić dekorację. W tym wypadku szło głównie o rekwizyty.

— Dobry teatr — mruknęła mechanicznie pani Oliver.

— Tak, było to przede wszystkim morderstwo teatralne. Bardzo pomysłowe.

— A ja siedziałam w samochodzie... i nie miałam o niczym pojęcia!

— Obawiam się — mruknął Poirot — że pani kobieca intuicja wzięła sobie dzień wolny...

Rozdział dwudziesty siódmy

Nie wracam do Breathera i Scuttle'a — oświadczyła Maude Williams. — Zresztą to parszywa firma.

— I spełniła już swoją funkcję.

— Co pan chce przez to powiedzieć, *monsieur* Poirot?

— A po co przyjechała pani w te strony?

— Pewno jako wszechwiedzący myśli pan, że pan wie?

— Mam swoje domysły.

Poirot spoglądał w zadumie na włosy Maude.

— Byłem bardzo dyskretny — powiedział. — Przyjęto, że kobietą, która weszła do domu pani Upward, tą jasnowłosą kobietą którą widziała Edna, była pani Carpenter i że wyparła się tego po prostu ze strachu. Skoro Robin Upward zabił panią Upward, jej obecność nie miała większego znaczenia niż obecność Deirdre Henderson. Ale mimo to nie sądzę, żeby to ona tam była. Myślę, panno Williams, że kobietą widzianą przez Ednę była pani.

— Dlaczego ja?

Jej głos zabrzmiał twardo.

Poirot odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Dlaczego się pani tak interesowała Broadhinny? Dlaczego, kiedy tam pani pojechała, poprosiła pani Robina Upwarda o autograf... zbieranie autografów nie jest w pani naturze. Co pani wiedziała o Upwardach? A przede wszystkim dlaczego przyjechała pani w te strony? Skąd pani wiedziała, że Eva Kane umarła w Australii, i znała pani nazwisko, które przyjęła po wyjeździe z Anglii?

— Domyślny pan jest, co? Nie mam nic do ukrycia, prawdę mówiąc.

Otworzyła torebkę. Ze zniszczonego notesu wyjęła niewielki wycinek gazetowy, wystrzępiony ze starości. Widniała na nim twarz, którą Poirot znał już dobrze, sztucznie uśmiechnięta twarz Evy Kane.

W poprzek wypisane były słowa: „Ona zabiła moją matkę.”

Poirot oddał jej wycinek.

— Tak. Tak też myślałem. Pani prawdziwe nazwisko brzmi Craig?

Maude skinęła potakująco głową.

— Wychowali mnie krewni... byli bardzo uczciwi. Ale byłam już na tyle duża, kiedy wszystko to się stało, żeby nie zapomnieć. Wiele o tym myślałam. O niej. Była niegodziwym człowiekiem, tak jest... dzieci wiedzą! Mój ojciec był po prostu słaby. I ona go omotała. Ale to on poniósł karę. Za to, jak zawsze uważałam, co ona zrobiła. Och tak, był współwinny po fakcie, ale to przecież nie całkiem to samo? Zawsze się chciałam dowiedzieć, co się z nią stało. Kiedy dorosłam, wynajęłam detektywów. Wytropili ją w Australii i na koniec donieśli, że umarła. Zostawiła syna... nazywał się Evelyn Hope.

Cóż, zdawało się, że to zamyka sprawę. Ale potem zaprzyjaźniłam się z młodym aktorem. Wspomniiał o kimś, kto się nazywał Evelyn Hope i przyjechał z Australii, ale teraz nazywa się Robin Upward i pisze sztuki. Zainteresowałam się. Pewnego wieczora pokazano mi Robina Upwarda... i był z matką. Więc pomyślałam, że ostatecznie Eva Kane żyje. I zadaje szyku, obnosząc się z kupą forsy.

Znalazłam tu pracę. Byłam ciekawa... i więcej niż ciekawa. W porządku, przyznaję, pomyślałam, że dobrze byłoby w jakiś sposób wyrównać z nią rachunki... Kiedy wyciągnął pan całą tę historię z Jamesem Bentleyem, doszłam do wniosku, że to pani Upward zabiła panią McGinty. Nowa sztuczka Evy Kane. Przypadkiem dowiedziałam się od Michaela Westa, że Robin Upward i pani Oliver wybierają się na przedstawienie w Teatrze Repertuarowym w Cullonquay. Postanowiłam jechać do Broadhinny i stawić czoło tej kobiecie. Miałam zamiar... nie wiem dobrze, co miałam zamiar zrobić. Nic przed panem nie ukrywam... wzięłam ze sobą mały pistolet. Żeby ją nastraszyć? Czy więcej? Uczciwie mówię, nie wiem...

No, i poszłam tam. W domu nikt się nie odzywał. Drzwi nie były zamknięte. Weszłam. Wie pan, jak ją zastałam. Siedziała martwa, twarz miała siną i obrzmiałą. Wszystko, o czym myślałam, wydało mi się głupie i melodramatyczne. Zrozumiałam, jak już przyszło co do czego, że nigdy właściwie nie chciałam nikogo zabić. Ale zdałam sobie sprawę, że niezręcznie byłoby się tłumaczyć, co robiłam w tym domu. Noc była zimna, miałam rękawiczki, widziałam więc, że nie pozostawiłam odcisków palców, i ani przez moment nie przypuszczałam, że ktoś mnie widział. To wszystko. — Urwała i dodała nagle: — Co pan z tym zrobi?

— Nic — powiedział Herkules Poirot. — Życzę pani szczęścia w życiu, to wszystko.

Epilog

Herkules Poirot i nadinspektor Spence czcili tę okazję w La Vieille Grand-mère.

Kiedy podano kawę, Spence oparł się na krześle i wydał głębokie westchnienie sytości.

— Jedzenie całkiem tu niezłe — powiedział z uznaniem. — Trochę może podrasowane na francuskie, ale ostatecznie gdzie pan dziś dostanie przyzwoity stek z frytkami?

— Jadłem tu obiad tego wieczora, kiedy pierwszy raz przyszedł pan do mnie — powiedział pogrążony we wspomnieniach Poirot.

— Ach, wiele wody upłynęło od tamtej pory. Muszę to panu przyznać, *monsieur* Poirot, udało się panu. — Lekki uśmiech zmarszczył jego nieruchomą twarz. — Szczęściem ten młody człowiek nie zdawał sobie sprawy, jak niewiele mieliśmy dowodów. Ba, sprytna obrona rozbiłaby je w proch i w pył! Ale on zupełnie stracił głowę i wszystko wygadał. Wygadał się i pogrążył po uszy. Szczęściem dla nas!

— Nie było to wyłącznie szczęście — upomniał go Poirot. — Podprowadziłem go, tak jak się podprowadza dużą rybę! Już myślał, że wziąłem na serio dowody obciążające panią Summerhayes... a kiedy się okazało, że nie, dał się sprowokować i pękł. A poza tym to tchórz. Zamachnąłem się tym toporkiem, a ten od razu myślał, że chcę go uderzyć. Silny strach zawsze wydobywa prawdę na jaw.

— Całe szczęście, że pan nie ucierpiał na skutek reakcji pana Summerhayesa — zauważył Spence z kwaśnym uśmiechem. — Ale ma temperament, i jaki porywczy! Ledwie się na czas znalazłem między wami. Już panu wybaczył?

— O, tak. Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Podarowałem też pani Summerhayes książkę kucharską i osobiście ją nauczyłem robić omlety. *Bon Dieu*, co ja w tym domu wycierpiałem!

Zamknął oczy.

— Skomplikowana sprawa, cała ta historia — rozważał Spence, nie interesując się bolesnymi wspomnieniami Poirota. — Dowodzi po prostu, jak słuszne jest to stare powiedzenie, że każdy ma coś do ukrycia. Weźmy panią Carpenter, o mały włos nie została aresztowana za morderstwo, jeżeli jakaś kobieta zachowywała się kiedykolwiek tak, jakby była winna, to ona wtedy. I dlaczego?

— *Eh bien*, dlaczego? — zapytał z ciekawością Poirot.

— Zwykła sprawa, chodziło o niepiękną przeszłość. Była fordanserką... i wesołą dziewczynką z kupą znajomych panów! Nie była wojenną wdową, kiedy przyjechała i osiadła w Broadhinny. Tylko kimś, kogo się nazywa „nieformalną żoną”. Oczywiście ktoś taki nie byłby dość dobry dla sztywniaka w rodzaju Guya Carpentera, więc wymyśliła inną bajeczkę. I odchodziła od zmysłów, żeby się to nie

wydało, kiedy zaczęliśmy grzebać w przeszłości różnych ludzi.

Wypił łyczek kawy i po cichu zachichotał.

— A weźmy tych Wetherbych. Co za ponury dom. Nienawiść i złość. Ta dziwaczna sfrustrowana dziewczyna. A co się za tym kryje? Nic złego. Tylko pieniądze. Zwykłe funciaki.

— Aż takie to proste?

— Pieniądze ma dziewczyna... i to sporo. Dostała po ciotce. Więc matka nie wypuszcza jej z rąk, zęby się przypadkiem za kogo nie wydała. Ojczym jej nienawidzi, bo to ona ma forszę i płaci rachunki. Wygląda mi na nieudacznika, któremu nic, do czego się brał, nie wyszło. Żalotne zero, a co do pani W., to prawdziwa słodzona trucizna.

— Zgadzam się z panem. — Poirot skinął głową z zadowoleniem. — Szczęśliwie się składa, że to dziewczyna ma pieniądze. Tym łatwiej będzie doprowadzić do jej małżeństwa z Jamesem Bentleyem.

Nadinspektor Spence wyglądał na zaskoczonego.

— Wychodzi za Jamesa Bentleyego? Deirdre Henderson? Kto to powiedział?

— Ja to mówię — powiedział Poirot. — Ja się zajmuję tą sprawą. Mam teraz za dużo wolnego czasu, kiedyśmy rozwiązali nasz mały problem. Zajmę się tym i doprowadzę do tego małżeństwa. Jak dotąd obojgu zainteresowanym nie przyszło to na myśl. Ale czują do siebie pociąg. Gdyby ich pozostawić samych sobie, nic by z tego nie wyszło... ale mają do czynienia z Herkulesem Poirotem. Zobacz pan! Sprawa ruszy.

Spence skrzywił się.

— Nie przeszkadza panu, że wtyka pan nos w nie swoje sprawy?

— Mon cher, to nie brzmi dobrze w pana ustach — napominał go Poirot.

— No, tu mnie pan zna. Ale przecież James Bentley to oferma.

— Oczywiście, że oferma! W tej chwili na serio się gryzie, że nie zastał powieszony.

— Powinien dziękować panu na klęczkach — powiedział Spence.

— Powiedzmy, że raczej panu. Ale najwidoczniej on jest innego zdania.

— Stuknięty facet.

— Święte słowa, a jednak aż dwie kobiety gotowe się nim zająć. Natura jest pełna niespodzianek.

— Myślałem, że to Maude Williams miał pan zamiar z nim skojarzyć.

— Sam wybierze — powiedział Poirot. — Sam... jak to wy mówicie?... przyzna jabłko zwycięzcy. Ale myślę, że wybierze Deirdre Henderson. Maude Williams ma za wiele energii i witalności. Przy niej jeszcze głębiej by się schował w swojej skorupie.

— Pojęcia nie mam, dlaczego któraś z nich miałaby go chcieć. — Zaiste, niezbadane są drogi natury.

— Ale i tak będzie pan miał ręce pełne roboty. Przede wszystkim ustawić go na linii startu... a potem wyrwać dziewczynę z jadowitych pazurów mamusi... Będzie się broniła zębami i pazurami!

— Sukces przypadnie silniejszemu.

— Chciał pan chyba powiedzieć: wąsatemu...

Spence ryknął śmiechem. Poirot pogłaskał wąsy i zaproponował brandy.

— Nie mam nic przeciwko brandy, monsieur Poirot. Poirot wydał polecenie.

— Ach — powiedział Spence. — Wiedziałem, że jest jeszcze coś, co chciałem panu powiedzieć. Pamięta pan Rendellów?

— Naturalnie.

— No, więc kiedyśmy go sprawdzali, wyszło na jaw coś dziwnego. Wygląda na to, że kiedy zmarła jego pierwsza żona w Leeds, gdzie wówczas praktykował, tamtejsza policja odebrała całkiem paskudne anonimy na jego temat. Stwierdzające ni mniej, ni więcej, że ją otruła. Ludzie, oczywiście, gadają takie rzeczy. Leczył ją jakiś inny lekarz, cieszący się dobrą opinią, i nie dopatrzył się w tej śmierci niczego podejrzanego. Nie było się czego czepić poza faktem, że ubezpieczyli się nawzajem na własną korzyść, ale tak się robi... Nie było niczego, co by nam dawało podstawy do działania, jak mówię, a jednak... ciekawe. Co pan na to?

Poirot przypomniał sobie wystraszoną minę pani Rendell, jej wzmiankę o anonimach i powtarzane z uporem zapewnienia, że nie wierzy ani jednemu słowu. Przypomniał sobie również, jaka była pewna, że jego śledztwo w sprawie pani McGinty to tylko pretekst. Powiedział:

— Mogłoby się wydawać, że nie tylko policja otrzymywała anonimy.

— I do niej przychodziły?

— Tak przypuszczam. Kiedy się zjawiłem w Broadhinny, myślała, że śledzę jej męża i że sprawa pani McGinty stanowi tylko pretekst. Tak. I on tak myślał... Teraz rozumiem! To doktor Rendell próbował mnie tego wieczoru zepchnąć pod pociąg!

— Sądzi pan, że i żonę spróbuje załatwić?

— Sądzę, że mądrze robi, nie ubezpieczając się na życie na jego korzyść — powiedział oschle Poirot. — Ale jeśli doktor myśli, że mamy na niego oko, pewno będzie ostrożny.

— Zrobimy, co w naszej mocy. Będziemy mieli oko na genialnego doktora nie ukrywając tego.

Poirot uniósł kieliszek z brandy.

— Za panią Oliver — powiedział.

— Skąd panu raptem przyszła do głowy?

— Kobieca intuicja — powiedział Poirot.

Na chwilę zapadło milczenie, po czym Spence powiedział powoli:

— W przyszłym tygodniu Robin Upward staje przed sądem. Wie pan, Poirot, nie mogę się oprzeć wątpliwościom...

Poirot przerwał mu z przerażeniem:

— *Mon Dieu!* Nie ma pan chyba wątpliwości co do winy Robina Upwarda?! Niech mi pan nie mówi, że chce pan zaczynać wszystko od początku!

Nadinspektor Spence skrzywił się uspokajająco.

— Dobry Boże, nie. Na pewno on jest mordercą! — I dodał: — Jest taki zarozumiały, że wszystko możliwe!

* (fr.) Do kroćset

* Biblia Tysiąclecia, Pwt, 5, W